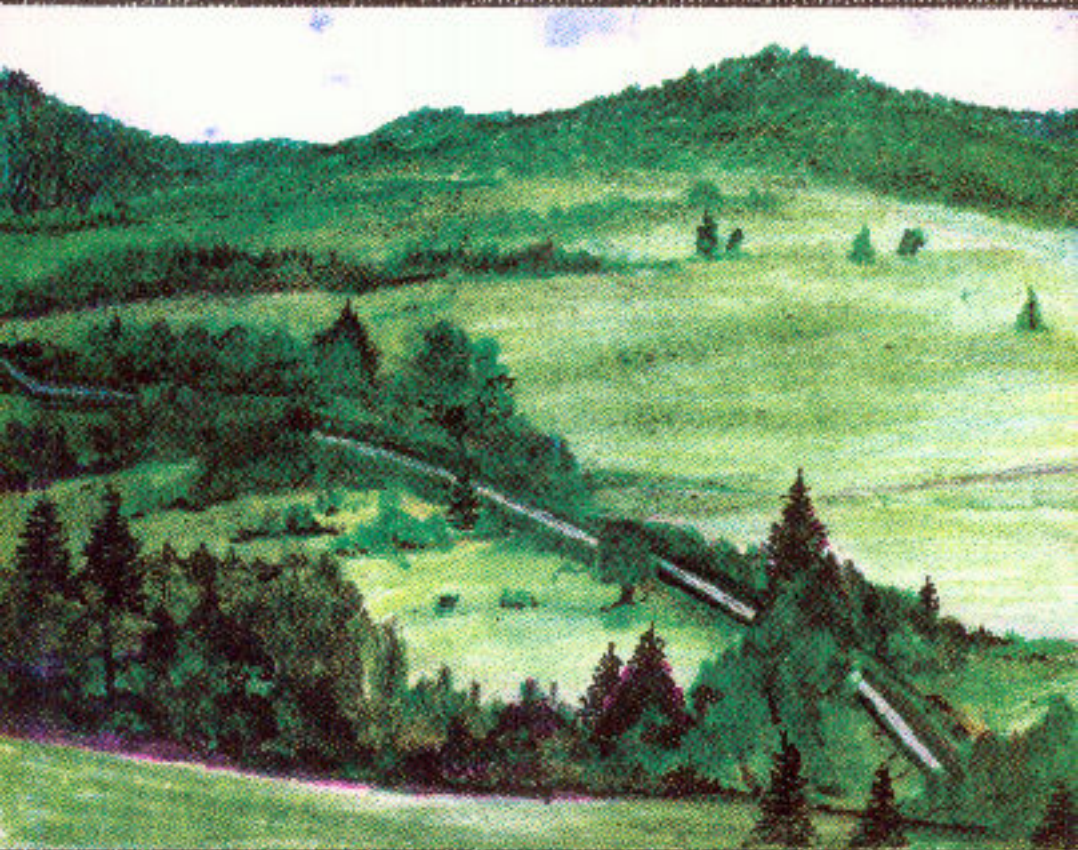


Adam Barna



Z pamiętnika wysiedleńca
Wspomnienia

Legnica 2004

Adam Baran

**Z PAMIĘTNIKA
WYSIEDLEŃCA**

Adam Barna

**Z PAMIĘTNIKA
WYSIEDLEŃCA**

Wspomnienia

Legnica 2004

Projekt graficzny
Jarosław Barna i Maria Krawietzek z d. Barna

Na okładce:
widok na wieś Czarne, tzw. horbok (pagórek), teraz zielona pustynia

Książka wydana przy wsparciu finansowym
Ministerstwa Kultury i Sztuki
Stowarzyszenia Łemków w Legnicy
Łemkowskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Kyczera” Legnica

ISBN 83-89247-94-1

Oficyna Wydawnicza ATUT
– Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe

WSTĘP

Zamiar napisania wspomnień „Z pamiętnika wysiedleńca” zrodził się niedawno, już po chorobie, która poważnie i bezpowrotnie nadszarpnęła moim zdrowiem. Uprzytomniłem sobie, że pozostało jeszcze do opisanie wiele zdarzeń z życia naszych przodków, dzieje ich nadzwyczaj ciężkiej i mozolnej pracy, obyczaje, folklor i oryginalna kultura.

W moich wspomnieniach nie ma nic zmyślnego i niezgodnego z prawdą. Przedstawione są tu trudy życia naszej społeczności – takiego, jakie widziałem na własne oczy w małym zakątku rodzinnych stron oraz na innych terenach karpackich. Życie tysięcy moich Rodaków było na ogół dużo cięższe niż moje własne i właśnie dlatego pragnę, by wspomnienia te przeczytali przedstawiciele dorastającego pokolenia.

Nie udało mi się osiągnąć żadnego tytułu naukowego, nie potrafię pisać piękną literacką polszczyzną, ale bardzo zależy mi na przekazaniu tego, czego w życiu sam doświadczyłem i co zapamiętałem. Proszę zatem czytelnika o wyrozumiałość.

Drugi – obok chęci przekazania swoich wspomnień – i chyba najważniejszy powód napisania tej książki, to świadomość konieczności dania świadectwa o rodzinnych stronach, które teraz po pięćdziesięciu latach zostały bodajże największą zieloną pustynią w Beskidzie Niskim, na rodzinnej Łemkowszczyźnie.

W pobliżu źródeł i górnego biegu Wisłoki, oraz jej górskich dopływów, w promieniu piętnastu kilometrów w nieistniejących już wioskach, żyło kiedyś sporo łemkowskich rodzin: w Radocynie – 90, Lipnej – 35, Długiem – 45, Czarnem – 70, Nieznajowej – 50, Rozstajnem – 40, Żydowskim – 50, Ożennej – 40, Ciechani – 40. Prawie w każdej z tych wsi były szkoły i karczmy, po dwie cerkwie (oprócz Rostajnego, Żydowskiego i Ożennej). Było to spowodowane tym, że w latach 1926-1928 prawie wszyscy mieszkańcy tych wiosek powrócili do wiary swoich przodków – prawosławia. Przeżyli w niej zaledwie do 1945 r., do czasu przesiedlenia się większej części mieszkańców na Ukrainę i późniejszego przymusowe-

go wysiedlenia reszty w 1947 roku na Zachód w akcji „Wisła”. Moim zdaniem są to terytoria zaklęte – nikt na dłużej nie może się tam osiedlić, ponieważ żyje jeszcze w miejscu tych wsi prawdziwy duch łemkowski.

Pewnie za sprawą tego samego, tajemniczego ducha gór, dwóm wioskom w Karpatach, Czarnemu i Długiemu, udało się jakimś cudem uniknąć dekretu wysiedleńczego i wywłaszczenia na rzecz Skarbu Państwa.

Jako chłopiec pochodzący z niezamożnej rodziny, w dodatku z wioski zabitej deskami, oddalonej od miasta o 30 km, z wielką nadzieją oczekiwałem lepszej doli, która miała przyjść po ukończeniu szkoły podstawowej. Przyszła jednak sześćioletnia niewola w czasie drugiej wojny światowej. Już na samym jej początku, zastraszony przez hitlerowców i „siczowików”, ukrywałem się przed wywózką na przymusowe roboty w Niemczech. Później trafiłem na takie roboty przy umocnieniach linii frontowej Polany – Ciecchania, a zaraz po wyzwoleniu Karpat wcielono mnie przymusowo do wojska i wysłano na front w Sudetach. Wróciłem do domu znów z wielką nadzieją na przyszłość. Spokoju jednak nie było, najpierw z powodu partyzantów, a na koniec nieprzewidzianego wypędzenia na Ziemię Zachodnie.

Pierwsze dziesięć lat na obczyźnie wśród osadników z różnych stron świata, różnych wyznań i poglądów politycznych były dobrą szkołą życia. Rodzice dali mi skuteczną receptę na znalezienie się w tej sytuacji – bardzo ostrożnie wchodzić w związki z obcą, nieznaną społecznością, od której doświadczyłem tak dużo krzywdy w przeszłości. Najpewniejsza i najjaśniejsza droga wiodła mnie przez związek z cerkwią prawosławną, która bardzo szybko, bo już po pół roku, podjęła się ratowania naszego życia religijnego na Zachodzie.

Po dziesięciu latach przyszła nieznaczną odwilż polityczna, dzięki której życie na obczyźnie stało się swobodniejsze pod prawie każdym względem z wyjątkiem możliwości powrotu w rodzinne strony. Pozwolono jednak na organizowanie zabaw łemkowskich, które mogły ograniczyć tempo asymilacji naszej młodzieży. Asymilacji, która następowała na każdym kroku, w każdym z przejawów codziennego życia: w pracy, w urzędach, w miejscach zamieszkania, a najbardziej w miejscach spotkań towarzyskich.

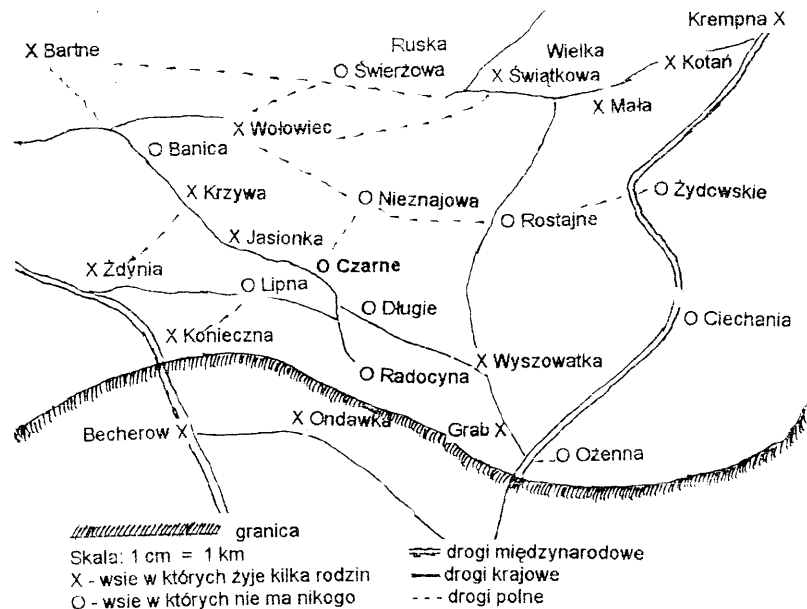
Choć dużo łatwiej i przyjemniej byłoby pisać swoje wspomnienia w języku ojczystym, postanowiłem napisać je po polsku. Kierowałem się pragnieniem, by jak największa ilość Polaków i „wygodnych” młodych Rodaków poznała życie, obyczaje i kulturę naszych przodków.

Autor

*Wiosennego dnia, roku 47. smutne dni nastaly,
Wtedy my Lemkowie, góry zostawiali.
Góry zostawiali, ale nie z radości,
Przyszedł do nas rozkaz, od pana starosty,
Już w niedzielę rano, gdy poczęło świtać,
Zbrojne wojsko polskie, zaczęło wyganiać.
Gdy do wsi wtargnęło, taki rozkaz dano,
Aby w dwóch godzinach, wszystko spakowano.
Ludność posmutniała, musiała się wybierać,
Pan kapitan krzyczy, że pora wyjeżdżać.
Ludzie wyjeżdżali, cicho dzwony były,
W tak żałosnym stanie, wszystko zostawili.
Do najbliższej stacji, gnali nas z furami,
Dalej obiecali, zawieźć transportami.
Najbliższych sąsiadów, bardzo rozdzielali,
Jeszcze w Oświęcimiu, sobie zostawiali.
W całej tej podróży, tęsknili – płakali,
Bo na ich honorze, krzywdę zapisali.
Potem na Zachodzie, też musieli płakać,
W Karpatach zasiali, tu musieli żebrać.
Pola nie orane, ani nie zasiane,
A cudze budynki, też wyszabrowane.
Góry nasze góry, nasza Ojcowizna,
Jak my tam wrócimy, będzie
Łemkowszczyzna!*

Wiersz autora z 1947 roku o akcji „Wisła”

Z życia moich przodków



Część zielonej pustyni

Życie swoich przodków znam tylko z opowiadania ludzi starszych. Twierdzili oni, że najcięższy dla ludności żyjącej w Karpatach był okres monarchii austro-węgierskiej aż do zakończenia pierwszej wojny światowej. Marne górskie gleby nie były w stanie utrzymać rodzin chłopskich, nie zmieniło się też – mimo zniesienia pańszczyzny – uzależnienie od dawnego pana. Ludzie zmuszeni byli do rozglądania się za jakąś robotą poza górami. Od strony południowej daleko, aż po Balkany, granicy wtedy nie było i w związku z tym nawiązywano kontakty z sąsiadami z Bardejowa, Preszowa, Koszyc i dalej na południe z Debreczyna, nawet Pesztu nad Dunajem. Po północnej stronie Karpat na Łemkowszczyźnie wiosna przychodziła trochę później i trwała długo. Na Węgrzech roboty wiosenne rozpoczynały się już z początkiem marca. Kiedy na Łemkowszczyźnie kończyły się dopiero roboty wiosenne, tam – na południu – szykowano się już do żniw. Właśnie tę różnicę wykorzystywali gospodarze z północy. Wielkie majątki węgierskie potrzebowały tej siły roboczej do ręcznego zbioru zbóż, bo żadne maszyny nie były jeszcze znane. Zaraz po wiosennych robotach w górach prawie we wszystkich wioskach organizowały się grupy kosiarzy i pomocników, aby już z początkiem lipca rozpocząć żniwa na wielkich równinach węgierskich, najczęściej w okolicach Debreczyna i Pesztu. Stąd w piosenkach łemkowskich tak dużo wspomnień z tamtych terenów, np. o Dunaju, Debreczynie i Preszowie.

Żniwiarzom naszym płacili w naturze – zbożem, a do tego dawali każdemu po litrze wódki dziennie. Mówiło się, że kto przy pracy popijał wódkę i zagryzał dobrze słoniną, mógł wytrzymać cały ciężki sezon żniwny. Kto zaś pijał tylko wodę, ten nie wytrzymał trudu pracy w wielkiej spiekocie panującej na równinach węgierskich.

Z tych żniw węgierskich „gazdowie” wracali różnie. Jedni zarabiali dość dużo, inni mniej. Kiedy był urodzaj, przywozili do domu spore ilości zboża, w latach nieurodzajnych zdarzały się jednak przypadki, że żniwiarze więcej przepijali niż zarabiali. W ostatnich latach XIX wieku w żniwach węgierskich brał też udział mój dziadek.

Na przełomie XIX i XX wieku (1880-1920) w naszych górach nadeszły bardzo ciężkie czasy. Większa część gospodarzy zmuszona była emigrować za robotą do USA lub Argentyny. Wyjazdy emigracyjne organizowali specjaliści agencji, którzy za dobrą zapłatę załatwiali wszystkie dokumenty potrzebne na podróż za morze. W pięć lat z naszej wsi wyemigrowała większa część gospodarzy. O tym, jak było naprawdę z podróżą i pracą w Ameryce, opowiadał mój dziadek swojej żonie i dzieciom (mojej babci i ojcu). Wspominał, jak wykorzystywano biednych i niewykwalifikowanych Łemków do najcięższych robót w kopalniach węgla, gdzie kazano pracować głęboko pod ziemią dwanaście godzin dziennie za kilkanaście dolarów na tydzień.

Gdzieś w latach 1904-1905 mój dziadek Konrad miał ośmiohektarową gospodarzkę, w tym ziemi ornej i łąk 5 hektarów oraz pastwisk i lasu 3 hektary. Nie mógł z niej utrzymać siedmioosobowej rodziny i dlatego musiał emigrować do Ameryki. I to w dodatku za pożyczone pieniądze. Zostawił w kraju żonę z pięciorgiem małych dzieci, z których dwoje – dwie dziewczynki – zmarło zaraz po jego wyjeździe. Ponieważ nie miał żadnego wykształcenia, trafił do najcięższej pracy w kopalni węgla (w tak zwanych majnach). W wyniku katastrofy górniczej został zasypany i w zawale przetrwał aż osiemnaście dni. Uratował się, jedyny zresztą, tylko dlatego, że znalazł się w jakiejś większej szczelinie, gdzie było trochę powietrza i kapłała woda. Mimo długiego leczenia szpitalnego, dziadek nigdy nie powrócił już do pełnego zdrowia.

Właściciele kopalni zamierzali jeszcze na jego tragedii zarobić. Dziadek miał tylko zgodzić się na obwiezienie po Ameryce i pokazywanie go, jako człowieka, któremu udało się przeżyć pod ziemią 18 dni. Nie chciał jednak doznać takiego „zaszczytu”, pragnął jak najszybciej wrócić do kraju, do żony i dzieci, z którymi nie miał żadnego kontaktu od czasu wyjazdu. Krzyżkami podpisał jakieś podstawione mu papiery i wrócił w rodzinne strony bez żadnego odszkodowania. Tu próbował dochodzić swoich praw, ale podstawione papiery i świadkowie dokumentowały, że dziadek dobrowolnie zrzekł się wszelkich praw do odszkodowania.

Później, kiedy dziadek już nie żył, a nastały już trochę lepsze czasy, babcia ciągle przypominała sobie i często nam powtarzała wierszyk o minionej biedzie:

Hirsza bida bez obida, bo soj o nim myslım.

Pohudenok prebudeme, a weczeriu prespım.

(Gorsza bieda bez śniadania, gdyż o nim myślım.

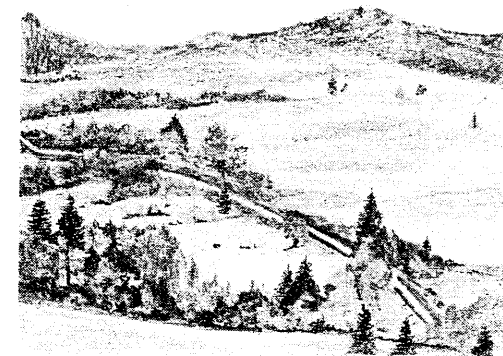
Obiad jakoś przebedziemy, a kolację przešpım.)

Tamte lata zapoczątkowały emigrację ludności łemkowskiej na inne kontynenty, a lata 1945-1947 dopełniły jej rozproszenia po wszystkich krajach świata.

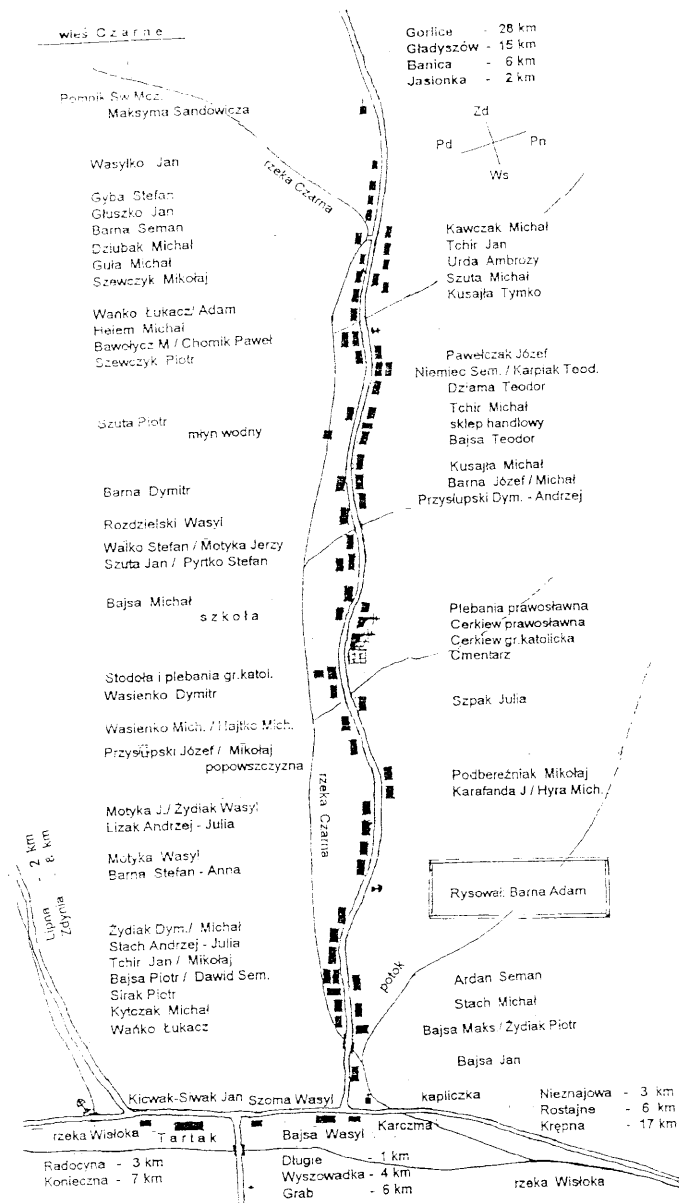


„Horbok” i dolny koniec wsi w 1939 r.

Widok na „horbok” w 2002 r. – zielona pu-
stynia.



Rodzinne gniazdo



Plan zabudowy wsi Czarne z 1947r.

Najstarszy zapis o mojej wsi, o Czarnem w gminie Gładyszów (powiat gorlicki), pochodzi z 1569 roku, z tym że – moim zdaniem – najprawdopodobniej jest to osada o wiele starsza. Kto wie, czy nie sięga swą historią początków chrystianizacji tych ziem? Przekazy i zapisy kościelne podają, że dawni mieszkańcy Karpat przyjęli wiarę chrześcijańską już w IX wieku (860-885) od uczniów słowiańskich świętych Cyryla i Metodego – Oslawa i Wiznoga, którzy w Karpatach głosili chrześcijaństwo sto lat przed chrztem Polski w 966 i Rusi w 988 roku.

Czarne, wpisane do ksiąg w 1569 roku, na początku podporządkowane było władarzom dawnego starostwa w Bieczu – miasta dużo starszego od Gorlic. Wieś leży w Beskidzie Niskim (Środkowej Łemkowszczyźnie) w dolinie rzeki Czarnej między dwoma pasmami górskimi: od południa pasmem z najwyższą w okolicy górą Czarną (703 m n.p.m.) i od północy pasmem z Żydówką (679 m n.p.m.). Położona jest na wysokości około 560 m n.p.m., co jest zbliżone do wysokości, na jakiej leży przełęcz Dujawa w Koniecznej (556 m n.p.m.).

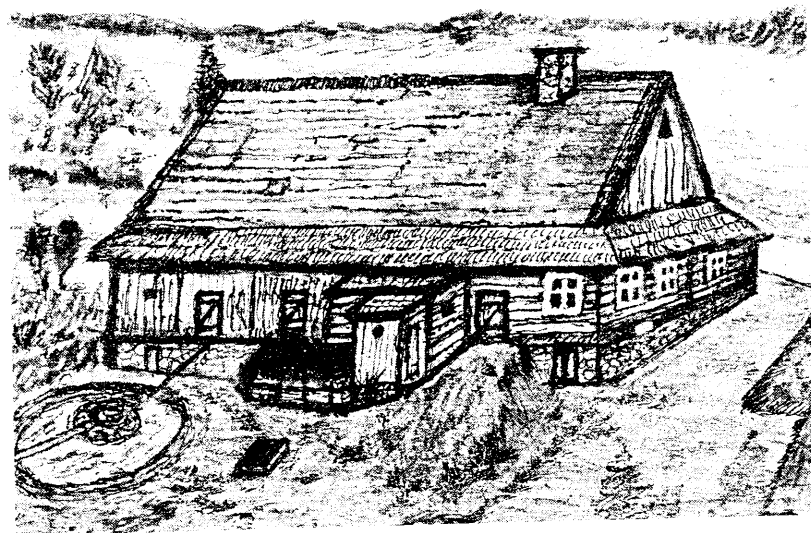
Wieś Czarne oddalona jest od granicy słowackiej o 5 km. Od innych miejscowości: od Lipnej 1 km, Radocyny 3, Koniecznej 7, Żdini 10, Długiego 2, Wyszowatki 5, Grabu 8, Nieznajowej 3, Rozstajnego 6, Świętokowej Wielkiej i Małej 10 km. Wcześniej najbliższym miastem był Bardejov (na Słowacji) oddalony o 25 km, a po pierwszej wojnie światowej zostało miasto powiatowe Gorlice oddalone o 28 km.

Po obu stronach wioski ciągnęły się łagodnie stoki górskie z polami ornymi, łąkami i pastwiskami, przeplatane małymi potokami, aż do granic sąsiednich wiosek: Długiego od wschodu, Radocyny i Lipnej od południa, Nieznajowej od północy i Jasionki od zachodu.

Po pierwszej wojnie światowej we wsi było 65 parceli gospodarskich rozścielonych po obu brzegach Czarnej i drogi kamienistej, która ciągnęła się od Radocyny i Długiego do Gorlic (przez: Jasionkę 3 km, Krzywą 5 km, Pętą 14 km, Sękową 23 km). Wśród tych parceli, licząc

od dolnego końca wsi, na tzw. horbku (pagórku), piętnasta parcela należała do mojego dziadka Konrada Barny i babci Tekli (z domu Bawolak z Rostajnego). Później, od 1925 roku parcela ta należała do mojej matki, Anny Barny z domu Kohut ze Świątkowej, i ojca Stefana.

Najbliższymi naszymi sąsiadami były rodziny: Żydiaków, Stachów, Tehirów z dolnego końca wsi, oraz: Motyków, Lizaków, Motyków i Żydiaków z górnego końca.



Rysunek domu rodzinnego

Dzieciństwo i lata młodości

Z metryki cerkiewnej wynika, że urodziłem się we wsi Czarne 25 listopada 1926 roku. Byłem najstarszym z czterech synów Stefana i Anny Barnów. Po mnie, Adamie, urodzili się jeszcze Wasyl, Jan i Piotr. Starym wiejskim zwyczajem było, że pierworodnego syna trzeba ochrzcić szybko i z wielkim przyjęciem. Mojego chrztu dokonał proboszcz unicki Jacek Komarniecki na pół roku przed powrotem naszych mieszkańców na wiarę przodków, to jest na wiarę prawosławną. Parafia prawosławną powstała 30 maja 1927 roku, a zarejestrowana została dopiero 26 kwietnia 1928 roku.

Moje imię, Adam, pochodzi z Biblii, ze Starego Testamentu. W kalendarzu odrządku wschodniego imię takie nie figuruje. Z opowiadania mojej mamy wynikało też, że zawdzięczam je temu, iż mój poród był bardzo ciężki. Przy tym, oczywiście, odbywał się nie w szpitalu, lecz w domu, tak jak w przypadku i innych wiejskich dzieci rodzonych w tamtych czasach, i przy pomocy wiejskiej „babki”, akuszerki Eufrozyny. Rodzice opowiadali, że w cerkwi na moim chrzcie i w domu na chrzcinach zaproszonych było dwadzieścioro czworo ojców i matek chrzestnych. Mówili prawdę, gdyż później się okazało, że co drugi gospodarz i gospodyni we wsi byli moimi rodzicami chrzestnymi (nanaszkamy).

W naszej wsi to samo imię mieli jeszcze Adam Wańko urodzony w 1914 i Adam Bajsa urodzony w 1921 roku. Z tym drugim byłem na froncie w Sudetach, gdzie został on ranny. Później w 1947 roku wszystkich nas trzech z rodzinami wysiedlono na Zachód, a w 1952 znaleźliśmy się znów razem w Legnicy i jej okolicach.

Już po pierwszej zimie, z 1926 na 1927 rok, na wiosnę i w latach następnych, kiedy była dobra pogoda, matka zabierała mnie na pole. A roboty było niemało, bo dziadek i babcia nie mogli już ciężko pracować. Czasem, gdy była gorsza pogoda, matka zostawiała mnie w domu pod opieką babci i dziadka.

Kiedy miałem pięć lat, matka nauczyła mnie niektórych modlitw: *Ojciec nasz*, *Zdrowaś Maryjo*, *Wierzę w Boga*. Później nauczyła mnie czytania, najpierw alfabetu ruskiego, a później i starocerkiewnego. Szkołę pod-

stawową rozpocząłem już w szóstym roku życia, i to z nowym *Bukwarem*, a rok później z dodatkowym *Elementarzem* i *Pierwszą czytanką języka polskiego*. Nauczanie języka ojczystego przzerwano dosyć szybko, bo już po czterech latach, to jest w 1936 r. Od tego roku uczono nas tylko języka polskiego.

W późniejszych latach często bywało tak, że przed pójściem do szkoły trzeba było z rana napaść krowę koło domu, popołudniu zaś, do wieczora, trzeba było paść konia i większe stado bydła oraz owiec pod lasem, albo dalej na polanach za lasem i za górą. Na naukę było bardzo mało czasu, ale i nie była ona tak ciężka, jak obecnie. Kiedyś w szkołach było tylko proste czytanie, opowiadanie, pisanie i czterodziałaniowe liczenie, a wszystko to z jednej, dwóch lub trzech książek.

Czasem znalazło się trochę czasu na zabawę z kolegami w kółko lub w piłkę. Taka zabawa mogła odbywać się tylko na gładkiej łące. Dwóch, albo więcej chłopców stawalo naprzeciwko siebie z deskami podobnymi do kijów hokejowych i walczyło o kółko lub piłkę, ale bez bramki. Walczono o więcej terenu dla swojej grupy, wypychając przeciwnika jak najdalej od wyznaczonej granicy. Była to zabawa trochę podobna do hokeja na trawie, tylko że z prymitywnym sprzętem. Graliśmy małymi piłkami gumowymi, które bardzo szybko się dziurawiły i musiały być zastępowane piłkami szmacianymi. Jeździliśmy też na hulajnogach podobnych do terażniejszych, tylko nie metalowych i nie tak szykownych. Były drewniane, robione z deseczek, dwóch kółek i kierownicy. Prymitywne hulajnogi znane były w Karpatach już przed stu laty. Nie znaliśmy natomiast piłki nożnej.

Zimą do zabawy na śniegu mieliśmy sanki z desek, ale one nie nadawały się na wielkie śniegi. Sprawdzały się tylko na udeptanym i twardej śniegu. Łemkowie nie znali w ogóle prawdziwych nart. Mieli tylko słabo heblowane deski z paskami na buty. Obuwia zimowego zresztą, tak dobrego jak dzisiaj, też nie było. Dopiero przed drugą wojną światową niektórzy urzędnicy: leśnicy, nauczyciele, listonosze, żandarmi i straż graniczna, potrafili jeździć na prawdziwych nartach. W czasie okupacji używała ich straż graniczna – „grenszuce”, straż leśna i listonosze.

Niektórym dzieciom rodzice robili małe drewniane rowery bez pedałów na drewnianych kółkach. Prawdziwe rowery pojawiły się u nas dopiero w 1938 r., mieli je naczelnik poczty i listonosz. Kiedyś listonosz pozwolił mi pojeździć trochę na swojej balonówce.

Ze szkolnych lat zapamiętałem tylko niektórych kolegów z klasy: Dymitra Ardana, Mikołaja Bajse, Mikołaja, Iwana i Piotra Wasieńków, Wasyla

Przysłupskiego (Pryslopskoho), Dymitra Kusaję, Mikołaja Karpiaka. Z koleżanek szkolnych pamiętam Annę Tchir, Marię Hyrę, Emilię Szpak, Annę i Julię Motykę, Annę i Teklę Barny, Annę Chomik i Rozalię Szutę. Do naszej szkoły w Czarnem chodziły też dzieci z sąsiedniej, oddalonej o 3 km wsi Długie. Z tamtejszych dzieci przypominam sobie Piotra Ksenycza, Iwana Welgosa, Dymitra Sabatowicza. Najbardziej utkwil mi w pamięci Michał Zeleniak, który niemal co tydzień otrzymywał karę od nauczyciela: bicie linijką lub prętemi po dłoni za nieprzygotowanie do lekcji lub psoty w szkole.

Pamiętam, jak latem w 1935 roku po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, do naszej szkoły pierwszy raz przyjechało kino objazdowe. Zaproszono dzieci z czterech klas i tych mieszkańców, którzy mieli ochotę obejrzeć ówczesne prawdziwe kino. Ze mną poszła wtedy do szkoły moja siedemdziesięcioletnia babcia. Oboje mogliśmy pierwszy raz w życiu zobaczyć ruchome obrazy wyświetlane na płótnie rozciągniętym na ścianie szkolnej klasy.

Pokazano nam pogrzeb marszałka. Jego ciało w trumnie okrytej sztandarem narodowym wieźli na lawecie ciągniętej przez sześć koni pomiedzy krocząca kompanią honorową wojska polskiego. Wszyscy – starsi i dzieci – oglądaliśmy z zachwytem ruchome postacie. Najbardziej zdziwiona była babcia, która później nieraz wspominała, że na własne oczy widziała jak ludzie chodzili po ścianie.

Wiosna

Po długiej zimie trzeba było przystąpić do naprawy ogrodzeń. Konieczna była wymiana zgniłych lub zniszczonych „kiczek” i gontów na drewnianych dachach i strzechach po to, żeby woda deszczowa nie przeciekała do izb mieszkalnych i pomieszczeń gospodarczych. Każdego roku, najczęściej przed świętami wielkanocnymi, odnawiano ściany każdej izby mieszkalnej, bielono je w dawnych czasach gliną, a później już wapnem gaszonym.

Kiedy nad polami odezwały się skowronki, był to znak dla gospodarzy, że nadszedł czas na przygotowanie się do prac wiosennych na roli, w zagrodach i ogródkach przydomowych. Wyciągano wyremontowane i naostrzone zimą narzędzia rolnicze: pługi, brony, motyki i łopaty, a także zapasowe lemieszce i czeresła niezbędne do prac polowych na ciężkiej glebie górskiej.

Prawie każdy gospodarz potrafił wykonać i naprawić drzwi, wrota, wozy, sanie i różne drewniane narzędzia oraz sprzęty gospodarskie. Do wyrobów i napraw przedmiotów żelaznych wykorzystywano wiejskich kowali lub Cyganów. Kto nie zdążył przygotować w czasie zimy narzę-

dzi rolniczych, ten musiał przed robotami wiosennymi zanieść je do kowala (często Cygana), by wyklepał je i naostrzył.

Do wiosennych robót często zabierano i mnie. Czasem, gdy w szkole nie było nauki, trzeba było „poganiać” konia przy orce na górskich stokach, albo bronować zagony zasiane zbożem przez tatę.

Kiedy ja brałem udział w pracach wiosennych, gospodarze w naszej wsi mieli już sprzęt i narzędzia rolnicze bardzo udoskonalone, w polowie żelazne, które zastąpiły narzędzia drewniane. Dawniejsze radło miało z żelaza tylko lemiesz, który kroił i przewracał twardą skibę. Później do pługa, który zastąpił radło, dodano więcej części żelaznych z kółkami wiodącymi i czeresłem, co spowodowało, że był on trwalszy i wygodniejszy w użytkowaniu. Później i brony miały już żelazne mocne zęby, które bardzo pomagały w rozdrabnianiu twardej gleby.

Drewniane narzędzia rolnicze z gór zachowały się aż do 1947 roku i wraz z ich właścicielami przyjechały do nowych miejsc zamieszkania. Teraz niewielka ich część znajduje się w niektórych muzeach.

Dawniej ludzie przy uprawie roli korzystali z siły pociągowej wołów, byków, lub krów. Później niektórzy zamożniejsi gospodarze do prac polowych i transportu hodowali konie.

Pierwsze wiosenne wyjście w pole było dość uroczyste. Tato ładował na wóz pług, brony, zboże i trochę siana lub obroku dla konia. Mama wychodziła ze święconą wodą i, odmawiając po cichu modlitwę, kropiła tatę, wóz oraz konia. Do koszyka, z którego ojciec miał siać zboże, kładła coś do jedzenia, zaś do rączki owego koszyka przywiązywała kawałek chleba, opłatek lub prosfore, które wisiały tam aż do zakończenia siewów. Ludzie siali kolejno owies, jęczmień, orkisz, jare żyto i pszenicę. Później, kiedy ziemię ogrzało wiosenne słońce, sadzono ziemniaki, buraki, kapustę, a na końcu karpiele, brukiew i rzepę.

Kiedy na polach było dość ciepło i nie spodziewano się już nocnych przymrozków, gospodynie siały, albo sadziły w ogródkach i na pobliskich zagonach warzywa: czosnek, cebulę, marchew, buraki ćwikłowe, fasolę, dynię i ogórki. W górach nie znano pomidorów potrzebujących długiego i ciepłego okresu wegetacji. Prace wiosenne ciągnęły się nieraz dość długo, gdyż pogoda po zimie nie zawsze była łaskawa, jak to się mówi – kwiecień plecień, co przeplata trochę zimy, trochę lata.

Akurat w marcu i kwietniu przypada Wielki Post, który w obrządku wschodnim trwa zawsze siedem tygodni. Ludzie nie jedli wtedy ani mięsnych, ani mlecznych potraw. Mleczne mogły jeść tylko małe dzieci,

chorzy i starcy. W poście nie organizowano też wesel, ani zabaw, śpiewano tylko pieśni cerkiewne.

W ostatnią niedzielę Wielkiego Postu przypada Niedziela Palmowa (kwitna). W ten dzień wierni przynoszą do cerkwi bazy wierzby (bahnitky) poświęcone na pamiątkę witania Jezusa wjeżdżającego na osie do Jerozolimy. W ostatnim tygodniu postu w domach było dużo roboty przy przygotowaniach do Świąt Wielkanocnych. We wschodnim obrządku od wielkoczwartkowego wieczora aż do Wielkiej Soboty w cerkwi odbywały się czytania o życiu i śmierci Chrystusa. W wolnych chwilach i ja pomagałem proboszczowi czytać odpowiednie psalmy z Starego Testamentu. Od Wielkiego Piątku gospodynie piekły duże i małe paschy – chleb żywno-jęczmieenny, rzadko pszenny, bo nie wszystkie rodziny mogły pozwolić sobie na kupno mąki pszennej (pytlowanej). Pisały też jajka woskiem i barwiły je w trwałych naturalnych farbach z łupin cebuli, z kory olchowej, albo dębowej. Osiągano nimi kolory jasnego i ciemnego pomarańcza lub brązu.

Na Wielkanoc (Welykden) do święcenia produktów gospodynie przygotowywały dosyć wielki, ładnie pleciony koszyk, w którym miało znaleźć się wszystko, co potrzebne było do jedzenia w pierwszy dzień świąt. Przed północą z soboty na niedzielę w cerkwi odprawiane były jutrznia i liturgia wielkanocna, które trwały ponad trzy godziny. Na te nocne nabożeństwa szły prawie całe rodziny, bez małych dzieci i osób chorych. Po liturgii święcono chleby i koszyki pełne różnych produktów. Dawniej ludzie święcili dwa lub jeden duży chleb oraz duży koszyk pełen wszystkiego: jajek, masła, sera, soli, chrzanu, słoniny, kielbasy i innych produktów. Później, za moich czasów, święcono już tylko mały chleb (paschę) i mniejszy koszyk z produktami. W latach 1935-1945 święcenie produktów odbywało się na placu obok cerkwi. Była to bardzo uroczysta chwila przy świetle świec – w każdym koszyku paliła się jedna – przy śpiewie pięknych pieśni wielkanocnych i dźwięku kilku dzwonów. W czasie okupacji na Święta Wielkanocne dzwonił już tylko jeden dzwon, bo pozostałe trzy zabrali Niemcy, by przetopić je na amunicję. Często bywało tak, że wraz ze święconą wodą z kropidła proboszcza padał drobny wiosenny deszcz. Jeżeli Święta Wielkanocne wypadały z końcem marca, lub na początku kwietnia, to i płatki śniegu można było zobaczyć. Po uroczystości wierni brali święcone i spieszyli do swoich domów. Wierzono, że temu, kto przyjdzie wcześniej i obejdzie ze święconym dom dookoła, będzie się wiodło we wszystkim przez cały rok. Oczy-

wiecie w życiu było całkiem inaczej, dobrze wiodło się temu, kto miał lepszą glebę, lepszą wiedzę.

Świąteczne śniadanie rozpoczynało się od święconego jajka. W pierwszym dniu świąt wielkanocnych nie gotowano żadnych potraw, jedzono wszystko z koszyka. Dzieci bawiły się jajkami i pisankami. W ostatnich latach znane były już pisanki toczone z miękkiego drewna, którymi dzieci mogły bawić się bez obaw, że się zbiją jak kurze. W Poniedziałek Wielkanocny młodzież od rana oblewała się wodą z przygotowywanych wcześniej sikawek robionych z czarnego bzu. Dziewczyny broniły się wodą z garnuszków i konewek. Nigdy do oblewania nie używano wiader.

Kiedy na polach podrosła trawa, wypędzano na nią najpierw owce i kozy, a później bydło i konie. A jak tylko słońce zaczęło dobrze przegrzewać, przychodziła pora na bielenie płótna utkanego zimą na własnych warsztatach tkackich. Rozścielano płótno koło rzeki i spryskiwano wodą, która na przemian ze słońcem wybielała je do czystej, śnieżnej bieli. Później płótno trzeba było dobrze wyprać w gorącej wodzie ługowej – w tamtych czasach o proszkach do prania oczywiście nie mogło być mowy – i następnie wysuszyć. Po wysuszeniu można było już kroić i szyć z płótna co dusza zapragnie: obrusy, prześcieradła, płachty. Z płótna poczesnego szyto odzież roboczą dla mężczyzn, a z cienkiego odzież roboczą i świąteczną dla kobiet oraz mężczyzn (bluzki, koszule, spodnie). Moim zadaniem przy bieleniu było rozścielanie i spryskiwanie płótna od rana do wieczora przez kilkanaście dni. Pilnowałem też, żeby nie pobrudził go drób i bydło.

Po Wielkanocy, aż do postu św. Piotra, było sporo czasu na zabawy, festyny i wesela. Z lat szkolnych pamiętam, że po Zielonych Świątach młodzi gospodarze i kawalerowie organizowali zabawy, festyny na świętym powietrzu. Odbywało się to na łąkach pomiędzy Czarnem, Długim i Radocyną, gdzie zbijano z desek podłogę i ogradzano ją parkanem upięszonym gałęziami lipowymi lub leszczynowymi. Grali miejscowi muzycanci, najczęściej Cyganie, którzy żyli pomiędzy tymi wioskami. Jednym z nich był Wanio Siwak.

Na festynach sprzedawano dla starszych piwo beczkowe, a dla dzieci słodycze i zabawki. Bawili się wszyscy, ale tylko od południa do późnego wieczora i tylko przy świetle słońca i księżyca, gdyż światła elektrycznego nie było tam aż do czasu wysiedlenia.

Działalność kulturalno-oświatową na wsi prowadziła Czytelnia im. Michała Kaczkowskiego. Jej znaczenie bardzo wzrosło po wycofaniu

w 1936 roku ze szkół nauczania języka łemkowskiego. Czasem i ja zachodziłem z ojcem do czytelnicy. Słyszałem tam nieraz, jak ktoś głośno czytał „Żywoty świętych”. Były tam też różne gry: fantowe, loteryjne, warcaby, szachy, domino, karty i inne. Młodzież uczyła się śpiewu ludowego, cerkiewnego i kolędowania. Ze spotkań w czytelnicy przypominam sobie dawny wiersz rusiński:

*Chto za namy, Boh za nym, nasze dilo je swiatym,
Pereżyły my bidu, pereżywem ne odnu,
Wsiakij woroh u nas byl, a takyj nas ne zhubył.*

*Chocz żelizom nas pałyły, skoru derły, kist lamaly,
Ne pohybne nuni my, prawoslawnny Rusyny,
Poky krow ruska hraje, ruskij krest na cerkwach sjaje.*

*(Kto jest z nami, Bóg jest z nim
Nasze dzieło jest świętym,
Biedę jakoś przeżyliśmy
Przeżyjemy niejedną,
Wszelki ucisk u nas był
A jakoś nas nie zgubił.*

*Choć żelazem przypiekali
Skórę darli, kość lamali,
Nie zginie my dzisiaj my
Prawoslawni Rusini*

*Póki krew u nas tryska
Krzyż znamienny dalej błyska)*

Latem w noc świętojańską w górach palono ogniska (sobitki). Kilka dni przed tym dniem pastuchowie, a między nimi i ja, wycinali w lesie koślawe i suche sosny oraz jałowce. Na pustej polanie na samym szczycie układano z nich wysoki stóg zwany sobitką. Wieczorem przed nocą świętojańską, po spędzeniu bydła i owiec do stajen lub stajenek górskich, zbierali się pasterze i młodzież, aby uroczyście podpalać sobitkę. Przy płomieniach wielkiego ognia młodzież bawiła się do białego rana. Niedługo – noc świętojańska jest wszakże najkrótszą nocą w roku.

Takich ognisk paliło się w okolicy dość dużo. A że w górach nocą po rosie echo niesie daleko, odgłosy zabawy szły od wioski do wioski. Starsi pasterze grali sobie na wierzbowych piszczałkach własnej roboty. Gospodarz Józef Szpak wystrugał i osmolił sobie trąbitę o długości dwóch i pół metra, na której nieraz wieczorami dawał znać o sobie, a najbardziej właśnie w tę noc świętojańską. Choć palenie wielkich ognisk odbywało się w samym środku lasów, i to z suchego chrustu w czasie ciepłej i suchej pogody, nie pamiętam, by doszło do podpalenia lasu.

Wczesnym rankiem w dzień św. Jana rodzice kazali mi nałamać leszczynowych gałązek i poznać nimi (małć) wszystkie kawałki pola, na których rosły już ładne zboża, ziemniaki oraz inne warzywa. Musiałem obejść nasze pola po obu stronach stoków górskich, a było tam tego ponad trzydzieści kawałków, nic więc dziwnego, że po takim obchodzie w ranną rosę moja odzież była mokra aż do pasa. Majenie obsianych i obsadzonych kawałków pola miało chronić je przed złą pogodą, a zwłaszcza przed gradobiciem, które dosyć często nawiedzało tereny górskie.

Majono też w Zielone Świąta, ale tego dnia tylko domy i obiekty kultu religijnego, i nie leszczyną, a gałązkami lipy. Brzozy w naszej wsi nie używano, gdyż akurat nie rosła w naszych lasach, u nas rosły tylko lipy.

W tym samym czasie, w poście św. apostołów Piotra i Pawła (petriwka), był zwyczaj obchodzenia z procesją ornych pól. Chodziłem i ja z taką procesją: z krzyżem, dwiema chorągwiemi, Ewangelią, kapłanem, z odprawianiem molebni (modlitw) o zdrowie, dobre urodzaje i udane żniwa w każdym roku.

Na ukwieconych późną wiosną łąkach zbierało się różne zioła wykorzystywane do celów spożywczych oraz leczenia: kminek, szczaw, miętę, rumianek, piołun, różne babki, krwawnik, centurię. Zrywano także kwiat lipy, a jesienią głóg różnej odmiany, dzika różę. Pamiętam, jak w 1938 roku któregoś dnia przed wakacjami poszedłem po lekcjach z kolegą szkolnym Mikołajem Bajszą na łąkę blisko szkoły, aby poszukać tam w trawie kminku potrzebnego do wypieku chleba i do zup. Szukając kminku, znaleźliśmy w trawie nowy aparat fotograficzny, który proboszcz Jerzy Pawłyszyn zgubił w trakcie spaceru. Za znalezienie aparatu ksiądz zrobił nam później zdjęcie (rodzina przy sianie na tej samej łące). Poszukiwania kminku o mało nie skończyły się tragicznie. Mikołajowi, obcinającemu nożem korzeń kminku, tak zaplątała się noga w gęstej trawie, że upadł i nadział się na nóż kłapacz, raniąc się groźnie w klatkę piersiową. Na szczęście poniżej serca. Po dwóch tygodniach wyzdrowiał.

Czasem jeszcze przed Zielonymi Świątami rozpoczynały się sianokosy, które ciągnęły się aż do samych żniw. Trzeba było kosić posiane wcześniej kawałki koniczyny, lucerny, przelotu (bołhaju). Suszyło się je na rogalach (sochach) i zwoziło do domów. Zaraz potem przychodził okres koszenia łąk. Siano to suszono bezpośrednio na pokosach. Aby zebrać szybko siano, trzeba było suszyć je na rogalach. Suche już znoszono na strych na plecach w plachtach, natomiast z dalszych łąk i pól zwożono wozami drabiniastymi zaprzężonymi w woły, krowy, lub konie.

Z sianokosów mam dużo wspomnień, bo też pracowałem przy nich wiele: klepałem kosy, kosiłem, roztrząsałem, suszyłem, zwoziłem i wykladałem siano na strych, a następnie w zimie podawałem czasem za drabinę koniom, bydlu i owcom. W naszym gospodarstwie potrzebna była spora ilość siana na zimę, ojciec utrzymywał bowiem, oprócz sporego stada bydła i owiec, także konia, który w dużym stopniu służył do furmaństwa – wywozu drzewa z lasu do tartaków i do miasta.

Na górskich stokach i pastwiskach, pod lasami, z rana i pod wieczór słychać było śpiew dziewcząt i chłopców, którzy doglądali pasącego się bydła, koni, owiec i kóz. Wiosenny krajobraz w górach to siano w kopcach, na rogalach – wszędzie: w zagrodach, na łąkach i polach.

Lato

Po sianokosach szybko nadchodziły żniwa – najważniejsze prace rolne w całym sezonie wiosenno-letnim. Kiedy zakwitały żyta ozime, w zbożach słychać było śpiew przepiórek, które bardzo cieszyły się, że rośnie nowy chleb i zawzięcie, jedna przed drugą, ćwierkały swoje „pid pilit, pid pala” (gra słów: – rośnie świeży placek).

Z letnich prac polowych i zbiorów przychodziło najpierw targanie z gleby źdźbeł lnu i wiązanie ich w horsty (garście). Gospodarze wysiewali spore ilości lnu po to, aby włókien starczyło na płótno dla całej rodziny, a ziarna na olej.

Ponieważ w górach nieznano żadnych środków chwastobójczych do niszczenia traw i chwastów w zasiewach, wyrywanie źdźbeł lnu musiało być ręczne, wolne i dokładne, bo trawa i chwasty nie były potrzebne w wiązках lnu. Horsty musiały być ustawiane główkami do góry, aby szybciej wysychały. Nasiona można było pozyskać dopiero po kilku tygodniach, gdyż tylko dobrze wysuszone główki dawały się porządnie wyłuszczyć kijanką na kamieniu.

Po wyluszczeniu nasion lnu z główek, wiązanki łądyg roszone na świeżo skoszonych łąkach i ścierniskach. Rozścielone, pod wpływem rosy, deszczu i ciepła w ciągu kilku tygodni przechodziły proces naturalnego rosznienia (kruszenia się łądyg), aby późną jesienią można było na terlicy oddzielić paździerz od włókna. Kiedy gospodyni uznała, że źdźbła słomy pozwalają łatwo się łamać, kruszyć i oddzielać paździerz od włókna lnianego, zbierała rozścieloną słomę i wiązała ją na nowo w niewielkie snopki. Te nie były już tak twarde, jak poprzednie, i należało je schować na kilka tygodni na strych, aż do czasu zakończenia żniw i wykopków.

Pełne, prawdziwe żniwa zaczynano od koszenia ozimego żyta i pszenicy. Żyto musiało być żęte sierpami, ponieważ w każdym gospodarstwie potrzebna była dobra i zdrowa żytnia słoma. W naszej rodzinie zbiór sierpami nie był duży, bo matka sama nie mogła temu podołać. Sierpem żęła tylko tam, gdzie nie można było tego zrobić kosą. Na zwyczajnych zagonach tato podcinał żyto kosą do wewnątrz, mama podbierała je na małe snopki, a ja wiązałem. Czasem pomagałem ojcu podcinać żyto, albo mamie podbierać snopki.

Tam, gdzie w rodzinie było więcej dziewcząt, żęcie sierpami było łatwiejsze. Bo też dziewczęta traktowały tę pracę jak dobrą rozrywkę towarzyską. Dogadywały się w sąsiedztwie na sierpowe żęcie żyta, albo pszenicy i to na zmianę u siebie i u sąsiadów. Żęły w dzień, a czasem i w jasne księżycowe wieczory. Robiły to ze śpiewem, do którego przyłączali się też wiejscy kawalerowie.

Powiązane snopki żyta i pszenicy układano w stożki na drewnianych kołkach, albo w mędle kłosami do góry po to, aby snopki schły szybciej, a w razie deszczowej pogody nie leżały na ziemi, na której mogłoby zboże kiełkować w snopkach.

Po życie ozimym dojrzewały inne zboża: żyto jare, pszenica, jęczmień, orkisz i owies. Koszono je kaperą, lub grabkami na pokosy, czasem z podbieraniem na snopki. Zboże na pokosach suszono, rozdrabniając je grabiami, i po wysuszeniu wiązano w większe snopy. Potem zwożono na strychy domowe, gdzie były układane w oddzielnych przegrodach, aby nie zostały zanieczyszczone innymi nasionami zbóż.

W żniwach musieli pomagać wszyscy dorośli domownicy, bo pracy, i to ręcznej, przy koszeniu, suszeniu, grabieniu, wiązaniu, składaniu i zwożeniu do domów, dla nikogo nie zabrakło. Nic się nie mogło zmarnować. Żniwa w górach rozpoczynały się zawsze dużo później i trwały dłużej. Czasem z powodu pogody i majątności (czy raczej nie-

dostatku) niektórych gospodarzy żniwa w górach przeciągały się aż na okres jesienny.

W czasie żniwnym dojrzewały już niektóre warzywa: marchew, cebula i ogórki. Przydawały się na posiłki dla żniwiarzy. Latem dojrzewały też jagody, borówki, maliny i jeżyny, które można było zbierać na miedzach i polanach leśnych.

Na drzewach dojrzewały też czereśnie, wiśnie, śliwki i wczesne jabłka. Inne jabłka, grusze i orzechy dojrzewały jesienią. Jak lato było ciepłe i wilgotne, to na niektórych pastwiskach i polanach leśnych rosło sporo różnych grzybów. Były to prawdziwki, kurki, czerwoniaki, rydze, sosniaki. Na zbieranie grzybów trzeba było iść rano o świcie, przed innymi zbieraczami, bo później dobre grzyby były już wybierane. Pamiętam, że w górach nikt nie opowiadał o zatruciach grzybami, choć ludzie zbierali i zjadali ich dość dużo, najwięcej suszonych, jako dodatek do zup i sosów.

Jesień

Po zebraniu z pola zbóż, prędko nadchodziła jesień, którą w górach można dość łatwo odróżnić od lata. Pusto na polach, krótsze dni, częstsze deszcze, dłuższe i zimniejsze noce – to jesień.

W drugiej połowie września w górach rozpoczynały się wykopki ziemniaków, które były podstawą żywienia w każdej rodzinie. Liczyły się tu ręce każdego, w uprawie ziemniaków stosowano bowiem tylko pług, bronę i motykę. O maszynach specjalistycznych nie było mowy. W ciągu dnia można było wykopać zaledwie parę zagonów, z których uzbierało się kilka worków ziemniaków większych i kilka worków drobnych, dla świń. Aby nie męczyć się załadunkiem, rozładunkiem i zsypaniem ziemniaków do piwnicy, robiono to dwa razy dziennie, w porze obiadowej i wieczorem.

Wykopki trwały różnie w zależności od pogody. Ważne było, żeby ziemniaki wykopane, a później składowane w piwnicach, były suche i czyste, zdolne do przetrwania kilku miesięcy. Nie kopcowano warzyw na polach, tęgie mrozy nie pozwalały na to nawet w ogrodach. Każde gospodarstwo miało własną piwnicę. Zdarzały się jednak takie zimy, że i w piwnicy ziemniaki przemarzły. W czasie wykopków gospodynie nie miały czasu na przygotowywanie obiadów i dlatego codziennie z rana piekły w piecu na liściach z klonu, lub kapusty duże placki ziemniacza-

ne, które bardzo smakowały z masłem. Czasem na polu palono ogniska i pieczono w nich świeżo wykopane ziemniaki.

Zaraz po wykopkach niektórzy gospodarze na lepszych glebach siali żyto ozime lub pszenicę. Gospodynie natomiast przystępowały do najcięższych prac przy sianie lnianej, która od kilku tygodni – po wyroszeniu – leżała na strychu. Było to dalsze suszenie wiązanek słomy przed ręcznym gładzeniem na specjalnych terlicach (hładzelnyciach). Uderzeniami terlicy dość łatwo dało się oddzielić paździerz od włókna lnianego. Mocno musiały jednak boleć gospodynie ręka od takiego gładzenia słomy lnianej, jeżeli zważyć, że było jej sporo – kilkadziesiąt snopków dziennie przez co najmniej dwa tygodnie. Paździerzami, od których miesiąc nazwano październikiem, okładano dołem futryny okienne. Wchłaniały wodę, której wiele w czasie długiej zimy spływało z odmarzających szyb. Wyglądzone zwitki włókna lnianego wiązano ponownie w większe pęczki (kłobyki) i składano w suchym miejscu, aby po omlotach zbóż późną jesienią lub z początkiem zimy przystąpić do dalszych prac, to jest czesania, przędzenia i tkania płótna.

Zaraz po wykopkach ziemniaków był czas na organizowanie po wioskach wesel, zabaw i kiermeszy – świąt parafialnego patrona. U nas kiermesz obchodzono 8 listopada w dzień świętego męczennika Dymitra z greckiego miasta Solunia. W ten dzień schodziła się zawsze bliska i dalsza rodzina z bliskich i dalszych wiosek, najpierw na modlitwę, a później na przyjęcie i wiejską zabawę. Od rana kapłani prowadzili do wsi procesje wiernych z sąsiednich wiosek na odprawianą w cerkwi uroczystą liturgię świętą z tak zwanym molebnem (modlitwami dziękczynnymi). Po liturgii wszyscy rozchodzili się do swoich rodzin albo znajomych. Kiedy we wsi była większa rodzina, trzeba było wstąpić choć na chwilę do każdego, nie pogardzić przyjęciem i złożyć zaproszenie do odwiedzin u siebie w dzień swojego święta parafialnego. Do naszego domu przychodziły rodziny z różnych wiosek. Ze strony matki trzy rodziny Kohutów ze Świątkowej Wielkiej, ze strony ojca zaś trzy rodziny Barnów, jedna ze Świątkowej Wielkiej i dwie z Nieznajowej. Na ich przyjęcie przygotowywano wiele różnych potraw: kurczaki, wieprzowinę, a najczęściej baraninę i sery oraz pierogi z różnym nadzieniem. Nie brakowało wódki, a przede wszystkim kropki. Jak to przy rodzinnym spotkaniu, było dużo wspomnień i śpiewów.

Wieczorem młodzież z naszej wsi przygotowywała wiejską zabawę, na której mogli bawić się wszyscy – swoi i goście. Były to zabawy organizowane w małych izbach, lub pomieszczeniach zwanych boiskami, na twar-

dych glinianych klepiskach. Podłogi drewniane w izbach i boiskach zakładano dopiero przed drugą wojną światową. Ponieważ nie było jeszcze światła elektrycznego, bawiono się przy świetle lamp naftowych. Z braku miejsca na tańce w małej izbie lub boisku, gdzie tańczyć mogło tylko kilka par, należało dzielić się tańcami między swoimi i gośćmi. Każda wieś miała zagwarantowane osobne tańce. Jeżeli było dużo chętnych, dzielono tańce tak, aby nie było uszkodzonych, ani wśród swoich, ani wśród gości.

Tańce były też uzależnione od dostatecznej ilości dziewcząt i kobiet. Dziewczętom nie wypadało iść na zabawę w obcej wsi, dlatego na wiejskich zabawach było zawsze więcej chłopców, których w tym względzie zwyczaj nie krępował. Ale za to dochodziło wielokrotnie do nieporozumień między mężczyznami, które zwykle kończyły się bójkami. W 1943 roku wypadło mi być na takim święcie i wiejskiej zabawie w Rozstajnem, rodzinnej wsi mojej babci. Było nas dwunastu kawalerów, dla których z uwagi na małe pomieszczenie i małą ilość kobiet trzeba było wydzielić dwa tańce.

Na wiejskich zabawach i weselach najczęściej grała cygańska kapela, składająca się z dwojga skrzypiec i kontrabasu. Dopiero w ostatnich latach przed drugą wojną światową w niektórych wioskach powstawały orkiestry lemkowski-cygańskie, do których wprowadzano częściej inne instrumenty: harmonie, klarnety, trąbki i bębny.

W innych wioskach święta parafialne obchodzono w okresie letnio-jesiennym, m.in. w dniach Zaśnięcia Najświętszej Bogurodzicy 28 VIII, Narodzenia Najświętszej Marii Panny 21 IX, Opieki Matki Bożej 14 X, św. ap. i ewangelisty Łukasza 31 X, św. Dymitra 8 XI, św. Paraskewy 10 XI, św. św. Kosmy i Damiana 14 XI, św. Michała Archanioła 21 XI, św. Mikołaja 19 XII i innych patronów.

Jeżeli święto parafialne wypadło na św. Mikołaja, to nie przygotowywano potraw mięsnych i nie organizowano zabaw. Tego dnia największą uciechę miały dzieci, które wieczorem przed snem wystawiały swoje szkolne woreczki i kierpczyki na podarunki od świętego Mikołaja.

Latem i jesienią w wolnych chwilach każdy zaradny gospodarz starał się zgromadzić drewno opałowe, aby zdażyło odpowiednio podeschnąć. Najwięcej czasu można było temu poświęcić dopiero po wykopkach i jeszcze przed omlotami. Drewno potrzebne było przez cały czas do gotowania potraw, a najczęściej używano go do ogrzewania pomieszczeń mieszkalnych podczas długiej i mroźnej zimy. Podeschłe duże i małe kawałki drewna trzeba było ręcznie porządkować na klocki i połupać.

a następnie ułożyć w wielu szeregach na przyzbach wokół izby mieszkalnej oraz w szopie i to tyle, żeby starczyło na całą zimę.

Od połowy jesieni trzeba było zająć się warzywami ogrodowymi. Cebulę i czosnek należało wybrać, oczyścić, powiązać w wieńce i powiesić w suchym miejscu. Przed jesiennymi deszczami należało wykopać marchew, jeżeli dzieci nie wybrały jej wcześniej do zjedzenia. Zostały jeszcze do wykopania i zebrania buraki ćwikłowe i pastewne, fasola i dynia, a także rzepa, karpiele i brukiew. Wszystkie warzywa składowano w piwnicach, albo w komorach i przeznaczano je w pierwszym rzędzie dla ludzi, ale także dla bydła i świń. „Dla siebie” przeznaczano marchew, buraki ćwikłowe, dynię, fasolę i część karpielei, które były bardzo smaczne, lecz mniej kaloryczne.

Na samym końcu z pola zwożono kapustę, której w gospodarstwach sadzono tyle, ile potrzebowała rodzina na zakiszenie jednej, albo dwóch beczek. Kapustę dobrze czyszczono i szatkowano na specjalnej szatkownicy. Następnie kiszono ją w beczkach dębowych przechowywanych najczęściej w komorach. Gospodynie musiały jej pilnować, usuwać nadmiar wody i kwasu, aby nie straciła wartości odżywczych i smaku. To było bardzo ważne – kiszona kapusta i ziemniaki były bowiem podstawowymi artykułami spożywczymi w każdym gospodarstwie przez cały rok. Znam przypadki, że w niektórych biedniejszych i wielorodzinnych gospodarstwach na przednówku, to jest po wiosennych zasiewach a przed nowymi zbiorami, nieraz brakowało i ziemniaków, i kapusty.

Późną jesienią przychodził czas na najcięższą pracę w każdym gospodarstwie – omloty żyta, jęczmienia, owsa, czasem pszenicy. Do lat trzydziestych wszystkie zboża młócono cepami. Cepów używano i później, ale tylko do żyta ozimego, z którego w gospodarstwie potrzebna była czysta i zdrowa słoma. Gospodarze robili z niej duże snopy – okołodki, które najpierw wykorzystywano do ocieplania izb mieszkalnych, a następnie każdy gospodarz z tych snopów kręcił twarde zwoje słomy zwane kiczkami, z których robiło się pokrycia dachowe. Z żytniej słomy kręcono też powrósła niezbędne przy żniwach do wiązania snopów zboża jarego. Resztę słomy żytniej wykorzystywano na sieczkę dla koni i świń. W latach okupacji i po drugiej wojnie światowej i mnie zdarzało się młócić cepami żyto ozime, robić z niego okołodki, kręcić kiczki i powrósła, oraz rznąć sieczkę – tak pomagałem rodzicom.

Wywijanie cepem w pojedynkę nie stanowi żadnego problemu. Ale młocka cepami we dwójkę, lub trójkę, która musiała odbywać się w ści-

śle określonym rytmie „łupu-cupu-łup” i do tego z użyciem całej siły – to już prawdziwe rzemiosło. Trzeba bowiem wiedzieć, że lekkie uderzenie cepem nie było skuteczne w młocce zbóż twardych, np. owsa, i grochu. Utrata rytmu młocki przez jedną z osób mogła się natomiast wiązać z kalectwem któregoś z młockarzy. Małe opóźnienie lub uderzenie cepem w nieodpowiednie miejsce powodowało odwrócenie któregoś cepa na jednego z uczestników młocki i tragedia gotowa.

Tam, gdzie w rodzinie byli dorośli mężczyźni, młocka postępowala dużo sprawniej i szybciej. Gorzej było w rodzinach, w których musiały pomagać kobiety, które wszak i bez młocki miały dość roboty w gospodarstwie.

Za mojej pamięci wszystkie inne zboża, poza żytem, młócono już młocarniami kupowanymi przez kilku gospodarzy do spółki. Pierwsze miały bębny z zębami, które przy szybkich obrotach obtłukiwały kłosa, wyrzucając zboże i słomę pod maszynę. Udoskonalone młocarnie miały już wytrząsacze do słomy, co bardzo ułatwiło pracę. Na początku oba rodzaje młocarni uruchamiane były ręcznie. Czworo ludzi musiało kręcić dwoma kołami zamachowymi, które przez przekładnię kół zębatach kręciły bęben.

Szybko mozolną pracę ludzi zastąpił kierat obracany przez parę koni. Tu już potrzeba było mniej ludzi, a i praca ich była dużo lżejsza. W latach trzydziestych w sąsiedztwie była jedna duża młocarnia z napędem motorowym na ropę. Zbędny stał się więc kierat i konie. Jeżeli dawniej dwie osoby młóciły cepami prawie dwa miesiące, to teraz przy zatrudnieniu ponad 10 osób omloty wszystkich zbóż w gospodarstwie (bez żyta) trwały dwa, trzy dni. Młocarnia obsługiwała najpierw właścicieli, a później sąsiadów. Kto nie miał młocarni, ten za odrobek prosił sąsiada o pomoc. Tym sposobem wszyscy do połowy grudnia byli po omlotach.

Słomę ze zbóż jarych składowano na strychu, gdzie przedtem znajdowały się snopki zboża. Ziarno omłócone cepami i młocarniami trzeba było oczyścić z plew, śmieci i kamieni. Do pierwszej wojny światowej czyszczono tradycyjnie – szuflą, płachtą i przetakiem (reszeta). Jedna osoba na klepisku rzucała drewnianą szuflą (wijaczką) lekko rozsiewając zboże na wysokości kolan, druga osoba grubą płachtą lub workiem zdmuchiwała plewy znajdujące się w zbożu. Następnie zboże oddzielone od plew trzeba było oczyścić ze śmieci i kamieni. Służył do tego drewniany przetak, którym umiejętne ręce kobiece odsiewały zanieczyszczenia od zboża. Po pierwszej wojnie światowej sprzęt ten zastąpiło nowe urządzenie, zwane rosztą (młynek), w którym wiatraki kręczone ręczną

korbą i różne sита oddzielały zboże od plew, śmieci i kamieni. Dla każdego ze zbóż były inne sита. Moim zadaniem przy omlotach było poganianie koni w kieracie lub podawanie snopków obsługującemu młocarnie a przy młynkowaniu zboża kręcenie korbą młynka oraz wynoszenie worków ze zbożem do spichlerza (sypanca).

Przed postem Bożego Narodzenia, rozpoczynającym się w ostatnim tygodniu listopada po dniu św. Filipa, prawie każdy gospodarz musiał zrobić olej lniany. Sposobem gospodarczym z nasion lnu można było wycisnąć taki olej, jakiego nie udało mi się później znaleźć już nigdzie i nigdy w moim życiu. Ziarno lnu na olej musi być czyste i dobrze wysuszone. Takie właśnie niosłem do wiejskiej olejarni w górnym końcu wsi u mojego chrzestnego, Michała Kusajły. Tam w spichlerzu była duża stępa, rodzaj drewnianego moździerzka, z nożnym stęporem (stupa i stupir), obok którego stała płyta piecowa (watra), oraz stół z mocnymi śrubami dociskowymi. Len trzeba było wsypać do stępy i stęporem tłuc tak długo, aż ziarno zamieni się w pachnącą gęstą pulpę. Rękami, dla utrzymania równowagi, trzymało się drążka pod sufitem. W tej ciężkiej pracy musiało brać udział kilkoro członków rodziny na zmianę. Kiedy po kilku godzinach tłuczenia pulpa była już tłusta i pachnąca, olejarz wkładał ją do czystych i mocnych lnianych worków po 2–3 kilogramy. Worki podgrzewał i wkładał do żelaznych form umocowanych na specjalnym stole z ruchomym blatem dociskowym. Z gorącej pulpy w szczelnych formach dociskanej blatem i dokręcaniej śrubami uzyskiwało się już prawdziwy, czysty i pachnący olej lniany. Z jednego wsadu pulpy nakapało go zwykle około czterech litrów. W workach z pulpą po wyciśnięciu oleju zostawały twarde i suche makuchy, które po rozkruszeniu i namoczeniu były bardzo dobrą paszą dla cieląt i świń.

Zima

W górach zima przychodzi bardzo szybko, a śnieg leży często od listopada do kwietnia prawie pięć miesięcy. Sprawdzają się przysłowia: „Święty Michał na siwym koniu przyjechał” (21 XI) i „Na Zwiastowanie zimy wymiatanie” (7 IV).

Kiedy na polach pokazał się pierwszy śnieg, gospodarze musieli powiązać w stajniach konie i bydło. Od tej pory trzeba było karmić je dwa razy dziennie. Konie dostawały konicznę, lucernę i siano, ale tym, co pracowały, nadal dodawano obroku – owsa z sieczką. Bydło karmiono

słomą z jarych zbóż, czasem z dodatkiem siana. Owce i kozy dostawały siano, słomę i warzywa.

Konie pojono w stajni, bydło, owce i kozy gnano pod wieczór do wodopoju na rzece, która płynęła niedaleko zabudowań. Jeżeli w zimie rzeka mocno zamarzała i spadły duże śniegi, inwentarz pojono w stajni wodą ze studni, która znajdowała się koło każdego domu.

Poza obrządkiem ludzie w zimie mieli bardzo dużo różnych innych robót: wyrabiali płótno i sukna, robili na drutach, przygotowywali kiczki i gonty na pokrycia dachowe, pletli liny i powrozy, wyrabiali i naprawiali drewniane narzędzia oraz sprzęt gospodarski.

Gospodarze, którzy hodowali owce, mogli raz albo dwa razy w roku strzyć ich wełnę. Przechowywali ją w workach w suchych miejscach aż do zakończenia wszystkich prac polowych i omlotów. Właśnie zimą trzeba było przebrać ją i poskubać, aby pozbyć się z niej różnych zanieczyszczeń. Później się ją greplowało, czyli wyczesywało na specjalnych zgrzeblach. Odpadała wtedy z wełny reszta zanieczyszczeń i prostowały się wełniane zwitki, które łatwiej dawały się prząść na cienką przędzę wełnianą. Przędli na ogół mężczyźni, dawniej na wrzecionach, a później na kołowrotkach.

W tym samym czasie kobiety zaczynały dalszą pracę z włóknem lnianym, które od października czekało na czesanie. Czesanie zwitków lnianych odbywało się na specjalnych szczotkach zrobionych z długich, cienkich i gładkich drutów. Oczyszczało się w ten sposób włókna lniane z reszty paździerzy. Można było przy tym podzielić je na długie i mocne, oraz krótsze i słabsze zwane paczesnym.

Wyczesane lniane włókna wiązano w małe zwitki, zakładane potem na kądziele do przędzenia na nitki. Dawniej przędło się len na wrzecionach, dopiero od lat trzydziestych znane były kołowrotki. Przędły na nich przeważnie młodsze gospodynie i dziewczęta. Zajmowały się tym od rana do wieczora, a czasem i wieczorami przy lampach naftowych, a jeszcze wcześniej przy świetle szczap świerkowych.

W zimowe wieczory dziewczęta organizowały sobie tak zwane wieczornice. Łączono przyjemne z pożytecznym – była wspólna praca i towarzyskie spotkanie. Pamiętam, że u sąsiada w niewielkiej izbie zbierało się kilka dziewcząt z kądzielami – kołowrotkami lub wrzecionami – aby od poniedziałku do piątku wieczorami przez 3-4 godziny przy lampach naftowych prząść len na nitki. Na wieczornice przychodzili i chłopcy, aby śpiewać kolędy i organizować różne gry, szachy, warcaby, karty.

lub czesanego. Takiego przedzenia wieczorowego było przez prawie cały post bożonarodzeniowy od czterech do pięciu tygodni. Na wieczornicach nie widać było nigdy podpitego towarzystwa. Czasem tylko gospodarz, albo starszy parobek poczęstował kogoś kieliszkiem kropki, by weselej było śpiewać i rozmawiać.

W naszym domu była spora, siedmioosobowa rodzina, obsiewano więc lmem parę zagonów i zimą było z nim dużo roboty. Kiedy skończyłem szkołę podstawową, rodzice kupili mi nowy kołowrotek, na którym musiałem pomagać mamie prząść len. Chciałem codziennie uprząść pełną szpulę nitki i zwinąć z niej na motowidle cały lokieć, to jest dwadzieścia cztery pasma po dwadzieścia cztery nitki. W czasie okupacji, po zakończeniu przedzenia lnu, pomagałem mamie przy wszystkich robotach związanych z wyrobem płótna i sukna, to jest z obsługą wijadeł, szpulara i czasem krosien – warsztatu tkackiego. Na krosnach zastępowałem mamę tylko wtedy, kiedy tkanie przebiegało gładko, bez przeszkód pracowały berdo, czonok, nyczelnicy. Tkane płótno musiało być gęste, bez dziur i zmarszczek. Każda urwana nitka lub złe uderzenie berdownicą powodowały skazy na płótnie, a to dyskwalifikowało tkacza.

Tak, jak dzielono włókna lniane na lepsze i paczesne, tak też tkano płótno cienkie i grubsze – lniane i paczesne. Kiedy na krosnach zostawała niewykorzystana osnowa, gospodyni wykańczała ją innymi nićmi, na przykład wełnianymi lub cienkimi paskami nadartymi z różnokolorowej tkaniny. Z takiej kombinacji tkackiej wychodziły piękne, wąskie dywaniki. Z surowego płótna można było uszyć tylko płachty do siana i słomy oraz worki na zboże i ziemniaki. Na uszycie z płótna lnianego odzieży kobiecej i męskiej trzeba było poczekać na płótno bielone, o którym wspomniałem już przy pracach letnich.

Taką samą metodą tkano przedzę wełnianą, z której powstawało płótno wełniane. Z utkanym płótnem wełnianym trzeba było jechać do tak zwanego folusza (stupy) w Świątkowej Wielkiej. Gospodarze umawiali się w kilku i jechali dwoma wozami załadowanymi płótnem oraz suchym drewnem. Tam, nad rzeką w niewielkim budynku podobnym do młyna wodnego, stał wielki piec z kotłami do grzania wody. Było również koryto, w którym płatowe koło mieszało w zimnej i gorącej wodzie płótno wełniane. W czasie dnia i nocy, przy zmiennej temperaturze wody, płótno wełniane zamieniało się w gęste i grube sukno, z którego po wysuszeniu można było szyć sukienną odzież na zimę. Szyto z niego odzież roboczą i świąteczną: kapoty, cholośnie, czuhy dla mężczyzn oraz huńki dla kobiet.

Zimą gospodynie i dziewczęta robiły na drutach swetry, pończochy i rękawice z czarnej i białej wełny. Ja z konieczności też musiałem się tego nauczyć. Mówiono, że jak na chłopca te druciane roboty udawały mi się dość dobrze. Nie miałem problemów ze swetrami plecionymi w różne wzorki, jodelkę, warkocze, kwadraty, jak również z pończochami i rękawicami z palcami i bez palców.

W pierwszej połowie stycznia (7,8,9 według kalendarza zachodniego) w obrządku wschodnim przypadają Święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok (14), i Jordan (19). Święta te rozpoczynają się Wigilią (6 stycznia – Świątym Wieczorem). W tym dniu wszystkich obowiązywał ścisły post. Od rana do kolacji wigilijnej dawali jeść tylko surową kapustę okraszoną lnianym olejem z pieczonymi ziemniakami. Mleko i ser mogły jeść małe dzieci i ludzie chorzy. Gospodyni kazała czekać na wigilijną kolację, która składała się z 12 postnych potraw. Weześniej gospodarz karmił i poił konia, bydło, owce i kozy. Przed zmrokiem dorosli domownicy (bez dzieci, chorych i starców) szli nad rzekę, aby umyć się w bieżącej wodzie. Gdy rzeka była daleko, lub było śnieżnie i mroźno, to i studnia musiała wystarczyć. Następnie gospodarz szedł do stajni podzielić się z inwentarzem chlebem i solą. Opowiadano, że w ten wigilijny Święty Wieczór chudoba rozmawiała ludzkim głosem. Gospodarz, wracając ze stajni, przynosił do izby trochę siana, które rozścielano na stole i ławkach. W kącie za stołem stawiał mały snopek niemłóconego zboża. Pod stół kładł coś z gospodarskich narzędzi, na przykład młotek, piłkę, siekiere. Wszystko to miało przedstawiać Świętą Rodzinę i stajenkę betlejemską. Gospodyni zaścielała stół sianem, białym obrusem, na który kładła świeży chleb, prosforę (opłatek), nóż, czosnek oraz drewnianych łyżek tyle, ile było domowników oraz jedną dodatkową dla przygodnego podróżnika. Stawiała na stole szklankę ze zbożem, w której stała świeczka gromniczna.

Kiedy na niebie pokazała się pierwsza gwiazda, koło stołu zbierała się cała rodzina. Najpierw zapalano świeczkę i stawiano na stole miskę z pierwszą potrawą. Po krótkiej modlitwie, którą odmawiał gospodarz albo gospodyni, obdzielano wszystkich prosforą lub łamanym chlebem wraz z kawalczykiem czosnku.

Dalej toczyło się tradycyjnie – cała rodzina jadła z jednej miski wszystkie podawane przez gospodynię 12 potraw. Były w pełni postne, kraszone olejem lnianym lub masłem roślinnym. Było zatem coś z ryb, barszcz czerwony (warianka), kisiel (kesetyca), kapusta, groch, fasola, grzyby

oraz pierogi z różnym nadzieniem postnym. Po kolacji śpiewano troparion Narodzenia Pańskiego i kolędy. Gospodyni po umyciu naczyń, wiązała drewniane łyżki i kładła je pod obrus na stole, co miało gwarantować więź rodzinną w nadchodzącym nowym roku. Domownicy śpiewali kolędy w oczekiwaniu na kołędników, którzy co roku przychodzili i kołędami przypominali, że dziś w Betlejem narodził się Chrystus.

Przed północą ludzie szli do cerkwi i tam wspólnie śpiewali, lub słuchali nabożeństwa i kolęd. Najpierw było całonocne czuwanie z najpiękniejszymi pieśniami anielskimi „Z nami Bóg, pamiętajcie narody” i „Chwała na wysokości”, a później święta liturgia. Wszystkie nabożeństwa trwały ponad dwie godziny. Od tego wieczoru aż do Wigilii Chrztu Pańskiego (Jordanu) ludzie pozdrawiali się słowami „Chrystos raždajet sia” (Chrystus się narodził) i odpowiadali na takie powitanie „Sławymy jeho” (Sławimy go). Rano w pierwszy dzień świąteczny wszyscy domownicy myli się w jednej misce w zimnej wodzie, do której gospodarz wrzucał parę miedzianych grosików, co miało gwarantować, że grosz będzie się trzymał rodziny w całym nadchodzącym nowym roku. Po południu więcej chłopcy, ja od 1936 roku także, chodzili po domach z gwiazdą jako kołędnicy. W pierwszy dzień świąt w izbach mieszkalnych nie zamiatano, co miało przypominać stajenkę betlejemską gdzie narodził się Mesjasz. Zamiatano w drugi dzień świąt, a dziewczęta wynosząc śmieci głośno hukaly do górskich wierchów i lasów. Chciały usłyszeć górskie echo, bo z tej strony, z której się ono odezwie miał przyjść jej ukochany. Tylko niektórzy wiedzą, że zimą nie ma żadnego echa, a owi wybrańcy serca przychodzili, owszem, ale na ogół nie wtedy i nie z tej strony, z której się ich spodziewano.

Nowego roku na Łemkowszczyźnie nie witano tak hucznie, jak to czynią narody innych wyznań. Teraz częściej wspólnie obchodzi się Nowy Rok, szczególnie w rodzinach mieszanych.

W naszej tradycji było ważne, żeby w Nowy Rok pierwszym gościem był mężczyzna, co dawało gwarancję powodzenia w rodzinie. Wiedząc o tym, kobiety nie chciały iść do nikogo, gdyż nie były pewne, czy będą życzliwie przyjęte. Były jednak i takie, które umyślnie łamały ten zakaz i na złość przychodziły do sąsiada – „niech mu się nie wiedzie”.

W tydzień po Nowym Roku przypada święto Chrztu Pańskiego w rzece Jordan. W jego wigilię, jak w Wigilię Bożego Narodzenia, obowiązuje ścisły post, jest też kolacja, ale nie ma chodzenia do rzeki, odwiedzin u bydła i siana na stole. Tego dnia trzeba było przygotować na rzece miejsce

na jordańskie święcenie wody. W naszej wiosce rzeka płynęła około 100 m od cerkwi, a że w tym czasie panowały największe mrozy i śniegi, potrzebne było odśnieżanie ścieżki i wykonanie przerębla w lodzie. W dniu Jordanu poprawiano ścieżkę i przerębel, gdyż nocą często zawała, a rzeka na nowo zamarzała. W tym dniu nad rzekę zanoszono stół potrzebny kapłanowi do spełnienia posługi poświęcenia wody. Po liturgii świętej wierni brali krzyż, dwie chorągwie, Ewangelię i świeczki; szli tłumnie z kapłanem nad rzekę poświęcić wodę. Później brali wodę do różnych naczyń. Kto nie mógł być na uroczystości, mógł zaczerpnąć jej i w innym miejscu, bo w tym dniu woda święconą była wszędzie. Ludzie, wróciwszy do domów, wlewali trochę święconej wody do studni, kropili nią zagrody, ale na poświęcenie izb czekali na kapłana, który po Jordanie odwiedzał wszystkie domy. Wodę święconą przechowywano dość długo, ona nigdy się nie psuła. Przydawała się na przykład przy chorobach oraz przed rozpoczęciem i zakończeniem ważnego dzieła.

Drugi dzień po Jordanie był dniem bardzo ważnym dla sług i ich rodzin. Chłopcy i dziewczęta, którzy przychodzili na kilka dni, na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, do własnych domów – teraz musieli wracać do swoich gospodarzy.

Na służbę szła młodzież z rodzin biednych, które nie mogły utrzymać się ze swojego gospodarstwa. Rodzice takich dzieci rozważali różne wyjścia, zanim zdecydowali się na posłanie syna lub córki na służbę. Bardzo ważne było dla nich, do kogo najmują syna albo córkę, czy była to rodzina bezdzietna, czy miała więcej czeladzi. Niektórzy uciekali ze służby do swych domów, ale nie znajdowali zrozumienia i pocieszenia, bo w domu bieda była jeszcze gorsza niż na służbie. Inni zostawali na służbie na dłużej, bywało, że na zawsze.

Z naszej wioski biedniejsza młodzież szła służyć na inne wsie, albo do rodzin żydowskich w mieście. Mało kto decydował się na oddanie dziecka na służbę w swojej wsi – ciężko było przyznawać się do biedy, a jeszcze trudniej byłoby oglądać swoje dziecko na poniewierce u innego gospodarza. Za ciężką pracę na służbie zapłata była niewielka i najczęściej w naturze – jakaś odzież, żywnienie, nocleg w stajni i coś dla rodziny. Ciężki to był los, ale wtedy w górach na biedę nie było innej, lepszej rady. Może jeszcze emigracja do innych krajów, co nie zawsze jednak rozwiązywało sprawę.

Wiosną niektórzy gospodarze przy wysiewie nasion lnu, siali też trochę konopi. Włókno konopne jest dużo mocniejsze od lnianego i dlatego używa się go do produkcji lin, postronków i powrozów. Kiedy w go-

spodarstwach uporano się z lnem i wełną, a w izbach uprzątnięto warsztaty tkackie, na ich miejsce przygotowywano urządzenie do kręcenia powrozów. To całkiem proste – dwie grube deski z czterema otworami, czterema pokrętłami i wózek na dwóch kółkach na przedniej ośce z wysięgnikiem i pokrętłem oraz deską wlokącą się po ziemi. Stała dziurawkę mocowano do ławki pod oknem, a z przeciwnej strony od drzwi stawiano wózek w odległości tyłu metrów, jakiej długości potrzebny był powróż.

Na cztery, trzy, albo dwa pokrętła rozciągano jednakową ilość nici lnianych lub konopnych (w zależności od wymaganej grubości powroza) i ruchomą dziurawką kręcono pokrętłami rozciągnięte nici do odpowiedniej twardości zwojów. Następnie pokrętłem na wózku kręcono już powróż z regulacją jego twardości dwoma patykami założonymi między zwojami.

Ostatnią czynnością było wykończenie mocną nitką obu końców każdego powrozu, aby nie dopuścić do jego rozwijania i strzępienia. Tak ukręconych powrozów używano na postronki do uprzęży, na kantary, lejce i pęta dla koni, oraz różne powrozy dla bydła, do wozów i sań.

W drugiej połowie lutego większość gospodarzy wywoziła obornik na pola położone na wyższych stokach górskich. Wożono go okrężnymi trasami na saniach w niedostępne miejsca uprawne, gdzie dotarcie było możliwe tylko zimą.

Karnawał (miasnyci)

Karnawał to czas od święta Jordanu do Niedzieli Seropostnej, czyli od pięciu do ośmiu tygodni w zależności od terminu Wielkanocy, która wypadła z końcem marca, a nawet z początkiem maja. Ludzie z karnawałem wiązali różne plany i nadzieje, a to dlatego, że był to najbardziej odpowiedni czas na organizowanie zabaw i wesel. W dłuższym karnawale mogło pomieścić się wszystko – od zaręczyn aż po wesele.

Często jesienią podczas kiermeszy rodzice, którzy w domu mieli córkę na wydaniu lub syna do żeniaczki, umawiali się w rodzinie, że będą musieli szukać nowej rodziny dla swoich dorosłych dzieci. Zaraz po świętach Bożego Narodzenia zapadało postanowienie o wydaniu córki za mąż lub o ożenku syna. Karnawał to najlepsza okazja do takich działań. Gospodynie i gospodarze nigdy nie wstydzili się swoich dzieci, ale też się nimi nie chwaliли, bo i czym się tu chwalić, kiedy często była ich spora garstka. Rodzice radzili sobie jak mogli, wyjeżdżając za granicę albo oddając

starsze dzieci na służbę, aby tylko nie dopuścić do biedy w domu. Każda rodzina dbała o swoje dzieci i chciała zapewnić im godne życie. W rodzinach, które miały dorosłe dzieci gotowe do założenia własnych rodzin, już w drugi, albo w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia myślano o zaręczynach.

Najważniejsze słowo należało do ojca i matki, choć nie zawsze było ono zgodne z wolą syna, albo córki. Rodzice mieli jednak do dyspozycji niepodważalny argument – pole, las i dom – bez czego w górach nie mogło dojść do żadnych zaręczyn i wesela. Rodzice zresztą, jeżeli postawili sobie za punkt honoru dobrze ożenić syna lub wydać córkę za mąż, tak długo krążyli wokół sprawy, że w końcu dzieci, choć na początku nie chciały o tym słyszeć, skłaniały się do zgody. Nie było problemu, jeżeli młodzi wcześniej się znali choć trochę. Gorzej było, jeżeli znali się tylko rodzice. A trzeba wiedzieć, że we wsiach łemkowskich nie było zwyczaju, że zięć lub żona muszą być z tej samej wioski, choć – oczywiście – było dobrze, gdy tym sposobem udawało się powiększyć gospodarstwo.

Nadchodził wreszcie czas, żeby wybrać się z synem za żoną. Dziewczyna – rada, nie rada – zawsze musiała czekać na tego, który był jej przeznaczony. Jeżeli więc ojciec z matką postanowili, że któregoś dnia po świętach pójdą, albo wyślą syna ze swatami do przyszłej rodziny, tak w końcu robili. Bywało i tak, że postanowienie syna smuciło ich albo i gniewało. Najczęściej jednak zdawał się na rodziców całkowicie, bo wiedział, że przekorą nic nie osiągnie, a oni przecież nie mogą chcieć źle dla swojego dziecka. Wspólnie postanawiali więc, że do tej sprawy trzeba poprosić znanego swata. Najlepiej jeżeli uda się namówić dobrego i poważnego gospodarza, który potrafi poprowadzić sprawę od początku do końca i jest znany jako dobry mówca. Na takiego mówcę liczyła cała rodzina młodego, miał on bowiem obowiązek rozpoznać sytuację, dowiedzieć się, czy swaty będą mile widziane i kiedy będzie można przyjść lub przyjechać do przyszłej panny młodej.

Najczęściej swat albo rodzice syna powiadamiali nową rodzinę, że za ich zgodą pragną przyjechać w swaty w najbliższą sobotę. W odpowiedzi słyszało się albo zgodę na wizytę, albo wymówkę, że ich córka jest jeszcze za młoda na małżeństwo. W sobotę wieczorem pieszo, sankami lub furmanką wybierały się w swaty trzy osoby: swat, ojciec i syn. Wyruszały w drogę z domu młodego tak, aby na miejscu być o zmroku. Zabierali ze sobą litr dobrej wódki. Syna na szczęśliwą drogę błogosławiła matka.

W zagrodzie panny młodej w tę sobotę po południu było już święto. Wszystko przygotowane było na wysoki połysk. Sąsiedzi oczywiście podejrzywali, co się kroi. skoro koło domu widać było większy ruch niż zwykle, a dziewczyna nie mogła spokojnie usiedzieć w domu i posprzątała wszystko w zagrodzie i w ogródku. Dom, zagroda i izba wyglądały tego dnia lepiej niż w niedzielę czy święto. Rodzice dziewczyny pamiętali o bydle, żeby nie ryczało, o kurach, żeby się nie plątały po podwórku. Wiedzieli też, że swatów mogą zainteresować i inne sprawy gospodarskie, a najbardziej może chodzić o majątek, którym dysponuje nowa rodzina, i jakiego wiana będzie można spodziewać się z panną młodą. Wszyscy czekali zmroku, bo wiedzieli, że żaden swat nie pokaże się za dnia w obejściu, gdzie jest panna na wydaniu. Rodzice panny już od dawna mieli w zapasie coś do wypicia, bo karnawał to taki czas, że jeżeli nie ci, to inni swatowie mogą się trafić.

Jak tylko swatowie dojechali, ktoś z rodziny zaraz zajmował się ich końmi, do izby wchodzili w ustalonej kolejności: swat, ojciec i syn. Po długim powitaniu ze wszystkimi, swat – jako najważniejszy – tłumaczył szczerze, że interesuje ich coś z gospodarki, dobra jałówka i ładna panna dla kawalera, z którym przyjechał. Gospodyni i gazda z uśmiechem informowali, że darmo do nich nie wstąpił, bo akurat posiadają to, co gości interesuje. Na dobry początek swat prosił o kieliszek, wyciągał spod pachy litrówkę wódki i stawiał ją na środku stołu zaścielonego białym obrusem. Tłumaczył, że zwyczajem jest poważne sprawy załatwiać przy kieliszku. Matka nie musiała przypominać córce, o co chodzi, bo ona sama czekała na chwilę, kiedy będzie mogła pokazać się gościom. Z kredensu wyjmowała jeden kieliszek i nóż. Matka szła do komory, skąd przynosiła świeżo upieczony chleb oraz masło i ser na zakąskę. Swat napełniał kieliszek i, zwracając się do gospodarzy, pozdrawiał i pił ich zdrowie. Po wypiciu napełniał kieliszek ponownie i podawał go gospodarzowi, potem gospodyni, ojcu, pannie i na koniec kawalerowi z którym przyjechał (na Łemkowszczyźnie na wszelkich przyjęciach i weselach wszyscy pili z jednego kieliszka). Po następnej kolejce i po wielkich naleganiach, goście zaczęli zakąszać chlebem z masłem i serem. Domowników ciężko było do tego namówić. Obie strony tłumaczyły się tym, że niedawno coś zjedli. Kieliszek z wódką i pozdrowieniami krążył zatem kilka kolejek. Po nich swat, słowo po słowie, zaczął zbliżać się do sedna sprawy, mówiąc, że tak naprawdę przyszli prosić rodziców panny o jej rękę. Gospodyni z gospodarzem

przyznawali, że spodziewali się takiej rozmowy i są radzi temu związkowi, ale uważają, że ostatnie słowo należy do ich córki. Córka czerwieniła się jak burak, ale odpowiadała, że ona też o tym chłopcu myślała. Mówiła, że już kiedyś zobaczyli się w cerkwi i jest zgodna wyjść za mąż za niego – tu wymieniła imię kawalera, które już sobie nawet zapamiętała.

Słyszając te słowa, gospodarz szedł zaraz do komory po swoją litrówkę, a gospodyni na zakąskę wyciągała zatopioną w smalcu kielbasę z zarżniętej na kierzki świni. Teraz kieliszek krążył znowu i w końcu wszyscy zgodnie postanawiali, że najlepiej będzie zorganizować wesele za pięć tygodni w końcu tego karnawału. Narzeczeni po tych ustaleniach szli do innego pomieszczenia, aby powiedzieć sobie coś więcej. Tymczasem w izbie rozpoczynały się poważne rozmowy na temat wiana jakie otrzymać powinna panna młoda. Rodzice panny młodej, swat i ojciec pana młodego ustalali, jak mogą pomóc swoim dzieciom. Swat podpowiadał, że pan młody może objąć gospodarstwo ojca, ale jest możliwość inna – oddzielenie się od rodziców i pobudowanie nowego domu. Rodzice panny młodej się nie spierali, bo w domu było jeszcze więcej dzieci. Obiecywali, że w tej chwili stać ich tylko na małe wiano dla córki – pierzynę, jałówkę cielną i dwieście dolarów. Ojciec młodego kręcił nosem, że „talarów” trochę mało, przydało by się drugie tyle, ale rozumie, że jeżeli rodzice młodej będą kiedyś mieli więcej pieniędzy, nie poskąpią ich, tym bardziej wtedy, kiedy pojawią się wnuki. Kiedy do izby wracali młodzi po długich rozmowach na osobności, postanawiano, że rano pójdą na plebanię. Zgłoszą proboszczowi swoje zaręczyny, żeby mógł trzykrotnie ogłosić w cerkwi zapowiedzi. Dostaną też kartkę do proboszcza w parafii młodego, aby i ten ogłosił zapowiedzi. Od tego dnia obie strony prowadziły przygotowania do wesela. A trzeba wiedzieć, że wesele w górach trwało dawniej nie mniej niż dwie noce i dzień. W rodzinach zamożnych nawet trzy dni i trzy noce.

Jarmarki

Pamiętam, że przed drugą wojną światową w Nieznajowej po pracach wiosennych i w środku jesieni kupcy żydowscy z wójtem wsi organizowali wiejskie jarmarki. W przeddzień, a także rano w dzień jarmarku, z Gorlic do Nieznajowej jechały przez naszą wieś z różnymi towarami wozy szatrowe, kabłąkowe kryte plandekami. W Nieznajowej nad Wisłoką na obszernym placu stawały stragany kupieckie kryte i otwarte, na których rozkładano różne towary. Te wiejskie jarmarki znane były daleko w okolicy, a korzyści z nich mieli i kupcy i gospodarze. Kupcy

sprzedawali fabryczne płótna, gotową odzież, chustki, czapki, kapelusze, skórę na kierpce, gotowe obuwie i narzędzia gospodarskie fabrycznego wyrobu: kosy, łańcuchy, uprząż dla koni, gwoździe, młotki, obecgi. Ci sami kupcy skupowali od gospodarzy ich produkty: bydło, świnie, cielęta, kury, jajka, surowe skóry, suszone grzyby i inne. Oczywiście produkty rolników były zawsze dużo tańsze od towarów przemysłowych.

Odpusty

W latach 1934-1938 odbywały się w naszej wsi uroczystości parafialne poświęcone pamięci więźniów Talerhofu i męczeńskiej śmierci księdza Maksyma Sandowicza. Od tego czasu i ja co roku miałem możliwość przysługiwania (ministrantury) w cerkwi na wszystkich nabożeństwach niedzielnych i świątecznych.

W latach parzystych – 1934, 1936, 1938 – uroczystościom przewodniczył biskup Szymon Ostrożski. Kilkanaście parafialnych procesji, czyli piętnastu – dwudziestu księży i kilka tysięcy wiernych z całej Łemkowszczyzny w różnokolorowych strojach ludowych, ciągnęło drogą półtora kilometra za wieś. Nieśli 15-20 krzyży, 40-50 chorągwi, 15-20 ikon przenośnych, 15-20 wieńców z różnokolorowymi wstęgami i napisami. Szpaler rozciągał się przez całe Czarne od cerkwi aż po wzgórze za wsią. Porządku pilnowali członkowie komitetu organizacyjnego. Tego dnia wieńce przykrywały całkowicie stojący tam od 1934 roku pomnik ofiar Talerhofu, a krzyże i chorągwie kilka razy okrażały kaplicę (również stała tam od 1934 roku).

W kronice proboszcza wsi Czarne, ks. Jerzego Pawłyszyna, z lat 1927-1939 znalazła się następująca relacja ówczesnej gazety warszawskiej „Ruskiego Słowa”:

„Dnia 8 września 1934 roku z okazji 20-tej rocznicy męczeńskiej śmierci księdza Maksyma Sandowicza we wsi Czarne gorlickiego powiatu, w centrum Prawosławnego Ruchu na Łemkowszczyźnie, 4 km od mogiły (na przełaj przez góry) księdza Maksyma Sandowicza odbyła się uroczystość ku czci pamięci Męczennika i poświęcenia pomnika i kaplicy postawionych wdzięcznymi wiernymi na cześć księdza Maksyma i ofiar Talerhofu. Uroczystość przygotował Komitet Organizacyjny z przewodniczącym ks. Antonim Krynickim proboszczem wsi Świętowska Wielka z udziałem ks. Konstantego Hawryłkowa proboszcza wsi Czarne – Zastępcę Galicyjskiego Dekanatu na Łemkowszczyźnie. Se-

kretarzem Komitetu Organizacyjnego był ksiądz Jan Krytski proboszcz wsi Radocyny. Z błogowieństwa Metropolity Dionizego w uroczystościach tych udział wziął biskup Ostrożski Szymon, szanowany i poważany w Galicji, tak samo jak i na Wołyniu.

7 września 1934 roku biskup Szymon w towarzystwie dziekana galicyjskiego archimandryta Filoteja ze Lwowa i Archidiacona Począjewskiej Ławry Mściława, przyjechał na stację w Gorlicach. Biskupa Szymona i Jego osoby towarzyszące witali zastępca galicyjskiego dekanatu, były redaktor gazety „Słowa”, nowy proboszcz wsi Czarne ks. Jerzy Pawłyszyn i protodiakon metropolity ks. Włodzimierz Duszczyk, ks. Jan Krytski oraz przedstawiciel świeckiej społeczności dr Jarosław Sekalo z Gorlic.

Do Czarnego (30 km od Gorlic) wszyscy jechali furmankami i to większą część drogi podczas deszczu. Koło wsi Banica biskupa Szymona witał proboszcz wsi Wołowiec ks. Jerzy Harasimowicz z parafianami, którzy wręczyli biskupowi tradycyjny chleb i sól. Od tego miejsca do Czarnego biskupa prowadził wiejski oddział kawalerii, dwanaście ubranych koni i jeźdźców. O godzinie czwartej po południu cały tabor dojechał do wierzchołka, na którym postawiono pomnik i kaplicę w intencji pamięci Męczennika i ofiar Talerhofu (półtora kilometra od centrum wsi Czarne).

Tam, na wzgórzu, zebrało się dużo wiernych, którzy przyszli w procesji z proboszczem K. Hawryłkowym. Biskupa witały najpierw dzieci szkolne z kwiatami, a potem przedstawiciel parafii chlebem i solą. Przemówienie powitalne wygłosił proboszcz parafii ks. K. Hawryłkow. Tego dnia o godzinie szóstej wieczorem biskup z duchowieństwem odprawił „całonocne czuwanie” (nieszpory, litię i jutrznię). W niedzielę ósmego września o godzinie dziewiątej rano odśpiewano w cerkwi św. liturgię (nie odprawiono nabożeństwa w kaplicy na górze, jak było w programie, z powodu deszczu, który nie przestał padać). Nie zważając na deszcz, na uroczystość przyszło wiele procesji z sąsiednich i dalszych parafii. Świętą Liturgię odprawił biskup Szymon wraz z: dziekanem galicyjskim archimandrytem Filotejem, ihumenem Michałem z Milika, protojerem Antonim Krynickim ze Świętkowej Wielkiej, ks. Dymitrem Chylakiem z Izb (uczestnikiem Talerhofu), ks. Konstantynem Szeremetą z Mszany, ks. Teodozjym Kurdydykiem z Tylawy, protodiakonem Włodzimierzem Duszczykiem, hierodiakonem Mściławem, proboszczem i wiernymi z kilkunastu parafii Łemkowszczyzny.

Podczas św. liturgii ks. Jerzy Pawłyszyn odczytał list pasterski Jego Emin. Metropolity Dionizego do prawosławnych Łemków. W dość obszernym liście pasterskim znalazły się wspomnienia o ofiarach Talerhofu i błogosłowieństwo dla parafii na coroczne organizowanie podobnych uroczystości.

Fragmety z tego listu: »Talerhofski krzyż na ciemistej drodze wyznawania prawdziwej Wiary, nie złamał twardego ducha narodu Łemkowszczyzny, nie zgasił Jego nadziei, nie osłabił nieustannego pragnienia do zjednoczenia się z wielomilionową rodziną prawosławną na całym świecie. Ofiarowaną Jemu ciężką dolę, naród Łemkowszczyzny niósł naprawdę chrześcijańskim mężstwem i cierpieniem. W górskiej działalności wypróbowana dola hartowała swój duch i upodobniała się w tym do praojca Hioba, który mówił: Dał Pan i zabrał Pan, niech będzie imię Pańskie błogosławione! (Hioba 1/21)«.

Inny fragment: »Zapraszam na wspólną modlitwę na Łemkowszczyźnie i z Boskiego Błogosłowieństwa, pozwalam Soborowi Duchowieństwa Cerkwi Prawosławnej na coroczne przygotowywanie we wsi Czarne w pierwszą niedzielę września uroczystości za zmarłych za Wiarę i Naród. Niech dzień ten będzie dniem wspomnień, dniem modlitwy o jedność całej Prawosławnej Łemkowszczyzny – Świętem Prawosławia – od wieków Wiary Chrześcijańskiej«.

Przez obóz w Talerhofie koło Linzu w monarchii austro-węgierskiej przewinęło się w latach 1914-1917 ponad 30 tysięcy osób, pośród nich znalazła się inteligencja, księża, chłopci i Żydzi najczęściej z Galicji. Obóz został zamknięty dopiero wtedy, kiedy cały świat dowiedział się o nim i kiedy zaczęła rozpadać się monarchia austro-węgierska. W ciągu trzydziestu miesięcy istnienia obozu zmarło w nim ponad 1700 osób różnych narodowości, najwięcej zwolenników dawnej carskiej Rosji, tak zwanych rusofilów albo moskofilów.

Z naszej okolicy, z – jak to określiłem we wstępie – zielonej pustyni w Beskidzie Niskim więźniami obozu Talerhof w latach 1914-1917 było:

wieś	osób	zmarły
Czarne	18	1
Długie	4	2
Lipna	10	3
Radocyna	12	-
Konieczna	8	1
Żdynia	25	4

Gładyszów	24	1
Krzywa	4	-
Banica	4	3
Bartne	18	4
Wołowiec	4	-
Nieznajowa	6	-
Grab	17	3
Wyszowatka	8	3

W latach nieparzystych 1935 i 1937 uroczystości odbywały się bez biskupa. Księży i wiernych było mimo to wiele, ponieważ w tych latach parafie jednoczyły się i solidaryzowały w związku z wielkim ruchem powracania ludności do praojcowskiego prawosławia. Ponadto w 1935 roku proboszcz naszej parafii, ks. Jerzy Pawłyszyn, został powołany na dziekana całej Łemkowszczyzny i miał obowiązek wizytowania podległych parafii, a był rzeczywiście oddanym proboszczem dla wiernych całego dziekanatu.

Lata 1938-1939

W 1938 r. uroczystość pamięci ofiar Talerhofu i męczennika ks. Maksyma połączono z 950. rocznicą Chrztu Rusi Kijowskiej (988 r.). Z tej okazji w naszej wsi postawiono i poświęcono jubileuszowy drewniany krzyż, który jest jeszcze widoczny na fotografii z 1963 r. Właśnie po tej uroczystości w naszej wsi biskup Szymon wizytował jeszcze wiele parafii na Lemkowszczyźnie.

Jak już wspomniałem, od pierwszej uroczystości w 1934 roku datuje się moje wejście do życia cerkiewnego we wsi za sprawą księdza Jerzego Pawłyszyna. Uczył on młodzież języka lemkowskiego po wycofaniu przez władze tego języka ze szkół po zaledwie czterech latach nauczania, to jest w 1936 roku Wdzięczny jestem ojcu Jerzemu za to, że dzięki niemu poznałem zasady czytania ksiąg cerkiewnych i śpiewu cerkiewnego, z których korzystam do dziś.

Zajęcie przez Niemcy Austrii i Czech dało się zaraz zauważyć na niedalekiej granicy w Radocynie i Koniecznej. Po czechosłowackiej stronie zmieniła się straż graniczna na słowacką, z utworzonego za przyzwoleniem Niemców państwa słowackiego prezydenta Tiso.

Od tego czasu i w naszych wsiach pogranicznych zaczęło się coś zmieniać. Władze gminne nakazały wszystkim gospodarzom przeprowadzenie porządków wokół zabudowań gospodarczych, ze zwróceniem uwagi na poprawę stanu przydrożnych ogrodzeń, studni, a szczególnie gnojowników. Było to na pewno pożyteczne dla samych rolników, ale wydaje się, że bardziej liczone się z zapowiadany na lato wizytami wysokich urzędników państwowych. Ludzie starali się jednak wykonać nakaz władz gminnych i stwierdzić należy, że zapanował większy porządek.

Kiedy nadeszły wakacje, pewnego dnia w samo południe od strony Radocyny nadjechało kilka limuzyn i bez pośpiechu przejechało przez wieś w kierunku Gorlic. Prawdopodobnie była to owa zapowiadana wizyta dygnitarzy. Żadnych uwag gospodarzom wprawdzie nie przekazano, ale skutek tej wizyty był widoczny później jesienią.

Rok 1938 był bardzo ciężki dla prawosławia w Polsce. Słyszeliśmy, że gdzieś na ziemi lubelsko-chełmskiej wojsko polskie prześladowało ludność prawosławną i burzyło cerkwie albo zamieniało je na kościoły. Tę zmianę klimatu dawało się odczuć i na Lemkowszczyźnie. Wszak już dwa lata wcześniej wycofano za szkół naukę języka lemkowskiego. W 1938 roku naszemu proboszczowi zaś i dziekanowi Jerzemu Pawłyszynowi władze nakazały odprawianie w prawosławnych cerkwiach wszystkich nabożeństw w języku polskim. Dziekan Jerzy nie zastosował się do tego nakazu, gdyż wiedział, że władza nie będzie miała czasu na jego egzekwowanie, biorąc pod uwagę zarówno wiadomości jakie napływały z sąsiednich państw, jak i krajowe przygotowania do wojny.

W drugiej połowie września po wykopkach – nowa niespodzianka. Sztab wojska polskiego postanowił przeprowadzić w terenie przygranicznym wielkie manewry piechoty. W ostatnim tygodniu września 1938 roku od wsi Grab i Wyszowatka przez Długie przyszła do Czarnego spora grupa piechoty z taborem i działami małego kalibru. Zaraz na naszym polu żołnierze rozpoczęli swoje manewry. Po ponadgodzinnym pokazie siły, oddział poszedł drogą w górę wioski. Za nimi ruszyła cała dywizja, która szła do samego wieczora. Tabory pojechały prosto drogą w kierunku Gorlic przez Krzywą, a piechota poszła drogą połą przez las do Wołowca i dalej do miasta.

W listopadzie 1938 roku, po wizytach wysokich dostojników duchownych i państwowych oraz manewrach wojskowych, nastąpiło kolejne wydarzenie polityczne. W państwie węgierskim odezwała się chęć pojednania wszystkich Rusinów zamieszkujących na Węgrzech, w Słowacji, na Rusi Podkarpackiej i w Polsce. Na pewno było to za namową i przyzwoleniem Niemców, którzy – mając już pod swoim wpływem Słowację i Węgry – chcieli zrobić zamieszanie i w innych państwach, używając do tego Rusinów.

Ot, trzy zaborcze wilki – Niemcy, Austria i Węgry – przypomniały sobie, jak to w minionym stuleciu pracowały na nie za darmo „potulne owieczki rusińskie”. Często nad przygranicznymi lasami obcy samolot rozrzuczał ulotki z krótkimi trójjęzycznymi (słowackimi, rusińskimi, węgierskimi) ofertami: „Ty potrzebujesz chleba, ja drzewa! – Nie możemy żyć bez siebie!”.

Następnego lata w czerwcu 1939 roku skończyłem szkołę podstawową. Było tego siedem lat a tylko 4 klasy. Pierwsze pięć lat uczył nas Michał Obrzut, a ostatnie dwa Edward Wilhelm – obydwaj Polacy. Za

namową panów Żelema z Wapiennego i Jodłowskiego ze Smerekowca rodzice chcieli posłać mnie na dalszą naukę do Ruskiej Bursy w Gorlicach. Ale jeżeli wcześniej, w 1938 roku przewidywano, iż wnet stanie się coś niedobrego, to w czasie wakacji 1939 roku wieść o nadchodzącej wojnie była niemal pewna. Nie było już spokoju nawet w naszej wiosce. Nakazano wzmocnić warty nocne, które pilnować musiały linii telefonicznej. Obawiano się sabotażu – podcinania drewnianych słupów.

W ostatnim miesiącu przed wybuchem wojny ks. Jerzy Pawłyszyn w swojej kronice zapisał między innymi:

„Dnia 8 sierpnia 1939 roku położenie ludności staje się niepewne i nie wyjaśnione. Niepokoje rosną. Wydaje się już, że wojna jest nieunikniona. Straż graniczna zostawia swoje posterunki, a ich miejsce zajmuje regularne wojsko polskie.

Dnia 26 sierpnia 1939 roku spostrzega się pełne przygotowywanie do wojny. Urząd pocztowy w Czarnem zajęty przez wojsko. Telefon zajęty wyłącznie sprawami wojskowego charakteru. W Czarnem stacjonuje 20 żołnierzy, zaś 4 w Radocynie na strażnicy. Przejście z Czarnego do Radocyny dla osób postronnych jest utrudnione. Koło urzędu pocztowego ludzie zbierają się grupkami, spragnieni jakichkolwiek wiadomości, ale polski podporucznik, obecnie kierujący tym urzędem rozpędza ludzi. Poruszać się po drodze dozwolone jest tylko do godziny 7-mej wieczorem. Niepokoje wznoszą się z dnia na dzień. Radio zaczyna nadawać coraz więcej alarmujących ostrzeżeń.

30 sierpnia 1939 roku wyjeżdżam z rzeczami i rodziną do Bóbrki nad Sanem. Mam nadzieję wrócić do Czarnego aż w sobotę. Na stacjach kolejowych i pociągach jak zwykle spokój. Ludzie wracają z wakacji. O godz. 2-giej przyjechałem na stację w Uhercu i aż tutaj zobaczyłem częściową mobilizację do wojska. Ludzie wystraszeni, płacz wśród odprowadzających zmobilizowanych do wyjazdu. Niepokoje rosną: Co będzie?”

We wsiach pogranicznych widać było koncentrację wojska polskiego. Choć ogłoszono już mobilizację, to z naszej wsi nie powołano nikogo. Zabrano tylko dwie parokonne furmanki na potrzeby wojska, na tak zwany forszpan. Pojechały z wojskiem na wschód, ale za tydzień wróciły aż spod Lwowa, gdzie doznały i „wyzwoliły” je wojska niemieckie.

Okupacja niemiecka

Pierwszego września 1939 roku w piątek od rana była piękna słoneczna pogoda. Z południa od granicy słowackiej ponad wsią przeleciało kilka nieznanych samolotów wojskowych. Poleciały na północny wschód, skąd za chwilę słychać było mocne grzmoty, później okazało się, że były to bombardowania. Za kilka dalszych chwil samoloty tą samą drogą wracały bardzo szybko i nisko nad lasami i dachami wiejskich zabudowań. Już po dwóch godzinach wiadomo było, że zbombardowały lotnisko w Krośnie.

Weźniej nocą z wiosek pogranicznych wycofało się wojsko polskie. Teraz, kiedy samoloty wróciły do swych baz, od strony słowackiej na przejściach granicznych w Koniecznej i Grabiu weszła z południa dużą siłą armia niemiecka – czołgi, samochody i motocykle. Kolumna wojska ciągnęła się dziesięć kilometrów, a słychać ją było przez trzy pasma górskie, czyli 6-10 km.

Przed południem drogą od Radocyny, a więc dolnego końca naszej wsi, na dużych koniach jechało sześciu uzbrojonych niemieckich żołnierzy. Była to niemiecka żandarmeria wojskowa. Pech chciał, że akurat w tym momencie wybiegłem z domu na drogę i wpadłem prosto przed konie Niemców. Wszyscy raptownie skierowali w moją stronę lufy karabinów maszynowych, a jeden krzyknął ostro „Polen soldaten” i dalej szwargotał coś „Nach Janka, nach Janka!”

Mnie, mocno przestraszonego trzynastoletniego chłopca, wepchnęli między duże konie i pognali w górę wioski. Po drodze, kiedy trochę ochłoniąłem ze strachu, próbowałem na migi tłumaczyć im, że polskiego wojska już nie ma, a droga ta ciągnie się do Jasionki, bo o to chyba im chodziło. Na środku wioski stały obok siebie dwie cerkwie i teraz żołnierze, widząc je, zaczęły głośno szwargotać między sobą „Kirche, Kirche”. Chyba te dwie cerkwie upewniły ich, że jadą dobrą drogą, zgodnie z ich mapą, bo niespodziewanie puścili mnie wolno. Rodzice ucieszyli się moim powrotem. Później się okazało, że postąpiłem dobrze nie próbując uciekać z drogi do izby. W innych miejscowościach do uciekających z miejsca strzelano, a domy palono.

Następnego dnia nadal była piękna pogoda, poszedłem więc przed południem z innymi chłopcami kąpać się w Wisłoce, która płynęła pod wioską od strony Radocyny. Stamtąd drogą nadeszła kompania piechoty słowackiej z komendantem na koniu. Chcieli pieszo doganiać wojsko polskie i tym sposobem pomagać wojskom niemieckim. Mieli zamiar iść dalej do Nieznajowej, kiedy nadjechał konno kurier z rozkazem zawrócenia kompanii, aby broniła Koszyc, do których weszły nieproszone wojska węgierskie.

W pierwszych miesiącach okupacji Niemcy szukali po wioskach rodzin żydowskich. W naszej mieszkali dwie – karczmarzka Falka Zyglar i właściciel tartaku Herbach. Falka miała starą karcznię, w której sprzedawała różne towary. Pamiętam, że wypiekała bardzo dobre bułki i plecione chałki. Właściciel tartaku Herbach wyjechał gdzieś jeszcze przed wybuchem wojny, a tartak zostawił swemu zastępcy kierownikowi Hanwerkierowi. Niemcy – kiedy rozpoznali, że okoliczne lasy obfitują w piękny drzewostan (buki i jodły) – chcieli uruchomić tartak. Problem w tym, że „jak na złość, ktoś ukradł” skórzane pasy do traków. Niemcy podejrzewali o to samego kierownika tartaku i długo się nad nim znęcali. Później zabrali karczmarzkę i kierownika tartaku i razem z innymi rodzinami żydowskimi z Gorlic wywieźli gdzieś do lasu na zagładę.

Po napaści Niemiec na Polskę w 1939 roku nastąpił też podział Polski między Niemcy i Związek Radziecki. Wtedy też – ich zdaniem – zaszła konieczność zmiany w podziale diecezjalnym Metropolii Warszawskiej. W miejsce Diecezji Wołyńskiej zajętej przez Związek Radziecki, której podlegał dotychczas dekanat łemkowski, powołano teraz nową diecezję dla Generalnej Guberni z biskupem Pałladim w Krakowie. Biskup ten powołał nowego dziekana na okręg łemkowski – proboszcza parafii Florynka, ks. Piotra Taranowskiego. Dziekan z Czarnego, ks. Jerzy Pawłyszyn, stał się zatem niepotrzebny, a nawet podejrzany jako założyciel Czytelnicy im. M. Kaczkowskiego, sympatyzującej raczej z dawną Rosją niż z ówczesnym ateistycznym Związkiem Radzieckim.

Już od samego początku okupacji niemieckiej na Łemkowszczyźnie powstawał tajny ruch oporu, a w ślad za tym następowały aresztowania, najpierw nauczycieli z Radocyny (Fecica, Wisłočka i Pawłyszyn), których osadzono w areszcie w Jaśle. Później do tego samego więzienia trafiały i osoby duchowne, między nimi ks. dziekan Jerzy Pawłyszyn. Na jego miejsce do naszej parafii nowy biskup krakowski przydzielił proboszcza Eugeniusza Hryzintowicza z Cieciani.

W latach 1940-1941 przed aresztowaniem rodziny Pawłyszynów często przyjeżdżał do nich z przyjacielską wizytą niemiecki lekarz dr Ciuurk, który znał dobrze język rosyjski. Był to dobry medyk, chętnie leczył ludzi ze wsi. Kiedy aresztowano rodzinę proboszcza, zwrócono się do Ciuurka o pomoc. Po półrocznym pobycie w więzieniu zwolniono nauczycielkę Stefanię Pawłyszynę z uwagi na potrzebę wychowywania trzyletniego syna Borysa. Ksiądz Jerzego udało się tylko przenieść z więzienia do pracy biurowej pod nadzorem niemieckim w Siedlcach za Warszawą. Stamtąd mógł wyjechać na roboty do Niemiec, ale on nadal liczył na powrót do żony i syna, którzy żyli w Czarnem aż do wysiedlenia. Ksiądz Jerzy oczekiwał się wyzwolenia przez armię radziecką i NKWD, które skierowało go jako duchownego do ciężkiej pracy w kopalni węgla na dalekiej północy w Workucie. Po śmierci Stalina w 1953 roku został zwolniony z kopalni i, wracając z północy, objął parafię w Wołogdzie. W 1957 roku dojechała do niego żona z synem, ale na krótko, bo już w październiku 1958 roku ojciec Jerzy zmarł niespodziewanie wyniszczony pobyciem w więzieniach niemieckich i pracą w kopalni sowieckiej.

W 1940 roku Niemcy podpisali ze Związkiem Radzieckim układ o wymianie ludności ukraińskiej żyjącej na terenach polskich za ludność niemiecką żyjącą na Ukrainie. W oparciu o to porozumienie przesiedliło się dobrowolnie na Ukrainę kilkaset rodzin z Karpat. Po napaści Niemiec na Związek Radziecki w 1941 r. wiele z tych rodzin powróciło w góry. Teraz władze niemieckie bardziej przyglądały się wioskom łemkowskim, bo rozwijał się tu tajny ruch oporu. Koło Radocyny znajdował się punkt przerzutowy przez granicę na Słowację, Węgry i dalej na Zachód. Przechodziły tamtędy spore grupy uciekinierów i jeńców wojskowych: Polaków, Rosjan, Ukraińców i Żydów, którzy uciekali z pociągów, gdyż nie chcieli trafić do łagrów lub na roboty w Rzeszy.

W Czarnem przerzutem ludzi przez granicę zajmowali się Piotr Ż., Stefan B., Szymon S., Stefan W. i Teodor K. Wszyscy działali w pojedynkę, czasem we dwójkę, co było bezpieczniejsze w przypadku wpadki. Pamiętam, jak latem 1942 roku po załamaniu się frontu pod Stalingradem, jednej ciemnej nocy ojciec z Piotrem Ż. pomagali grupie działaczy tajnego ruchu oporu przebywającej w wielkich lasach Komuty i Magury Wątkowskiej między Bartnem a Folszmem przechodząc na stronę słowacką. W grupie tej był między innymi Władysław Gomułka, który w 1947 r., będąc ministrem Ziemi Odzyskanych, „podziękował” ludności łemkowskiej za pomoc w czasie okupacji wysiedleniem jej na Zachód.

Od roku 1940 Niemcy zaczęli zabierać młodzież wiejską do Niemiec na przymusowe roboty. Nakazywali sołtysom wyznaczać na wyjazd po kilka młodych osób. Pierwsi z naszej wioski wyznaczeni zostali: Andrzej Bajsa, Julia Wańko, Jan Petryszyn, Ewa i Maria Motyki oraz Tekla Głuszko. Później: Dymitr i Mikołaj Bajsowie, Piotr i Jan Wasieńkowie, Piotr Chomik, Jan Helem i Stefan Wasylko, a na końcu musiały wyjechać moje koleżanki i koledzy: Anna Tchir, Dymitr Ardan, Julia Motyka, Rozalia Szuta i Jan Wasylko. Na przymusowe roboty z naszej wsi wywieziono aż osiemnaście osób, wróciło do domu zaledwie pięć, sześć musiało pojechać za rodzinami na Ukrainę, zaś reszta – siedem osób – zostało na Zachodzie lub wyjechało do Ameryki.

Kiedy skończyłem szesnaście lat i mnie zaczął grozić wyjazd na roboty do Niemiec lub wciągnięcie do niemieckich młodzieżowych hufców pracy, tak zwany *baudinst*, które były w prawie każdym mieście powiatowym, a nawet w mniejszych, między innymi w Gorlicach, Nowym Sączu, Jaśle, Rzeszowie, Przeworsku, Frysztaku i innych ważnych węzłach kolejowych. Kiedy przychodzili po mnie „siczowyky” – policja ukraińska – rodzice pokazywali im mój „autentyczny list” napisany osobiście przeze mnie, ale wysłany w Niemczech przez najbliższego mojego kolegę szkolnego i sąsiada Mikołaja Bajkę. List miał zaświadczać, że ja już dawno jestem w Niemczech na robotach. Musiałem więc być zawsze czujny i ostrożny, często ukrywałem się u babci w trzeciej wiosce. W ten sposób udało mi się uniknąć wyjazdu do Niemiec i do hufca. Na szczęście po odwróceniu wojsk niemieckich spod Stalingradu nie było już tak ostrego rygoru, jak dawniej. Ponadto nikt z sąsiadów nie doniósł o moim istnieniu i unikaniu wywózki na roboty. Ujawnienie mojej mistyfikacji mogło skończyć się kiepsko nie tylko dla mnie, ale i dla całej rodziny.

Od samego początku okupacji zimą Niemcy wydawali sołtysom ostre nakazy stałego odśnieżania czterech kilometrów drogi wiejskiej od granic pomiędzy wioskami Jasionką i Długim. Droga ta, w stałej i dobrej przejezdności, potrzebna była grenszucom, to jest straży granicznej na placówce w Radocynie i służbie leśnej, zwanej forszucami, którzy mieli swoją placówkę w Czarnem.

Do odśnieżania drogi wieś musiała zrobić specjalny pług zaprzęgany w dwie pary dobrych koni. Ponadto kilka grup ludzi z łopatami pomagało przy dokładnym i szerszym odśnieżaniu niektórych odcinków drogi, stale zawiewanej śniegiem. Kiedy były zawieje śnieżne, na drogach two-

rzyły się wielkie zasy, tym większe, im częściej było odśnieżane. W niektórych miejscach zasy sięgały szczytów domów, czyli trzech, czterech metrów. W latach przedwojennych dróg nigdy nie odśnieżano, ubijały je przejeżdżające od czasu do czasu sanie, lub sanki. Nie było głębokich wykopów i śnieżnych rowów, więc zawieje gnały śniegi do potoków i lasów.

Innymi robotami latem i zimą były obowiązkowe wywozy drzewa z wielkich lasów znajdujących się w okolicach kilku wiosek. Na rozkaz niemieckiej służby leśnej (foršuców), sołtysi musieli dawać wykazy rolników do odróbki nakładanego na nich kontyngentu wycinki i wywózki drzewa z lasu. Były to wielkie lasy bukowe i jodłowe należące do prywatnych właścicieli. Zwano je: Las Spelży, Feszówka, Żydówka. Gnali tu ludzi z sąsiednich i dalszych wiosek, najpierw do wycinki, a później do wywózki drewna do tartaków w Czarnem i Nieznajowej. Były też wywózki desek i drewna z tartaków na najbliższą stację kolejową w Gorlicach oddaloną o 30 km.

Mój ojciec, jak już wspomniałem, zajmował się także furmaństwem. I jego zatem nie ominął nakaz wywozu drewna z lasu. Jeździł tam latem dość długo, aż kiedyś zdarzyło się, że zmęczonemu nie chciało się jechać i postanowił użyć fortelu. Z moją pomocą podkuł konia z tak zwanym zagwożdżeniem przedniej nogi, w wyniku czego koń musiał kuleć. Oficer niemiecki, rad nie rad, zwolnił ojca na kilka dni ze zwózki. Po kilku dniach ojciec rozkuł konia i pojechał do miasta na targ, żeby go sprzedać. Już wcześniej wiedział, że w Rozstajnem można kupić młodą żrebną klacz, więc po sprzedaniu konia poszedł tam i ją kupił. Wrócił na niej do domu. Myślał, a nawet był pewny, że żrebną klaczą nie będzie musiał jeździć do wywozu drewna. Ale oficer niemiecki dostał do wykonania wielki plan i postanowił nie zwalniać nikogo z odrobku. Przyszedł do naszego domu i nie dał sobie w żaden sposób wytłumaczyć, że żrebną klacz nie może być dopuszczona do pracy w górskim lesie. Ojciec wprost odmówił oficerowi wykonania pracy. Ten rozżościł się do tego stopnia, że wyciągnął powieszoną u pasa nahajkę i kilka razy uderzył ojca po głowie. Po tym zdarzeniu ojciec musiał dalej chodzić do roboty w lesie, ale już do lżejszych robót, bo oficer się w końcu przekonał, że klacz jest z każdym dniem coraz bardziej ociężała i mniej wydajna w pracy.

Kiedy Niemcy swoim frontem zapędzili się daleko na wschód, życie narodów pod ich panowaniem stawało się coraz trudniejsze. Dotychczas

silnej i bogatej armii niemieckiej zaczęło brakować wszystkiego, i dlatego na wioski nałożono przymusowe kontyngenty. W Karpatach gospodarze ani nie byli w stanie się z nich wywiązywać, ani nie chcieli oddawać swoich produktów za bezcen. Niemcy uciekali się więc do różnych sposobów, by pozyskać żywność dla wojska. Jednym z nich były kame ekspedycje wojskowe grabiące po wsiach wszystko, co się dało: zboże, ziemniaki, bydło, świnie, a także ciepłą odzież, buty, kożuchy. Płacili symbolicznie i nie pieniędzem, a wódką, którą starano się obniżyć morale poddanych narodów.

Gdzieś na początku wiosny 1942 roku, po słynnej klęsce pod Stalingradem, zjechała do naszej wsi kilkoma samochodami żandarmeria z Gorlic. Chodzili od domu do domu i zabierali wszystko, co znaleźli w komorach i spiachlerzach. W naszym domu nie znaleźli niczego, bo ojciec po omłotach schował trochę zboża i ważniejsze rzeczy w skrzyniach pod szopą, po czym zamurował wejście do kryjówki. Tego dnia ekspedycja zabrała z wioski kilka furmanek zboża, za które dała parę skrzynek wódki.

Aby uszczelnić kontrolę nad produkcją i handlem zbożem, okupant zmuszał gospodarzy do korzystania z młynów państwowych. Na Łemkowszczyźnie nie było takich młynów, gospodarze mieli własne żarna. Niemcy nakazali więc oddać do sołtysów kamienie z żaren. Za niepodporządkowanie się zaleceniom groziły kary. Gospodarze oddawali zatem kamienie, tyle że te od dawna nieużytkowane i nieprzydatne. Sprawne służyły im nadal, choć naturalnie w mniejszym zakresie i potajemnie, bo policja ukraińska miała nakaz zabierania żaren i nakładania wysokich kar na opornych rolników.

Pewnego letniego dnia matka kazała mi zmielić trochę zboża na mąkę potrzebną na chleb. Poszedłem do stajni, gdzie w kącie za drzwiami ukryte były żarna. Do wieczora zmieliłem już większą część ziarna i miałem nadzieję wnet zakończyć robotę. Na drodze straż pełnił mój młodszy brat Wasyl. Przegapił jednak dwóch ukraińskich policjantów może dlatego, że zapadał już mrok, a może dlatego, że nadjechali cicho na rowerach. Oni, niestety, usłyszeli hurkot żaren. Szybko odstawili rowery i za przestraszonym bratem weszli prosto do stajni, świecąc mi latarką w oczy. Brat schował się gdzieś szybko, bo wiedział dobrze, co czeka go za takie pilnowanie. Starszy ranga policjant powiedział tylko: „O! zobacz jak kręci światem” i, nie pytając o nic, poszli obaj do izby, gdzie przestraszeni ojciec, matka i ja czekaliśmy na wynik sprawy. Na szczęście policjanci od rana nie mieli okazji zjeść żadnego posiłku, więc kiedy matka położyła na stole chleb, masło i ser, a ojciec wyciągnął butelkę kontyngentowej wódki, zaraz w izbie zmieniła się atmosfera. Mnie kazali pójść dokoń-

czyć mielenia zboża, brat nie musiał bać się już kary, a ojciec nie musiał oddać kamienia sołtysowi. Policjanci nabrali natomiast przekonania, że jeśli kiedyś będą głodni, to w tym domu na pewno dostana dobrego chleba z mąki zmielonej na schowanych żarnach. Będzie też coś więcej do zjedzenia i do wypicia.

Szmugiel

W czasie okupacji niemieckiej pogorszyło się znacznie życie ludności strefy przygranicznej. Niektórzy rolnicy chwyтали się bardzo ryzykownego sposobu na zarabianie, nielegalnego handlu granicznego zwanego z niemiecka szmuglem. Rolnicy-szmuglerzy kupowali towar w mieście i nocą przenosili go na plecach za granicę, żeby tam wymienić na inny towar, wrócić przez granicę i sprzedać go na miejscu lub w mieście. Na stronę słowacką szmuglowano skóry, sól i uprząż konną. Stamtąd przynoszono tytoń (machorkę), cukier, pończochy damskie i kropkę (eter). Na tak ryzykowne wyprawy wybierało się najczęściej dwóch gospodarzy, czasem i więcej, ale niektórzy szli w pojedynkę (żeby nikt nie wiedział), tyle że z dobrym kijem. Prawie co piąty rolnik, jeżeli tylko mógł i był odważny, brał worek soli na plecy i hajda nocą do Ondawki, Polanki, Waradki, albo innej miejscowości na Słowacji.

Już po wysiedleniu, w Chobieni, ojciec opowiedział nam historię takiej wyprawy. Któregoś dnia przed świętami Bożego Narodzenia, jak tylko się dobrze ściemniło, ciepło ubrany ojciec przewiesił przez plecy spory worek soli i przywiązał go mocno sznurem pod pachami żeby dobrze leżał na plecach. Do nóg uwiązał dwie deski (podobne do nart), wziął do rąk kije, zrobił znak krzyża i puścił się samotnie w stronę granicy. W jeździe na nartach nie był mocny, ale bieda nie znała strachu, tym bardziej na początku zimy. Wszystko było w porządku, dopóki jechał po czystym polu, ale już pod górą – w krzakach, a potem w lesie, mocno się pogorszyło. Śnieg mięki po kolana, droga raz pod górę, raz w dół. Pierwszy wierch i dolinę przejechał jeszcze dość lekko, ale nurtowała go myśl, co będzie na drugim grzbiecie, gdzie ciągnie się granica i gdzie, nie daj Boże, można spotkać *grenszuców*. A tu na plecach ciężki wór, który mocno przygniata do ziemi. W razie niefortunnego upadku może przycisnąć i zadusić na śmierć. Pod drugą górą zerwała się taka śnieżycą, że światła nie widać. „To dobrze, że dujawa – pomyślał – zawieje moje ślady, nie zauważą strażnicy i będę miał spokojniejszy powrót”. Myśl o świętach, o żonie i dzieciach, które zostały w domu gnała do przodu i pomagała znosić zmęczenie.

Na polanie zauważył lekko zawiane śniegiem ślady nart. Zdaje się, że niedawno przejechali tędy strażnicy – pomyślał. Tak to granica! Stąd niedaleko już do Ondawki – trochę przez las, a później polami prosto w dół do wioski. Oby tylko śnieżycy nie ucichła – chodziła myśl po głowie. – Oby strażnicy nie czekali na mnie, kiedy będę wracał.

Ucieszony, że jest już po drugiej stronie granicy, puścił się swobodnie z góry, pomiędzy krzakami. Mocno rozkraczony, wsunął kije między nogi i szusował – jechał jak popadło, jak niosły go narty. Nagle w ciemności nocy ujrzał przed sobą krzaczysko. Chciał je ominąć, ale nie zdażył. Po ocknięciu poczuł wokół mięki śnieg, i nie tylko pod sobą, ale i w oczach, uszach i ustach. Ciężki worek soli kopyrtnął nim parę razy, sznury wgryzły się głęboko pod pachami wciągając w śniegowy puch. Zmęczone i miękie nogi nie mogły udźwignąć podwójnego ciężaru. Kije twardsze, a ręce też mocno osłabione. Ale jak tu się poddać, gdy za górą żona i dzieci czekają, jak się poddać, kiedy w domu bieda? A święta tak blisko, tak blisko. Przywidziało mu się, że już pohandlował, że już sprzedał towar w Gorlicach, że kupił dzieciom kołaczyki i wrócił do domu, gdzie tak cicho, spokojnie i ciepło. Ciepło??? Jak może być ciepło? Skąd ciepło, kiedy w ustach, nosie, w uszach śnieg, a oczy też zalepione. – Ciesz się, ciesz – mignęła myśl w głowie. – Będzie ci ciepło, coraz cieplej, aż w końcu zamrzniesz na kość, daleko od wioski, daleko od domu, zjedzą cię wilki, a lisy rozwlóką drobne kosteczki. I wtedy dzieci nie spróbują na święta kołaczyków z miasta, ani nie zobaczą cię już więcej żywego.

Wysiłkiem całej woli klęknął, naprężył mięśnie rąk, odnalazł kije i dźwignął się na nich. Przetarł oczy, uszy i otrząsnął się ze śniegu. Teraz już powolutku i ostrożnie puścił się w dół do wioski. Szczęśliwie dojechał do zabudowań Ondawki, znalazł w śnieżycy dom, w którym przywitał go tą samą mową swój Łemko. Gospodarze opowiedzieli sobie, jak to teraz okupant pilnuje granicy, która nie powinna ich dzielić, lecz łączyć. Porozmawiali i o tym, jak ciężko jest w śniegu przez góry i lasy jechać z workiem soli na plecach, na swoją śmierć lub na życie i szczęście lub nieszczęście rodziny. Porozmawiali o swoich handlowych sprawach, o wymianie soli na tytoń i eter. Wypili też po kieliszku tego szalonego trunku, który osłabionemu ojcu mocno zaszumił w głowie bardziej niż śnieżycy na granicy. Odpoczął trochę, zagrzał się i, po wymianie świątecznych i noworocznych życzeń, postanowił zbierać się w drogę powrotną. Do tego samego worka wsadził teraz sporą bankę eteru i koło prasowanej machorki. Powiesił worek na plecach, przywiązał znów de-

ski do nóg, wziął kije do rąk i wybrał się tym samym śladem w drogę powrotną. Teraz od wioski było stromo pod górę za to dużo lżejszy ładunek miał na plecach, bo bańka i tytoń nie ciągnęły tak mocno do ziemi jak sól. Z tej strony i granica była dużo bliżej, tylko wiatr wiał teraz prosto w oczy. Nie opuszczała go też myśl o tym, że strażnicy mogli odkryć jego ślady i mogą podstępnie czekać w ukryciu za krzakami. Szedł więc na nartach pod górę i pod wiatr ostrożnie nasłuchując, czy czegoś nie usłyszy, nie spostrzeże. Kiedy zbliżył się do wierzchołka i polany, zza krzaka próbował podsłuchać czegoś w szumie wiatru. W pewnej chwili wydawało mu się, że poczuł woń dymu tytoniowego i słyszy cichą rozmowę. Otarł śnieg z oczu, ściągnął szal z jednego ucha i teraz wyraźniej podsłuchiwał urywek rozmowy: „Franz! Komm, Schmuggler”.

Przykucał cicho za krzaczkiem, a zgrzana na plecach skóra szybko zaczęła przymarzać do koszuli. Jak głupio mógł wpaść na strażników. Zrozumiał, że tylko wiatr, który mocno wiał od granicy, uchronił go przed wielką wpadką, i to w ostatniej chwili. Jeszcze większy ziać przeszedł mu po skórze, kiedy pomyślał, co by było, gdyby wiatr wiał z przeciwnej strony, gdyby zdradził go zapach eteru, który wypił, który sam odczuwał od dłuższego czasu. Spoglądał przed siebie z ukrycia i nadsluchiwał dalej. Myślał o tym, że wnet będzie świtało, a wtedy skończą się żarty. Jakby na życzenie ojca w tejże chwili zerwała się większa śnieżycy i tak kręciła śniegiem, że światła nie było widać.

Razem z wiatrem i zawieją puścił się ojciec trochę w bok i niżej klinem polany prześliznął się przez granicę. Za granicą nie myślał o niczym, tylko o tym, żeby jak najdalej i jak najszybciej, jeszcze przed świtem przejechać lasem na drugi wierzch góry. Kiedy się już tam znalazł, przystanął i obejrzał się za siebie. Pomyślał, co będzie, jak strażnicy pójdą dalej granicą i odkryją jego świeże i przyprószone ślady. Dla nich żadna sztuka dogonić go – mają dobre narty i dobrze na nich jeżdżą.

Świtało. Nie było czasu na dalsze rozmyślanie. Szybko postanowił jechać dalej koło lasu, jak najkrótszą znaną ścieżką za trzeci wierzch. Stamtąd w dół na drogę, która łączyła trzy wsie: Radocynę, Długie i Czarne. Na drodze było więcej śladów sanek i ludzi, można więc było wśród nich zgubić swój ślad. Kiedy już do niej dotarł, szybko odczepił z nóg narty, zarzucił je na plecy i poszedł do swojej wioski pieszo. Było już całkiem widno, kiedy znalazł się koło swego domu. Po cichutku, żeby nie słyszeli domownicy, którzy z wyjątkiem żony nic nie wiedzieli o tej wyprawie, wszedł do domu, schował narty, kije i worek z towarem w słomie na strychu.

Mokrą odzież i obuwie rzucił na piec, z kufra wyciągnął koszulę i welniane cholosznie. Z wieszaka wziął kożuszaną kamizelkę, onuce i kierpce spod pieca i dopiero wtedy, przebrany w suche, usiadł sobie na ławce koło zamarzniętego okna. Choć nie spał całą noc, sen mu jeszcze nie dokuczał. W głowie snuły się różne myśli, o strażnikach, których daleki głos jeszcze w uszach nie ustał: „Franz! Komm, Schmuggler”. Pomyślał, że strażnicy to zawzięte chłopy. Jeśli trafią na ślad, będą szukać dalej, choć teraz już marna ich szansa. Niepokój nie odstępował ojca, dalej siedział koło okna, które w zimie prawie nigdy nie odmarzało. Teraz oddechował kółeczko na zamarzniętej szybie i spoglądał jednym okiem w kierunku lasu, z którego niedawno wyjechał na nartach. Nie było tam widać nic godnego uwagi, tylko wiatr kręcił i zawijał śniegiem po polach. Za moment w białej zawiei dało się zauważyć dwie ciemne kreski, które powiększały się z każdą chwilą. Ojciec dobrze wiedział, co to może być. Nie było żadnej wątpliwości – strażnicy! Dojechali do drogi między trzema wioskami, pokręcili się trochę w jedną i drugą stronę, w końcu zrezygnowani wrócili swoimi śladami do lasu. Wkrótce znowu zniknęli w białej zawiei i w lesie. – Klną sobie teraz – pomyślał ojciec spokojnie – ale tym krzywdy już mi nie robią. Jutro zaprzęgnie klacz do sanek, jak zwykle schowa w skrytce pod siedzeniem koło prasowanego tytoniu i pojedzie do miasta, wszak zbliżają się święta. Kupiec wprawdzie mało płaci za tytoń, ale i tak będzie trochę grosza dla dzieci na buty. Tak, na buty – żeby cała rodzina mogły pójść po wigili do cerkwi i tam wspólnie zaśpiewać: „Z nami Bóg, pamiętajcie narody”. A może i z kolędnikami pójdą, bo ubiegłego roku chciały, tylko że jednymi butami wszyscy się nie podzielą. Pójdzie jutro do Gorlic, pójdzie i na pewno grosza starczy na kolacze, a może i na nowy towar zostanie. Ale na nartach już więcej nie wybierze się za granicę. Zostały te deski – narty w domu na strychu pod kiezkami. Potem na Zachodzie ojciec je wspominał, kiedy znaleźliśmy narty w ponemieckim domu. Nie były na paski, rzemyki, ale miały prawdziwe okucia na buty i fugi – takimi samymi jeździli kiedyś strażnicy niemieccy w Radocynie.

Ryzykownego handlu ojciec nasz podejmował się dość często wiosną i latem, a szczególnie w jesienną szarugę, w ciemne i długie noce. Chciał w to wciągnąć i mnie, choć miałem zaledwie szesnaście lat. A trzeba wiedzieć, że kiedy ojciec coś sobie zamyślił, to nie było siły na jakąkolwiek zmianę. Pewnego letniego dnia powiedział mi, że w sobotę wybierzemy się obaj za granicę. Rad nierad musiałem się zgodzić, choć matka bardzo mocno sprzeciwiała się temu zamiarowi. Ojciec przygotował dwa moc-

ne worki ze sznurowymi szelkami. W sobotę włożyliśmy do nich papierowe worki z solą. O znroku zarzuciliśmy sobie ładunek wysoko na plecy i z dobrymi kijami w rękach ruszyliśmy w stronę granicy. Najpierw przez rzeczkę i dalej koło potoku na pierwszy górski wierzchołek szliśmy obydwa dość żwawo. Na grzbiecie wierzchołka tylko ja byłem trochę zadyszany, bo ojciec był zahartowany w takich wyprawach. Worek, choć niewielki, był dosyć ciężki, mieścił pełne pięćdziesiąt kilo soli. Dalsza droga prowadziła w dół ścieżką przez las na sporą przestrzeń z polanami.

Za lasem było dużo polanek, na których często z rana pasalem było i owce, dlatego wiedziałem, że tam trzeba być ostrożnym. Była to już strefa przygraniczna często patrolowana przez strażników niemieckich z Radocyny. W tym miejscu, choć był wieczór, musieliśmy przejść ostrożnie przez dróżkę i potoczek na drugą stronę i dalej pójść lasem w górę na drugi wierz. Za nim ciągnęła się droga z Radocyny do Koniecznej, którą trzeba było przechodzić tak samo ostrożnie, gdyż łączyła dwie strażnice graniczne. Przewodnikiem w tej wyprawie był ojciec, a ja musiałem się pilnować, by w ciemności nocy nie zgubić się gdzieś w nieznanym lesie. Zeszło prawie pół godziny zanim znaleźliśmy się pod granicą. Tutaj należało zwiększyć ostrożność do maksimum, bo przychodziła chwila najważniejsza, o której myślałem cały czas ze strachem.

Leśnym grzbieciem górskim ze wschodu na zachód ponad Radocyną ciągnęła się do Koniecznej szeroka ścieżka zarośnięta niską leśną trawą. Choć była ciemna noc, widać było, że chodzili tędy pieszo, jeździli furmankami, motocyklami i terenowymi samochodami niemieccy i słowaccy strażnicy. Ta szeroka ścieżka, dobrze utrzymana i udeptana, stanowiła granicę. Przystanęliśmy przed nią na chwilę, żeby upewnić się, czy nie słychać czegoś podejrzanego. Nie usłyszeliśmy niczego oprócz silnego bicia własnych serc, więc cicho przeszliśmy przez granicę i znów schował nas gęsty las.

Po naszej stronie rosły wysokie jodły i gładkie buki, a po tamtej, choć noc była ciemna, ujrzałem drzewa mniejsze, karłowate. Iść trzeba było teraz mocno w dół, a następnie krzakami koło potoku i pastwiskami aż do wioski. Minał strach z granicy, nurtowała nas teraz za to nowa myśl – jak dojść do umówionego miejsca, do zagrody znajomego gospodarza w Ondawce. Dopiero po tamtej stronie granicy odczułem, że niosę na plecach coś ciężkiego. Od domu aż do granicy było zmiennie, raz pod górę, raz w dół, ponadto miałem jeszcze sporo siły potęgowanej przez strach. Teraz

sił było dużo mniej, a na stromym stoku worek na plecach zaczął mocno chwiać ciałem, które ledwie mogły utrzymać w równowadze słabe już nogi. Przydał się teraz kij w ręce. Ondawka leży blisko pod górą, niedaleko granicy, więc wkrótce znaleźliśmy się koło zagrody Teodora P., gospodarza, z którym ojciec stale się umawiał. Znow trzeba było być ostrożnym, gdyż słowaccy strażnicy pilnowali bardziej we wsi niż na granicy. Weszliśmy do zagrody od tyłu zabudowań. Ojciec w umówiony sposób dał znać gospodarzowi o naszym przybyciu. Powitanie było krótkie i chłodne. Gospodarz zaczął od tego, że strażnicy coś podejrzewają i śledzą jego dom. Była to informacja na wyrost, dla podkreślenia, jak to on poważnie ryzykuje. Wydawałoby się, że jeszcze bardziej niż my, przekraczając granicę tam i z powrotem. Dawał wyraźnie do zrozumienia, że jego towar drożeje, a nasz tanieje. Zdjęliśmy bagaż z pleców, a gospodarz w mig schował go gdzieś w swojej skrytce, kiedy wrócił, to już z buteleczką eteru. Napelniał malutki kieliszek dla ojca, później dla mnie i na końcu dla siebie, bo inni domownicy już twardo spali. Po wypiciu tego kieliszka moje nogi jeszcze bardziej zmiękły, a w uszach zaczęło szumieć jak nigdy przedtem. Po poczęstunku ojciec szybciej dogadał się z gospodarzem, co do dzisiejszej wymiany towaru. Kiedy przestało trochę szumieć w moich uszach spostrzegłem, że nasze worki są już ponownie pełne. Były dużo lżejsze, bo w jednym była 10-litrowa bańka eteru, a w drugim cztery koła prasowanej machorki i parę kilo cukru. Ojciec umówił się z gospodarzem na nową dostawę towaru, wymienili pozdrowienia. Powrót do domu odbywał się prawie tą samą ścieżką, taką samą ostrożność należało zachować w tych samych miejscach.

Do granicy i przez granicę po północy poszło gładko. Można było przyspieszyć kroku, bo na plecach było dużo lżej, a noc rozświetlały gwiazdy i księżyc, który wyszedł już wysoko ponad lasy. Grubo po północy przekroczyliśmy próg domu. Matka jeszcze nie spała, czekała z niepokojem na nasz powrót, zaskrzypienia drzwi osłonnych. Jej niepokój był całkowicie uzasadniony, często bowiem dochodziły nas wiadomości o tym, że straż graniczna postrzeliła szmuglerów. Zdarzyło się to nawet naszym sąsiadom, Stefanowi W. i Semanowi S., których lekko postrzelono, ale nie złapano. Później w szpitalu w Gorlicach doszło do ich ujawnienia. Wyleczonych aresztowano na kilka tygodni w Jaśle. Mieli szczęście – zdrowych przemytników wywożono na roboty do Niemiec.

Następnego dnia po nasz towar przyszli kupcy z sąsiednich wiosek. Kupili pół bańki eteru i dwa koła machorki. Trochę eteru trzeba było

zostawić na sprzedaż dla sąsiadów i znajomych. W najbliższy dzień targowy ojciec wywiózł do miasta resztę towaru, a za zarobione pieniądze kupił nowy oraz rzeczy potrzebne rodzinie i w gospodarstwie

Matka nie pozwoliła więcej ojcu zabierać mnie za granicę, nie chciała czekać w niepewności na powrót dwóch najbliższych jej osób. Po kilku miesiącach, kiedy ojciec miał kontuzję nogi, musiałem go jednak zastąpić. Trzeba było dogadać się z sąsiadem, Janem Szutą, który nieraz już chodził za granicę i znał dobrze drogę przez góry i lasy. Poszliśmy razem do tego samego gospodarza w Ondawce. Każdy z nas rozliczał się z nim osobno. Przyniosłem wtedy tylko litr eteru w metalowej bańce oraz cztery koła machorki.

Nadzieja na wolność

W czasie okupacji trwało w naszych wioskach życie oświatowo-kulturalne, ale oczywiście tylko takie, na jakie pozwalały władze niemieckie i powołane w gminach urzędy ukraińskie z ukraińskimi urzędnikami. Po półrocznej przerwie dzieci wróciły do szkół, ale nie chodziły tak obowiązkowo jak dawniej. Zamiast języka polskiego musiały uczyć się ukraińskiego. Nie było wielkiego zainteresowania ani możliwości rozwijania szerszej oświaty, gdyż brakowało książek i dostatecznej ilości wykształconych nauczycieli. Kulała też dyscyplina szkolna, bo urzędnicy pod nadzorem niemieckim nie mieli pełnej swobody działania. Mogli robić tylko to, co im narzucono.

Przez pierwsze lata okupacji ruch oporu w Karpatach ukierunkowany był nie tyle na walkę o wyzwolenie, co o przetrwanie najgorszego okresu. W wielkich lasach karpackich ukrywały się grupy ludzi sprawujących dotychczas władzę, uciekinierzy, jeńcy wojenni z różnych krajów. W sytuacji, gdy utrzymywała się przewaga armii niemieckiej na wszystkich frontach, ruch wyzwolenieczy w Karpatach nie był widoczny.

Kiedy front niemiecki załamał się pod Stalingradem i Moskwą w 1942 roku, w Karpaty napływały dalsze grupy obcokrajowców. Większość z nich w latach 1940-1943 przeszła na Słowację, częściowo przy pomocy naszych przewodników, i szła dalej, by zasilić siły zbrojne aliantów.

W pierwszej połowie 1944 roku front zbliżył się do dawnej wschodniej granicy Polski i zatrzymał na linii Kowel – Tarnopol. Niemcy w wielkim pośpiechu zaczęli budować nową linię obrony częściowo przebiegającą przez łemkowskie wsie: Izby, Banicę, Śnietnicę, Brunary i Grybów. Do robót umocnieniowych ukraińska policja (siczowyki) nagnała wiele setek młodych i starszych, głównie dziewcząt i kobiet z bliskich i dalszych wsi. W końcowej fazie, w sierpniu 1944 roku, z naszej wsi do robót tych wyznaczył sołtys kilka osób, między innymi mnie. Miałem zgłosić się u sołtysa, a stamtąd pojechać furmankami do Śnietnicy. W sytuacji, kiedy od wschodu słychać było już wyraźne grzmoty ciężkiej artylerii, ani mnie, ani rodzicom nie chciało się słuchać nakazu sołty-

sa. Ponieważ wszędzie dookoła widoczne było osłabienie dyscypliny, po prostu nie zgłosiłem się na wyjazd do tej roboty. Tak samo postąpili inni z naszej wsi.

Na drugi dzień z rana do wsi przyjechała policja ukraińska z niemieckim żołnierzem i zaczęły się poszukiwania osób wyznaczonych przez sołtysa. Kiedy przyszedli do naszego domu, zastali tylko chorego stryjka, starą babcię, matkę i nieletniego brata. Ojciec poszedł paść na pastwisku bydło, a ja uciekłem do sąsiedniej wioski. Ze złości, że nie zastali w domu żadnego dorosłego mężczyzny, siczowyki zabrali do sołtysa matkę i stamtąd – z innymi dziewczętami załadowanymi na dwie furmanki i pod konwojem dwóch policjantów – zawieźli przez Gładyszów i Ujście Ruskie do Śnietnicy. W grupie tej nie było ani jednego mężczyzny, a wśród kobiet najstarsza była moja matka. Musiały pracować w okopach o jednym marnym posiłku na dzień. Mieszkały w domach wiejskich wraz z tamtejszą ludnością.

W naszym domu już od pierwszego dnia widać było brak kobiecej ręki, została przecież tylko stara babcia. Na drugi dzień obaj z ojcem postanowiliśmy, że dla dobra rodziny i matki, muszę wybawić ją z ciężkiego położenia. Zebrałem do woreczka kilka potrzebnych rzeczy i jeszcze przed południem wyruszyłem w drogę. Zamierzałem udać się na policję w Gładyszowie albo do urzędu gminnego, po jakiś papierek potrzebny na podmianę matki. Za Krzywą i osiedłem cygańskim, aby skrócić sobie drogę, skręciłem ścieżką przez las – chodziłem tamtędy nieraz do gminy w Gładyszowie z różnymi sprawami. Chciałem zdążyć do matki jeszcze przed wieczorem, aby już z rana podmienić ją w pracy w Śnietnicy. W połowie drogi na niewielkiej polanie usłyszałem z lewej strony trzy strzały w moim kierunku. Nawet nie wiem, kiedy przebiegłem całą ścieżkę i znalazłem się na końcu lasu nad wioską Wirchnia, która łączyła się z Gładyszowem. Dopiero wtedy, mocno spocony na całym ciele, mogłem zwolnić biegu. Szybko doszedłem do budynku policji, ale nie zastałem nikogo. Trochę dalej stał budynek urzędu gminnego, ale i tu było pusto.

Zmartwiłem się, że nie załatwię pisma, którym mógłbym posłużyć się w Śnietnicy w celu wyłączenia matki. Pomyślałem sobie wtedy o przygodzie w lesie, i doszedłem do wniosku, że policja i urzędnicy gminni puciekali już do lasu przed zbliżającym się frontem. Było późne popołudnie, kiedy zdecydowałem się iść dalej piechotą przez Smerekowiec, w którym miałem okazję być kiedyś kilka razy z kłaczą u weterynarza, i dalej przez Kwiaton. Uście Ruskie i Czarną do Śnietnicy.

Zbliżał się wieczór, kiedy na drodze za Kwiatoniem usłyszałem od strony Uścia Ruskiego (Gorlickiego) czyjeś głosy zbliżające się w moją stronę. Ukryłem się na brzegu rzeczki za wiklinowymi krzakami i oczekiwałem na nadchodzącą grupkę głośno rozmawiających osób. Były to głosy dziewcząt. Kiedy zbliżyły się do mnie poznałem dziewczęta z mojej wioski, a między nimi matkę. Okazało się, że już po pierwszym dniu pracy w okopach, ośmielone brakiem dyscypliny i nadzoru wojskowego, zdecydowały się uciec do domu. Tak, jak one, postąpiło wiele innych osób.

Po krótkim powitaniu z matką i dziewczętami, razem nocą wracaliśmy przez Smerekowiec do Ługu, omijając niegościny Gładyszów. W Ługu wszyscy wstąpiliśmy na nocleg do mieszkania pana Kobaniego – wójta gminnego. Nie było go w domu, ale służący pozwolił nam przenocować w stodole na sianie. Wczesnym rankiem całą grupą poszliśmy w górę wioski Żdynia, i dalej ścieżką w lewo – koło obecnego pola watowego – lasem do Lipnej. Byliśmy prawie w domu, gdyż była to już nasza parafia i znaliśmy wszystkie ścieżki, które przez jedną górę prowadziły do naszej wioski Czarne. Na tym ostatnim górskim grzbiecie, nad wioską, znaleźliśmy się przed południem. Słychać było dobrze kanonadę dział – front był już po tej stronie Sanu. Wkrótce znaleźliśmy się wszyscy w swoich domach wśród najbliższych.

Kilka dni później, pewnej pogodnej nocy, niedaleko, bo zaledwie sześć kilometrów na zachód od naszej wioski, wydarzyła się tragiczna katastrofa amerykańskiego samolotu transportowego.

Po okolicznych wioskach rozeszła się wiadomość, że między Banicą a Krzywą w nieznanych okolicznościach rozbił się wojskowy samolot. Spełniał rzekomo jakąś tajną misję, niósł pomoc partyzantom polskim działającym w okolicach lasów Magury Wątkowskiej. Oczywiście nikt z ludności karpackiej nie znał celu tego lotu ani przyczyny i skutków katastrofy. Świadkowie, którzy nocą widzieli przelatujący nad lasem i wioską płonący samolot, opowiadali różne wersje tego zdarzenia i to tylko w wielkiej tajemnicy z obawy przed terrorem okupanta niemieckiego.

Od dłuższego czasu wieś Banica uważana była przez władze niemieckie i ukraińskie za teren zamieszkiwany przez ludność podejrzaną, tak zwanych *Lemkenbanditen*, którzy zajmowali się szmuglem i – przy okazji – przeprowadzaniem przez granicę południową różnych uciekinierów z transportów do obozów i na roboty przymusowe w Niemczech. Już wcześniej aresztowano w Gorlicach i Jaśle, a potem rozstrzelano,

pewną ilość mieszkańców tej wioski. Po katastrofie samolotu rozszerzono terror na innych mieszkańców wsi.

Niektórzy snuli domysły, że samolot uszkodził niemiecki myśliwiec lub obrona przeciwlotnicza. Inni uważali, że uległ on zwykłej awarii, z powodu której musiał szukać w nocy jakiegoś miejsca do lądowania. Na drodze tego lotu za wsią Banica był kawałek otwartego pola z rosnącą na nim jodłą. O nią zahaczył samolot, w wyniku czego doszło do eksplozji i rozrzużenia szczątków samolotu oraz ofiar po okolicznych polach. W krótkim czasie teren katastrofy otoczyło wojsko niemieckie stacjonujące w Gorlicach oddalonych o 20 kilometrów. Policji ukraińskiej w Gładyszowie w sierpniu 1944 roku, jak wspomniałem, już nie było, przeniosła się do lasu. Domyślano się, że w katastrofie tej mogło zginąć 5-7 osób załogi i desant. Tyle można wywnioskować z opowieści ojca i znajomych, którzy po zakończeniu wojny śmiało już dyskutowali o tym wydarzeniu. Miejsce katastrofy znajdowało się o około 100-150 metrów od drogi z Czarnego przez Krzywą, ponad Banicę, do Pętnej i dalej do Gorlic. Nieraz jeszcze tą drogą przechodziłem lub przejeżdżałem do Gorlic z drewnem i po zakupy, spoglądając każdorazowo na opalone drzewo, ślad po katastrofie. Ostatni raz widziałem je 10 czerwca 1947 roku, kiedy drogą tą wojsko polskie wypędzało nas z rodzinnych stron do Gładyszowa przez Wirchnię i dalej przez Magurę i Gorlice na stację kolejową w Zagórze.

Kilkanaście lat temu ukazał się przewodnik krajoznawczy „Beskid Niski. Od Komańczy do Bartnego” Witolda Grzesika i Tomasza Traczyka wydany przez *Wydawnictwo Stanisław Kryciński*, w którym opisana jest inna wersja katastrofy lotniczej. Chyba prawdziwa, a na pewno lepiej udokumentowana. Przytaczam ją w całości:

„Banica: Górny skraj doliny przecina asfaltowa droga z Pętnej do Krzywej. Obecnie jest tutaj przystanek PKS-u. Przy drodze znajduje się pomnik polskich lotników poległych w katastrofie »Liberatora« 16 sierpnia 1944 r. (wg innych źródeł we wrześniu – ta właśnie data jest umieszczona na pomniku, wystawionym w 25 rocznicę katastrofy). Samolot wracał do Włoch po dokonaniu zrzutów dla Powstania Warszawskiego.

W okolicach Biecza został uszkodzony przez niemiecki myśliwiec. Prawdopodobnie był to samolot GR - R EW- 978 dowodzony przez nawigatora por. Tadeusza Jencke z pierwszym pilotem kpt. Zygmuntem Plutą. Część członków załogi poniosła śmierć przy próbie skoku ze spadochronem w okolicy Olszyny (niedaleko Biecza), a pozostali zginęli w rozbitym samolocie. Mieszkańcy Banicy pochowali lotników na cmen-

tarzu w Krzywej. Zaraz po wojnie ich szczątki zostały przeniesione na cmentarz wojskowy w Krakowie”.

Z końcem sierpnia i początkiem września 1944 roku front dotarł do Karpat i zatrzymał się na linii Dukła, Polany, Ciecchania. Grab, a od tych ostatnich było tylko 10 kilometrów do naszej wioski. Zaraz następnego dnia do wioski przyjechał cały batalion wojska niemieckiego z pełnym sprzętem, taborem i obsługą. Działa rozmieszczono pod osłoną lasów, a wojsko, samochody i konie zajęły wszystkie domy i zagrody. Wszystko było ich – nasze izby, boiska, ziemniaki, zboże, siano, kury, kaczki, gęsi, indyki oraz całe zapasy drewna potrzebnego im do wojskowej kuchni polowej, którą zainstalowano i zamaskowano koło naszego domu. W tym czasie mieszkańcy naszej wioski musieli mieszkać w stajniach, spichlerzach i na strychach, pod obrztałem z dział armatnich i w strachu przed latającymi nad domami radzieckimi samolotami.

Odtąd gospodarze i młodzi chłopcy, między nimi i ja, musieliśmy co dnia aż do zimy chodzić do roboty na linię frontu w Grabiu i Żydowskiem. Było to kopanie okopów, budowanie w górach i lasach schronów oraz bunkrów. Przez dwa tygodnie w sześciu pracowaliśmy prawie na samej linii frontu w Żydowskiem. Tam nie było już mieszkańców, bo wszystkich wysiedlono na tyły. Pewnego dnia Niemcy odepchnęli linię frontu z Grabu za Ciecchanie aż do Polan i Barwinka, gdzie doszło do największej bitwy w Karpatach na Przylęczy Dukielskiej zwanej Doliną Śmierci. Zginęło w niej 80-150 tysięcy radzieckich, czechosłowackich i niemieckich żołnierzy. Źródła wojskowe bardzo się różnią w ocenie strat po obu stronach. Na Dolinie Śmierci front zatrzymał się kilka miesięcy – aż do połowy stycznia 1945 roku. Dalej więc trwały roboty, tyle że raczej przy naprawie dróg i mostów na Wisłóce. Były też wykopki ziemniaków pozostawionych we wsiach na linii frontu, a potrzebnych teraz wojsku. Koło naszego domu stała wojskowa kuchnia polowa, w której gotowano dla wojska z obsługi taboru i dla żołnierzy na linii frontu. Tam, gdzie nie można było dojechać samochodem albo wozem, dostarczano jedzenie konno w termosach. Co dnia z frontu przywożono rannych żołnierzy, których odsyłano do szpitali wojskowych za frontem, zaś zabitych chowano w naszej wsi koło cmentarza z pierwszej wojny światowej.

Na początku stycznia 1945 roku Niemcy niespodziewanie wycofali z linii frontu swoje wojska, które wyjechały ze wsi z całym taborem. Na ich miejsce skierowano batalion piechoty węgierskiej, którą teraz łatano front w Karpatach. Szóstego stycznia, akurat w Wigilię, węgiercy żoł-

nierze trafili do naszej wioski. Prali przepoconą i zabłoconą odzież, golili się i myli. Cieszyli się bardzo z chwili spokoju i swobody. Niektórzy cieszyli się dodatkowo, że zasiądą z nami do wigilii, bo byli węgierskimi Rusinami, którzy musieli służyć w wojsku i walczyć przeciwko swoim słowiańskim braciom. Nosili nazwiska podobne do naszych: Barna, Pihosz, Kantor i inne. Bardzo szybko zgasła ich nadzieja na dłuższy odpoczynek i wspólną wigilię, gdyż po południu przyszedł rozkaz przemieszczenia ich batalionu na inny odcinek frontu, i to tak szybko, że wielu z nich musiało ubierać wilgotną odzież i obuwie. Czternastego stycznia 1945 r., akurat na nasz Nowy Rok, wojska radzieckie rozpoczęły na całym froncie wschodnim wielką ofensywę zimową, w wyniku której odepchnięto Niemców z linii Karpat daleko na zachód. Nawet na chwilę nie zatrzymali się na przygotowywanej latem i jesienią linii umocnień w Śnietnicy i Grybowie. Narobili się tu ludzie w różną pogodę, o chłodzie i głodzie, a wyszło na to, że z tych okopów Niemcy nie zdążyli wystrzelić ani jednego naboju.

Pierwsze dni i tygodnie po opuszczeniu Karpat przez wojska niemieckie ludzie wykorzystywali na naprawę swoich zniszczonych gospodarstw. Wysiedleni z linii frontu wracali do swoich domów, jeżeli te nie były spalone, albo zniszczone. Rodziny, które nie miały dokąd wracać, pozostawały nadal w miejscach tymczasowego schronienia i rozmyślały nad tym, jak odbudowywać swoje gospodarstwa, jak rozpocząć nowe życie po wojnie. Dla nich agenci radzieccy, których pełno było wszędzie, mieli propozycję: „wyjeżdżajcie do Związku Radzieckiego, gdzie czeka na Was wielki dobrobyt”.

W mniej zniszczonych wioskach niektórzy mężczyźni ciekawi byli, jak wygląda opuszczona linia frontu. Wybierali się tam żądni wrażeń, ale bywało różnie: jedni wracali z jakimś bezwartościowym łupem, inni z karabinem, a byli i tacy, którzy z powodu wypadków z granatami i minami, ciężko żalowali swojego pomysłu. W pierwszej połowie marca i mnie naszła chęć poznania z bliska opuszczonej linii frontu. Jednego dnia trzech nas, chłopców, wybrało się w okolice Żydowskiego, oddalonego o 15 kilometrów. Trafiliśmy do okopów i bunkrów niemieckich, w których było pełno nieznanych nam i nieprzydatnych drobiazgów. Dalej, za linią niemiecką, trafiały się ciała żołnierzy radzieckich, którzy zginęli w lesie skradając się do okopów niemieckich. Przy niektórych zabitych były jeszcze karabiny i naboje. Później okazało się, że mieliśmy wielkie szczęście dlatego, że nie trafiliśmy na zaminowany las, jak zdarzało się innym.

którzy nie wrócili żywi, albo zostali kalekami. Z tej wyprawy przyniosłem do domu radziecki karabin i naboje, przechowywane później w tajemnicy przez pół roku.

W czasie, gdy ja byłem w wojsku na froncie, a w lipcu 1945 roku większość gospodarzy wyjechała dobrowolnie na Ukrainę i we wsi zostało tylko 14 rodzin, karabin ten, za zgodą policji, miał zabezpieczać pozostałych mieszkańców we wsi przed złodziejami i grupami szabrowników. Po powrocie z wojska zimą 1945/1946 strzałami z tego karabinu odstraszałem dziką zwierzynę, która nocami podchodziła pod zabudowania. Wiosną 1946 roku, kiedy dochodziły słuchy o pokazaniu się na wschodzie partyzantów, ojciec oddał karabin i naboje na policję, aby uniknąć jakichkolwiek kłopotów. Ciągle bowiem, w drugim roku po zakończeniu drugiej wojny światowej, w tej części Karpat nie było spokojnie.

Wojsko i po wojsku

W marcu 1945 r., kiedy na polach nie było już śniegu, we wioskach pojawiali się radzieccy agenci, którzy werbowali do „dobrowolnego” wstępowania do radzieckiego wojska. Kiedy nie było ochotników, brali się na sposób – werbowali kilku aktywnych chłopców lemkowski na swoich agentów i wspólnie z oficerami radzieckimi już nie namawiali, lecz straszili. 18 marca 1945 roku do naszej wioski przyjechało dwóch takich agentów – oficer i żołnierz radziecki. Ten ostatni pochodził z lemkiowskiej rodziny, nazywał się Krynicki. Pod przymusem zapisali i natychmiast, bez przygotowania, zabrali ośmiu chłopców: Adama Barnę, czyli mnie, Mikołaja Przysłupskiego, Iwana Szutę, Mikołaja Wasienko, Adama Bajse, Wasyla Przysłupskiego, Dmytra Kusaję i Mikołaja Karpia-ka. Dwoma parokonnymi furmankami, które sołtys musiał przygotować zaraz po przyjeździe werbowników, wywieźli nas pod konwojem z rodzinnej wsi. Pożegnanie z rodziną było bardzo krótkie. Zabrałem tylko koszulę i kapotę na siebie, a matka do plecaka na sznurkach wsunęła coś do jedzenia. Ojciec natomiast pierwszy raz postąpił ze mną jak mężczyzna z mężczyzną. Wyciągnął ćwiartkę czystego i mocnego bimbru, który wypiliśmy na pożegnanie bez żadnych ceregieli, prosto z buteleczki – ojciec i syn. Drugą ćwiartkę włożył do mojego rumcaka (plecaka), a po obcałowaniu się ze wszystkimi, już pod humorem od owej ćwiarteczki, poszedłem z żołnierzami na zbiórkę u sołtysa. Moja młoda jeszcze głowa, nieprzyzwyczajona do mocnego trunku, zareagowała prawidłowo – zaszumiało tak, że nie zapamiętałem nic z podróży z Czarnego do Gładyszowa, jedynie to, że spotkany u sołtysa kolegom oddałem ojcową ćwiartkę bimbru do wypicia.

W Gładyszowie nasi konwojenci zaciągnęli mnie pod czyjąś kołotkową studnię i wylali na głowę wiadro zimnej wody. Po tej zimnej kąpieli zapamiętałem już dalszą drogę przez Uście Ruskie, Brunary na stację kolejową w Grybowie. Stamtąd furmanki odesłali do domu, a nas dołączyli do innych złapanych rekrutów i pociągiem przez Nowy Sącz, zawieźli do Rabki, gdzie w tym czasie stacjonował Rezerwowy Uzupełniający Pułk IV Ukraińskiego Frontu Armii Czerwonej.

Na nasze krótkie, dwutygodniowe ćwiczenia wojskowe przygotowano koszary w domach sanatoryjnych. Wśród tysięcy rekrutów najczęściej było Rusinów z północnej i południowej strony Karpat, a także rezerwistów z różnych rodzajów uzupełnień, szpitali, rozbitków itp. W pierwszych dniach ćwiczeń uczyli nas chodzić czwórkami i trójkami, później poznawaliśmy dogłębniej musztrę na łąkach za miastem.

Każdego wieczoru przed snem były capstrzyki i marsze ze śpiewem, w których byłem rozpoczynającym, tak zwanym zapiewajką. Najczęściej rozpoczynałem pieśnią „Rozpriadajcie chłopci koni, taj lahajte spoczywat”, a za mną cała kompania ciągnęła: „A ja pridu w sad wyszne-wyj, w sad kryncezeńku kopat”. W Rabce na musztrze udało mi się wystrzelić trzy naboje i rzucić prawdziwym granatem. Inni rzucali drewnianymi atrapami. Po tygodniu na rynku złożyliśmy przysięgę wojskową. Wnet po niej przyjechał do mnie w odwiedzinach ojciec, który poinformował, że po nas do wojska zabrali jeszcze pięciu chłopaków: Michała Siraka, Mikołaja Tchora, Michała Żydiaka, Michała Szpaka i Michała Barneę. Jak się później okazało, żaden z nich nie trafił już na front, tylko do kompanii pomocniczych.

Ale nie to było powodem odwiedzin ojca. Przyjechał po poradę na temat przesiedlenia na Ukrainę. Agenci radzieccy nie dawali spokoju, szczególnie tym rodzinom, z których synowie służyli w wojsku. Ja byłem już po przysiędze i do tego żołnierz o „tygodniowym stażu”, dałem więc ojcu taką radę: „Już wnet pójde na front i nie wiem, czy wrócę. Ale jak przeżyję, to chciałbym wrócić do domu, a nie szukać Was gdzieś na dalekiej i nieznannej Ukrainie”. Z tymi słowami wrócił ojciec do domu i tymi słowami starał się bronić i tłumaczyć dokuczliwym agentom. Kiedyś moja matka powiedziała im też: „Ja bez syna nie ruszę się nigdzie z domu”. Koniec końców, na skutek agitacji przesiedleńczej, we wsi zostało tylko czternaście rodzin, a między nimi moja.

Zaraz po pierwszomajowej defiladzie i po obiedzie w Rabce, niektórzy żołnierze (bojcy), także ja, dostali do menażek trochę prawdziwego spirytusu do wypicia przed wyjazdem na front. Załadowano nas na kilkanaście ciężarowych samochodów i drogą przez Żywiec, Bielsko-Białą, Cieszyn, Morawską Ostrawę w ciągu nocy zawieziono pod samą linię frontu za miasto Opawa w Sudetach. Nas – ośmiu żołnierzów z Czarnego – rozdzielili jako uzupełnienie do dwóch batalionów, wyposażyli w karabiny i naboje. W pięciu trafiliśmy do pierwszej kompanii drugiego batalionu, gdzie dowódcą był sierżant Nikiforow.

W Wielki Piątek przed Wielkanocą według wschodniego obrządku nasz batalion został podporządkowany pierwszemu pułkowi 183 dywizji IV Frontu Ukraińskiego, którego dowódcą był generał Wasilewski. Tego samego dnia przed południem nasz batalion otrzymał rozkaz zajęcia czeskiej miejscowości koło miasta Krnov w Sudetach, w której Niemcy zorganizowali stanowiska obronne. Pognali nas tyralierą. W dość dużym sadzie pełnym kwitnących drzew spędzono wielką ilość żołnierzy radzieckich, najwięcej z naszego rabczańskiego uzupełnienia – młodych, niedoświadczonych rusińskich chłopaków z Łemkowszczyzny i Słowacji – na ich pierwszy straszny bój.

W tym sadzie w krótkim czasie stracili życie dziesiątki młodych i niedoświadczonych żołnierzów, którzy musieli atakować zamaskowane niemieckie stanowiska obronne. Kiedy atak się nie udał, dowódcy kazali wycofać nasze oddziały i przesunąć na inny odcinek frontu. Z moich kolegów w sadzie został zabity Dmytro Kusajła, a ranni byli Adam Bajsa i Iwan Szuta. W tym pierwszym dniu walki frontowej wielu nowych żołnierzów w wyniku nagłych przegrupowań pogubiło się i długo nie mogło odnaleźć swoich oddziałów. Na drugi dzień przypadała Wielka Sobota, ale i tym razem pognali nas do ataku. Teraz przez odkryte pole zielonego żyta ozimego pognali nas tyralierą na okopy usytuowane na wzgórzu, skąd niemiecka obrona mogła kosić nas gęstym ogniem karabinów maszynowych. Nasi żołnierze próbowali kryć się, ale to bardzo się nie spodobało oficerowi dowodzącemu naszą kompanią, który ostrym rozkazem i głośnym „Ura...ura!” z pistoletem w rękę gnał na linię wroga, grożąc: „W pieriod, bo ubiju kak sobaku”. Takimi słowami, sam słyszałem, groził porucznik Własow mojemu sąsiadowi Mikołajowi Przysłupskiemu, który przestraszył się go bardziej niż wroga, i który już z owym głośnym „Urmeta!” strzelając z karabinu, pognął na linię wroga. Po zbliżeniu się do wzgórza, nie zastaliśmy nikogo, co upewniło nas, że Niemcy w ostatnich dniach wojny bardzo bali się okrzyku „Urmeta!”.

Na trzeci i czwarty dzień wypadały nasze Święta Wielkanocne. Wierzę więc, że to właśnie z łaski i woli Bożej się stało, że kiedy kilku żołnierzów z naszego batalionu (między nimi Mikołaj i ja), którzy w tym ataku zapędzili się daleko za wyznaczony cel i pobłądzili w tłumie wojska, znalazło jednak po dwóch dniach swoją jednostkę. Dowódca ucieszył się z naszego powrotu, bo uważał nas już za zaginionych.

Następnej nocy na naszym odcinku frontu nastąpiło niespodziewane połączenie jednostek dwóch frontów: IV Ukraińskiego i I Białoruskiego.

w wyniku czego wyzwolona została duża część Sudetów i ziem czeskich. W tych dniach czeska wojskowa organizacja podziemna w Pradze ogłosiła powstanie przeciwko okupantowi niemieckiemu. Sztab Armii Radzieckiej wydał naszej 183 dywizji rozkaz udzielenia pomocy powstańcom Pragi. Zanim jednak nasze wojska dojechały z Nachodu oddalonego o 150 kilometrów od Pragi, powstańcy sami poradzili sobie z Niemcami. Było to 9 maja 1945 roku i tego dnia ogłoszono wyzwolenie Czechosłowacji oraz kapitulację Niemiec. Nasza dywizja znalazła się akurat pod miastem Mielnik, 20 kilometrów od Pragi. Tam w lesie na wielkiej polanie odbył się wielki apel. Były przemówienia generałów i wiwaty z ogni sztucznych przez całą noc na cześć zwycięstwa nad Niemcami.

Nie odpoczęliśmy pod Mielnikiem długo, gdyż nadal w lasach grasowały grupy niedobitków hitlerowskich, którzy nie mogli pogodzić się z klęską. W naszych oddziałach nie mogło być zatem rozprzężenia, utrzymywana była nadal dyscyplina wojskowa. Z płóciennych pałatek (namiotów) ustawione były koszary z pełnym zapleczem kuchennym. Obowiązywało utrzymanie w nich odpowiedniego porządku, to samo na różnych placach, drózkach i ścieżkach. Dniami i nocami trzeba było pilnować każdego miejsca w obozie i okolicy. Z warty, którą przyszło mi któregoś dnia pełnić przy publicznej studni wiejskiej (żeby ktoś niepowołany nie wrzucił czegoś do studni), pamiętam nieprzychylnie zachowanie tamtejszej ludności wobec wojska radzieckiego.

Nasz pułk stał w tym lesie prawie dwa miesiące, a potem trzeba było wracać na wschód „do Ojczyzny ponad 2 tysiące kilometrów”. Zwycięska armia wracała teraz piechotą głównymi drogami przez miasta: Pardubice, Sternberk, Frydek, Cieszyn, Bielsko-Białą, Tuchów, Frysztak, Dynów, Przemyśl, Sambor, Stanisławów do Kołomyi, gdzie dla nas przygotowano dawne koszary wojskowe. Była to bardzo długa i ciężka droga. Trzeba było wstawać wcześniej rano, o godzinie trzeciej, i iść do godziny jedenastej, dopóki słońce nie dopiekało zbyt mocno. Po kilku kilometrach były krótkie odpoczynki (perewały – przerwy). Każdego dnia po przejściu około 30 km organizowano nocne postoje w namiotach. W drodze od Cieszyna do Przemyśla, przez tereny polskie, zabrano nam, żołnierzom pochodzącym z Karpat, karabiny i naboje, oraz odsunięto od pełnienia dziennych i nocnych wart. Było to bardzo wygodne postanowienie, nas – młodych żołnierzy musieli pilnować starsi i zmęczeni wojną wojskowi. Dowódcy nasi bali się, że my, żołnierze – obywatele państwa polskiego – przechodząc

niedaleko swoich rodzinnych stron, uciekniemy z bronią w swoje góry i będziemy potem robić gdzieś zasadzki na ich wojsko. Na ziemiach polskich nie pozwolili nam na żadne kontakty z ludnością, bo wiedzieli, że w górach trwa wielka i ostra agitacja ludności łemkowskiej do wyjazdu na Ukrainę. Wiedzieli też dobrze, że nasi żołnierze, którzy poznali smak radzieckiej polityki, mogą teraz zdemaskować prawdę o rzekomym sowieckim raju, wielkiej sprawiedliwości społecznej i bogactwie. Cała agitacja mogła pójść na marne. Dotąd władze radzieckie miały wszystko bardzo dobrze rozplanowane. Nawet listy z Rabki, odległej od naszych stron zaledwie o sto kilometrów, i listy z frontu podlegały cenzurze w Moskwie – tylko po to, żeby rodziny nie otrzymywały tych listów przed przesiedleniem się na wschód. Mój kolega Mikołaj Przysłupski w czasie drogi powrotnej postanowił napisać list do swego brata. W wielkiej tajemnicy wysłiznął się spod nadzoru żołnierzy i poszedł wysłać list na pocztę polską we Frysztaku. W liście tym nie opisywał nic szczególnego, ale dał bratu ważną wskazówkę: „czekaj na mnie”. List wysłany pocztą polską dotarł do wsi po kilku dniach. Brat Mikołaja dobrze wiedział, co oznaczają te słowa w trakcie silnej agitacji radzieckich agentów. Kiedy mój ojciec dowiedział się z listu, że byliśmy w niedalekim Frysztaku, natychmiast pojechał tam około sto kilometrów w nadziei, że może nas spotka. Nas tymczasem pognali już dawno za granicę, za San. Nawet gdyby ojciec dojechał na czas i tak nie dopuszczono by ani jego do mnie, ani mnie do niego zgodnie z dyscypliną radziecką, w której trzymali nas od początku aż do końca w tej wielkiej „swobodzie”. Zaraz za polsko-radziecką granicą wszystkim żołnierzom z łemkowszczyzny oddali karabiny i naboje oraz przywrócili do pełnienia wszystkich obowiązków żołnierskich z wartami dziennymi i nocnymi włącznie.

Koło Kołomyi nie było jeszcze spokoju, choć minęło już więcej niż rok od wyzwolenia tamtych terenów w 1944 roku. Grasowały tam ciągle jakieś bandy, które nie dawały spokoju wojsku i ludności cywilnej. Pełniąc wartę nocami koło koszar, nieraz słyszałem strzelaninę w górach i lasach. Gdy dotarliśmy do Kołomyi w połowie lipca 1945 roku, zakwaterowali nas w dawnych barakach, koszarach wojskowych. Żeby było co jeść, trzeba było najpierw iść i narwać na łąkach lub torach kolejowych szczawiu (kwaszynicy). Przedtem, całą drogę z czeskiego Mielnika do Kołomyi, jedzenia mieliśmy pod dostatkiem, bo razem z nami szły oddziały wojskowych służb pomocniczych, które gnały z zachodu spore ilości bydła na potrzeby wojska.

Szóstego sierpnia 1945 roku wszystkie oddziały otrzymały rozkaz samego wodza Stalina, aby zwolnić z wojska obywateli innych państw, któ-

rzy czasowo pełnili służbę w Armii Czerwonej. Tego samego dnia Związek Radziecki wypowiedział wojnę Japonii. Dla nas, zwalnianych żołnierzy, było wielkim szczęściem, że nie potrzebowali takich jak my wysłać na front japoński. Jednego z naszych kolegów, Jana Szutę, którego po postrzale na froncie w Sudetach leczono za Moskwą, a po wyleczeniu wcielono ponownie do wojska, wysłano aż na Kameczatkę, skąd wrócił dopiero po roku. Przykro było naszym dowódcom zwalniać nas z wojska, ale rozkaz wodza to święta rzecz. W Kołomyi zwolniono nie tylko nas dwóch, mnie i Mikołaja Przysłupskiego, ale i innych nieznanym nam żołnierzy z Karpat i ze Słowacji. Na odchodne podziękowali za udział na froncie w Wojnie Ojczyźnianej 1941-1945. Wypisali papierek o pobycie w wojsku radzieckim oraz przepustkę na powrót do domu pociągiem. Pociągiem jechaliśmy obaj do Chyrowa, a później dalej do stacji w Gorlicach. Na stacji Chyrów koło Sambora, zaraz za granicą, spotkaliśmy mieszkańców naszej wioski, którzy przesiedlali się do województwa charkowskiego.

Spotkanie z sąsiadami i znajomymi po czterech miesiącach rozstania i bez żadnej wiadomości z obu stron, było bardzo wzruszające dla wszystkich. Jednym było żal, że nie jedziemy razem z nimi, inni zazdrościli nam powrotu w rodzinne góry. Pokonanie tego niedługiego odcinka, zaledwie około dwustu kilometrów, zajęło im już prawie miesiąc, bo na stacjach stale były jakieś przeszkody, ważniejsze dla kolejarzy były transporty wojskowe i przewóz „trofejných” rzeczy zdobytych w Niemczech, niż jacyś tam przesiedleńcy z Karpat.

Było nam ich bardzo żal, że tak łatwo dali się zwieść propagandzie o radzieckim „raju” i łatwym życiu na wschodzie. Dopiero od nich się dowiedzieliśmy, że nasze rodziny pozostały na miejscu we wsi, choć do ostatniej chwili były przygotowane na wyjazd. Przy spotkaniu w Chyrowie usłyszeliśmy bardzo tragiczną w gruncie rzeczy wiadomość. Jeden z „bohaterów” wiejskich, wierny pomocnik radzieckich agentów, który dopuszczał się najgorszego – nawet strzelania do przydrożnych krzyży – po przejechaniu przez granicę z uciechy, że jest już w raj, wyszedł na dach wagonu i w czasie przejazdu pod mostem uderzył głową o przesło tak, że mózg rozprysnął się po pociągu.

Później w domu dowiedzieliśmy się, że nasze rodziny, aby dali im spokój i agenci, i sąsiedzi, stwarzały pozory przygotowywać i opowiadały wszystkim, że jadą z nimi. We wsi zostało tylko 14 rodzin, z których 5 miało synów w wojsku. Dojechalśmy pociągiem na stację w Gorlicach, gdzie spotkaliśmy znajomych z innych wiosek i skąd trzeba było jeszcze

iść piechotą 30 kilometrów. Ale co to było dla żołnierzy, którzy niedawno przeszli ponad dwa tysiące kilometrów, a do tego dusze i serca niosły ich do rodzinnej wsi, domu i rodziny bardziej niż kiedykolwiek.

Spotkanie z rodziną było bardzo wzruszające. Nie było końca opowiadaniom rodziców o przykrościach i szukanach, jakich doznawali od agentów wiejskich i niektórych członków komitetu przesiedleńczego, często dużo gorszych niż te, które spotykały ich od agentów radzieckich. Agenci więcej co kilka dni zwoływali zebrania, na których mocno krytykowali opornych wobec wyjazdu. Prawie codziennie urządzali zabawy z pijaństwem i wielką uciechą, że nareszcie wyjadą „do raj”. Byli i tacy, co chodzili po wsi i strzelali do wszystkiego, co im się nie podobało, nawet do przydrożnych krzyży. Wszystko to byłoby do zniesienia, gdyby przynajmniej dochodziły jakieś wiadomości od nas z frontu. Dopiero list Mikołaja wysłany potajemnie z Frysztaku dał im nadzieję, że kiedyś wrócimy do domu, zgodnie z moim życzeniem wypowiedzianym ojcu przy jego odwiedzinach w Rabce. Z tych, co zostali, byli i tacy, którzy swoje skrzynie mieli gotowe na wyjazd każdego dnia. Ojciec pod presją agentów zapisał się na wyjazd i już jeden wóz załadowany wywiózł do sąsiedniej Jasionki na podwórko Zoryły, aby mieć więcej spokoju. Skrzynie na wozie były zamknięte tylko na drut i tamtejsi mieszkańcy zabrali jak swoje to, co było w nich najlepszego – wyroby masarskie z zabitej świni.

Adam Wańko wyjechał już z całym dobytkiem na stację w Gorlicach, ale tam podczas długiego wyczekiwania na wagony, zachorowała stara matka, którą trzeba było zawieźć do szpitala. W czasie ich pobytu w szpitalu, rodzina załadowała się i pojechała na wschód. Adam z matką zostali w szpitalu tylko z tym, co mieli w rękach. Gdzieś po roku z Ukrainy wróciły do nich, ale już jako repatriantki, trzy siostrzenice: Ewa, Miła i Marysia Haleczko z Lipnej.

Listy pisane w Rabce i na froncie dotarły do domu, i to nie wszystkie, dopiero we wrześniu i październiku 1945 roku, po półrocznym błędzie po Związku Radzieckim. Ja już dawno byłem w domu przy rodzicach i sam je odbierałem. Po powrocie z wojny opowiadałem rodzicom oczywiście o przeżyciach na froncie, ale głównie jednak o tym, czego nauczyłem się i czego doświadczyłem przez te cztery miesiące w kwestii „prawdomówności” radzieckiej propagandy. Byłem zadowolony, że rodzice nie pojechali na wschód, choć nie było im łatwo przeżyć w tak ciężkiej sytuacji. Już następnego dnia włączyłem się do roboty przy żniwach, które w górach dopiero się zaczęły. Żniw wielkich nie było, bo

agencji wiejscy nie pozwalali wykonywać żadnych prac polowych. Pare zagonów zbóż ozimych i trochę jarych zebraliśmy dość szybko i bez problemów. Tak też było z wykopkami ziemniaków i omłotami zbóż.

Teraz na wsi nie było tak jak kiedyś. Nie było ani ludzi, ani dawnej wesołości, i to nie tylko w naszej wiosce, ale i w sąsiednich – w Długiem, Radocynie, Lipnej, Nieznajowej. Najwięcej ludzi było w Czarnem, około 50 osób, a w pozostałych wioskach razem wziętych może drugie tyle. Nie było też życia religijnego w żadnej z tych wiosek, bo proboszcze parafialni wyjechali z wiernymi na wschód. Wnet za nami do wioski wrócili z wojska albo ze szpitali Wasyl Przysłupski, Adam Bajsa, Michał Barna, Michał Sirak, a po roku z Kameczatki przyjechał Iwan Szuta.

Z Niemiec wrócili Andrzej Bajsa, Iwan Petryszyn, Iwan Helem, Petro Chomyk, Tekla Głuszko. Niektórzy zatrzymywali się u rodziny, albo próbowali sami radzić sobie na gospodarstwach swoich rodzin, na przykład Andrzej Bajsa zajął dom brata Wasyla, zaś Iwan Helem wyjechał po roku na Ziemię Zachodnie. W Czarnem z młodzieży zostały też dziewczęta – Milla Szpak, Ola i Maria Pyrtko, Anna Roździel-ska, Ruzia Przysłupska, Tekla Barna, Tekla Głuszko. W Długiem zostali Anna Sabatowicz, Eugenia Szuta, Iwan Welgos, Anna i Dmytro Sabatowicz. Do Wyszowatki wrócili z Niemiec Michał i Seman Ży-diak oraz Michał Szewczyk. We wsi Radocyna żyli tylko Iwan Barna, który wrócił z wojska, i Michał Czan, który wrócił z lagru w Dachau.

Jak wspominałem, najwięcej rodzin i młodzieży było w Czarnem, dlatego tutaj szybciej powracało życie towarzyskie. Pod naszymi trzema wioskami został cygan Wanio zwany Siwakiem, który grał na skrzypcach i teraz przy jego pomocy młodzież ze wszystkich sąsiednich wiosek organizowała czasem małe potańcówki. W ostatnich miesiącach 1945 roku dochodziły już wieści z Ukrainy, bardzo smutne, nie do uwierzenia dla tych, co tam nie byli i nie widzieli. Dla nas, byłych żołnierzy, wszystko było jasne. Z owych wieści wynikało, że większa część przesiedleńców różnymi sposobami próbowała z dalekiej Ukrainy wracać w Karpaty, nawet z poświęceniem całego majątku i honoru. Na przeszkodzie było tylko jedno – granica, która na zawsze zamknęła powrót w rodzinne strony. Kiedy okazało się, że jest nie do przebycia, wszyscy zaczęli szukać nowych miejsc zamieszkania na Ukrainie Zachodniej. Większość osiedliła się więc niedaleko rodzinnych stron, ale jednak za granicą.

Znamienny dla historii tego zakątka Beskidu Średniego jest przypadek mieszkańców największej wioski przygranicznej Radocyny. W lip-

cu 1945 roku na daleką Ukrainę w rejon Krzywego Rogu wyjechało stąd 90 rodzin (cała wieś). Po sześciu miesiącach wędrowki po Ukrainie, ten jeden jedyny transport przesiedleńców nie pozwolił rozładować się na stacji przeznaczenia, ani też na innej stacji na Ukrainie i 6 listopada 1945 roku wrócił do Gorlic. Tu skład okrążyło wojsko i milicja, a Urząd Bezpieczeństwa przeprowadzał dochodzenia i przesłuchania. Nie przyniosły one dobrego rozwiązania przesiedleńcom, gdyż w porozumieniu między Polską a Związkiem Radzieckim nie przewidziano możliwości powrotu przesiedleńców. Na trzeci dzień transport pod konwojem musiał jechać tam, skąd przybył. Część przesiedleńców nie zlekka się jednak surowego prawa radzieckiego i jeszcze raz próbowała wrócić w rodzinne strony. Po sześciu miesiącach siedmiu odważnych – Seman K. Iwan i Michał P. Iwan P. Michał P. Wasyl G. i Petro K. z rodzinami – już jako repatrianci, wróciło wiosną 1946 roku do swojej wioski. Wróciło, ale miało bardzo dużo nieprzyjemności ze strony bezpieki, władz gminnych i powiatowych. Po roku, w 1947 po raz trzeci ich wysiedlono, tym razem w ramach akcji „Wisła” na Ziemię Zachodnie, mimo że byli polskimi repatriantami. Na Zachodzie większość z nich została prawdziwymi repatriantami z pełną asymilacją. W Radocynie został tylko kawałek ementarza i kilka przydrożnych krzyży, nad którymi opiekę sprawuje gorlicka parafia prawosławna i dawni przesiedleńcy z Pustomytów koło Lwowa.

W 1946 roku w naszych wioskach odbyły się dwa wesela. Adama Bajsy z Millą Szpak z Czarnego i Semana Żydiaka z Wyszowatki z Anną Sabatowicz z Długiego. Na tych weselach obecni byli prawie wszyscy mieszkańcy okolicznych wiosek. Szanowali się bowiem ci, którzy zostali jeszcze w górach, a szczególnie młodzież, która schodziła się jak tyko mogła i bardzo mile przyjmowała każdego, kto chciał zatrzymać się w którejkolwiek wiosce.

Po kilku miesiącach z Lublina przysłali dla mnie i Mikołaja Przysłupskiego radzieckie medale „Za bojowe zasługi” i „Medal Zwycięstwa 1941–1945”.

W marcu 1946 roku, przed referendum „3 x tak”, otrzymałem wezwanie do stawienia się przed Wojskową Komisją Poborową w Gorlicach jako rekrut z rocznika 1926. Zgłosiłem się w oznaczonym dniu. Komisja przydzieliła mnie do kawalerii i równocześnie zwolniła ze służby wojskowej w oparciu o przedłożone zaświadczenie o uczestnictwie na froncie w Armii Czerwonej. Nigdy więcej nie byłem wzywany do wojska, a mój udział na froncie zaliczono do służby wojskowej z przyznaniem mi przewileju kombatanta, z którego korzystam od 1970 roku.

Od lata 1946 roku coraz częściej w naszych wioskach pokazywali się partyzanci UPA (Ukraińska Armia Powstańcza), którzy na przemian z WOP-em (Wojska Ochrony Pogranicza) niepokoili mieszkańców niemal wszystkich wiosek. Odwiedzali i naszą wieś, zwłaszcza wtedy, kiedy potrzebowali jedzenia dla siebie i oddziałów ukrywających się w lasach. Zabierali odzież i obuwie wojskowe, w których wracali nasi chłopcy z wojska. Najbardziej interesowały ich kontakty z wojskiem straży granicznej i milicją, a także i z tymi, co „ochotniczo pod przymusem” musieli iść do armii radzieckiej, a później na front. Nie mieli dla takich żadnej tolerancji, uważali, że wyjście mają tylko jedno – iść z nimi do lasu. Tam zaś, tego można było być pewnym, czekała tylko podstępna śmierć z jednej lub drugiej strony.

Jednej niedzieli sierpnia 1946 roku, późnym popołudniem, zebrało się kilku młodych chłopców koło domu Szpaka, wśród nich Michał Barna, Wasyl Przysłupski, Iwan Petryszyn, Michał Sirak i ja. Nagle od dolnego końca wsi podeszło do nas trzech partyzantów. Grzecznie poprosili, byśmy udali się z nimi do naszego domu, a tam czekało już na nas trzech innych, starszych rangą partyzantów. Najpierw zajęli się Michałem Barną, któremu kazali położyć się na ławce i jeden z nich „specjalista od bicia” zaczął wymierzać ciosy nahajką po plecach i tylnej części ciała. Bili specjalnie przy świadkach – na pokaz, bez podania jakiegokolwiek przyczyny lub winy. Przypuszczaliśmy, że mógł być tylko jeden powód: ktoś „uprzejmie” doniósł, że Michał służył w wojsku radzieckim, a ponadto sporo jeździł po kraju. Nie to, że w wojsku służył z przymusu, zaś wyjeżdżać mógł tylko w sprawach handlowych, gdyż nie miał zamiłowania do pracy na gospodarstwie, tylko do handlu i zwiedzania kraju.

Zaraz po kolacji późnym wieczorem „goście”, zadowoleni ze spełnienia swojej misji, poszli do lasu. Zabrali płaszcz wojskowy i buty, w których wróciłem z wojska rok temu. Michał, mocno poturbowany, poszedł z innymi do domu, ale po tym przypadku wyjechał na Mazury i nie był nawet wysiedlany na Zachód z innymi. Założył tam rodzinę i tylko czasem przyjeżdżał do siostry do Chobieni.

Później jesienią zawieźliśmy z ojcem drewno do tartaku w Gorlicach, żeby kupić jakieś zapasy na zimę. Pod wieczór obaj wróciliśmy do domu i matka postawiła obiad na stole. Ojciec – mając na uwadze niedawny przypadek z Michałem – bardzo mnie ponaglał, żebym szybciej jadł i wyniósł się z izby. Posłuchałem ojca i poszedłem do swojej kryjówki u sąsiada w piwnicy. Kiedy zamknęły się za mną jedne drzwi, innymi weszli do

izby partyzanci i ostro spytali rodziców: „Gdzie jest wasz syn Adam?!”. Dobrze wiedzieli, że obaj byliśmy w mieście, a teraz chcieli zobaczyć mnie osobiście. Ojciec bez namysłu skłamał, że po drodze wstąpiłem do narzeczonej. Nie mogli darować sobie tego, że nie udało im się mnie złapać. My zaś wszyscy byliśmy zadowoleni, że udało mi się minąć z „leśnymi gośćmi” i tym samym uniknąć najgorszego – śmierci na drzewie, która spotkała innych. Od tego czasu i w dzień i w nocy musiałem być bardzo ostrożny, musiałem ukrywać się przed partyzantami. Później, kiedy na szczytach gór osiadł już śnieg, zdarzyły się nowe przygody, w których ja nie uczestniczyłem, lecz znam je z opowiadania ojca i matki.

Przed świętami Bożego Narodzenia partyzanci częściej zaglądali do naszej wsi. I oni przecież musieli zgromadzić zapasy jedzenia na długą zimę. Wiedzieli dobrze, że jak w górach spadnie dużo śniegu, nie będzie można wyjść z lasu. Jednego dnia pod wieczór przyszło do nas kilku partyzantów. Jedni pełnili straż koło domu, inni poszli do stajni, gdzie wybrali sobie podchowaną świnię. Bez żadnego pytania zarżnęli ją na miejscu i zażądali dwóch worków, do których zapakowali całą. Zażądali jeszcze klaczy, która miała zanieść im tę ubitą świnię gdzieś do leśnej kryjówki między Nieznajową a Rozstajnem. Dwa worki związali powrozem, przewiesili przez grzbiet klaczy i późną nocą poszli w znaną tylko sobie stronę. Na świnię zostawili papierek, który miał świadczyć, że nie wzięli za darmo. Obiecali, że po wojnie – która wszak dawno się skończyła, ale widocznie nie dla nich – za wszystko zapłacą. Ojciec bał się najbardziej o swoją klacz, która mogła przepaść razem ze świnią, a była najważniejsza w gospodarstwie. Wielkie było więc jego zdziwienie i radość, kiedy raniutko pod stajnią rżeniem odezwała się klacz, cała mokra, buchająca kłębami pary. Można było z tego wywnioskować, że droga jej była ciężka i daleka. Wróciła jednak sama do domu, bo tu czekał na nią półroczny źrebak.

Innym razem, było to wieczorem z końcem lutego 1946 roku, partyzanci kazali ojcu przywieźć na sankach z ich obstawą księdza W.H. do leśniczówki pod Nieznajową. Miała to być specjalna wizyta duszpasterska, w celu dokonania spowiedzi partyzantów przed nadejściem wiosny i świąt wielkanocnych. Ojciec musiał pod lasem długo czekać na księdza i odwieźć go do domu. Wszystkie te wizyty „leśnych gości” musiały być zachowane w pełnej tajemnicy.

Zimą 1946/1947 doszło już do tego, że każdej nocy musiałem spać głęboko pod słomą na strychu nad stajnią, gdzie było dużo ciepłej od wydychanej przez zwierzęta pary. Wiosną przeniosłem się do wioski

Żdymia w strefie przygranicznej, gdzie partyzantów jeszcze nie zauważono. Zamieszkałem u ożenionego tam dawnego sąsiada, Łyzaka.

Kiedy na polach stopniał śnieg, a drogi już dobrze podeschły, w końcu marca 1947, pierwszy raz w tym roku, zawieźliśmy z ojcem drewno do Gorlic. Potrzebne było trochę grosza, żeby uzupełnić domowe zapasy artykułów przemysłowych i gospodarczych (zapalek, soli, nafty). Było to akurat 28 marca. W mieście już dość głośno było o śmierci generała Karola Świerczewskiego pod Baligrodem z rąk partyzantów UPA.

Po sprzedaniu w mieście drewna zrobiliśmy zakupy, między innymi kupiliśmy gazetę, w której była wiadomość o śmierci generała. Wróciliśmy dużo wcześniej niż zwykle, żeby jeszcze za dnia dojechać do domu. Po drodze zaraz za Krzywą zastąpiło nam drogę dwóch partyzantów, których bardzo interesowała sytuacja w mieście. Ucieszyli się gazetą, w której zauważyli wiadomość o śmierci generała i zabrali ją. Do domu dojechaliśmy już o zmroku i za chwilę do izby weszli inni partyzanci. Interesowało ich to samo, co tamtych. Mocno żalowali, że zabrakło dla nich gazety, sprawdzili nasze zakupy, coś zjedli i poszli w swoją stronę. I tym razem byłem ostrożny i ukrywałem się w izdebce obok kuchni, przerobionej z komory.

Kiedy przyszła wiosna 1947 roku musiałem pomagać rodzicom w robotach polowych. Mając klacz i dwuletniego ogierka, którego ojciec nauczył wykonywać wszystkie roboty, zaoraliśmy, zasiali, i zasadzili sporo zbóż i ziemniaków. Było tego tyle, na ile stać było rodziców w trzecim roku po wojnie. Więcej jednak niż zwykle, bo nie brakowało we wsi wolnej ziemi po sąsiadach, którzy wyjechali na wschód. Nadeszła trzecia Wielkanoc i tym razem na drugi dzień świąt mieszkańcy Czarnego i okolicznych wiosek spotkali się w cerkwi na nabożeństwie, które odprawił proboszcz z parafii Krzywa, Włodzimierz Hajdukiewicz. Zeszło się sporo wiernych spragnionych po trzech latach posługi duchownej. Byli prawie wszyscy mieszkańcy Czarnego, Długiego, Lipnej, Radocyny i Wyszowatki – ponad sto osób, które nie wyjechały na Ukrainę. Na tym nabożeństwie pierwszy raz samodzielnie z pomocą matki i innych wiernych pomagałem księdzu Włodzimierzowi odprawić św. liturgię wielkanocną. Jak się potem okazało, była to ostatnia Wielkanoc (*Welykden*) dla tych, co w 1945 r. zostali w swoich wioskach i tych, co wrócili z wojska i z Niemiec.

Akcja „Wisła” – wypędzenie

Akcja „Wisła” to nie tylko odwet za śmierć generała Karola Świerczewskiego i za Wołyń z lat 1941-1945, to efekt stosunków polsko-ukraińskich w całym minionym tysiącleciu. To efekty dziejów i systemów: feudalnego, pańszczyźnianego, niewolniczego, ucisku szlachecko-magnackiego, ekspansji katolickiej na Wschód i pacyfikacji świątyń prawosławnych przy pomocy Unii Brzeskiej i jezuitów, a w końcu skutków systemów komunistycznego i faszystowskiego, które to od samego początku drugiego tysiąclecia, aż do końca XX wieku miały tylko jeden cel – niszczenie wszelkimi metodami i środkami wszystkiego, co ma związek z obrządkiem wschodnim, a najbardziej z prawosławiem.

Rok 1947 – od 28 marca 1947 roku, kiedy władze wojskowe Polski Ludowej w zasadzce partyzanckiej UPA straciły zastępcę ministra obrony, generała Karola Świerczewskiego, zmieniła się całkowicie sytuacja na terenach wschodnich i w Karpatach. Zaostrzało ją wojsko frontowe, które pilnowało granicy czechosłowackiej, jak również milicja i sami partyzanci UPA. Niektórzy upowcy cieszyli się, że udało im się usunąć polskiego generała, tak ważną osobę wojskową, ale byli i tacy, co podejrzewali w tym spisek wewnętrzny i przerzucenie winy na partyzantów. Bardzo szybko się okazało, że ówczesne władze polskie i radzieckie wykorzystały to wydarzenie jako pretekst do realizacji swego planu politycznego – wypędzenia wszystkich Ukraińców z terenów wschodnich i Karpat. Już po miesiącu, dokładnie 28 kwietnia 1947 roku Wojsko Polskie i „sprawiedliwy” Urząd Bezpieczeństwa słynną akcją „Wisła” rozpoczęły na ziemiach wschodnich przymusowe wysiedlanie wszystkich Ukraińców, do których zaliczono Bojków i Łemków mieszkających w Karpatach. W kraju ogłoszono, że za podziemną działalność oddziałów UPA i śmierć generała Świerczewskiego wysiedlona zostanie ludność ukraińska bez podania miejsca przesiedlenia. Później się okazało, że wysiedlają ich na ziemie odzyskane (zachodnie i północne) na wolne tereny po ludności niemieckiej. Akcja wysiedleńcza trwała od 18 kwietnia do

12 sierpnia 1947 roku – sto dni. Świat i Organizacja Narodów Zjednoczonych o akcji „Wisła” dowiedzieli się już po jej rozpoczęciu, za późno na ewentualne przeciwdziałanie. Ponadto za takim rozwiązaniem stał Wielki Brat – Związek Radziecki – którego agenci już dwa lata wcześniej przy „dobrowolnych” przesiedleniach na Ukrainę przepowiadali taką sytuację. Już w 1945 roku prorokowali: „Jeżeli nie pojedziecie na wschód, to i tak Polacy was stąd przegonią”, co oznaczało, że już wtedy niektórzy wiedzieli, co czeka tą ludność z chwilą nowego podziału Europy. Ponadto okazało się, że ówczesny rząd Polski Ludowej w 1945 roku po zakończeniu drugiej wojny światowej i po wysiedleniu resztek ludności niemieckiej z ziem zachodnich i północnych, miał obowiązek szybko zasiedlić te tereny nowymi osadnikami. Właśnie do tego celu najlepiej nadawali się repatrianci ze Związku Radzieckiego, jak również Ukraińcy i Łemkowie z terenów wschodnich oraz Karpat, którzy w swoim czasie nie wyjechali na wschód zgodnie z ówczesnym hasłem: „Polska dla Polaków” i teraz na swoich terenach stali się już niepotrzebnymi, a później w 1947 roku za karę musieli zasiedlić wolne ziemie niemieckie.

Z początku głoszono jawnie, że wysiedlają Ukraińców tylko dlatego, żeby „uwolnić ich od band UPA”, co spowodowało, że wysiedleńców tych długo nazywano „banderowcami”. Trwało to dość długo, dopóki społeczeństwo polskie samo nie wyrobiło sobie opinii na ten temat, czyli prawie do lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Przez cały ten czas politycy i historycy z różnych krajów analizowali, poprawiali i prostowali historię słynnej akcji „Wisła” z jej niewyjaśnionymi do dziś prawdziwymi przyczynami. W 1959 roku ukazała się książka pod tytułem „Łuny w Bieszczadach”, napisana przez świadka śmierci generała Karola Świerczewskiego, podpułkownika Jana Gerharda. Później na jej podstawie nakręcono film pod tytułem „Ogniomistrz Kaleń”. Dziwne jest to, jak często po 1970 roku zmieniała się historia śmierci generała Świerczewskiego. Najpierw nowa komisja z jej członkiem ppłk. Gerhardem w 1970 roku badała jeszcze raz okoliczności śmierci generała. Po roku w lipcu 1971 roku ktoś ukradł wszystkie dokumenty z badania tej sprawy. Potem po dwóch dniach został zamordowany sam Gerhard. Choć szybko złapano dwóch morderców, wśród których był przysły zięć ofiary, i bardzo szybko wydano na nich wyrok śmierci, to ani żona, ani córka, ani także Radio Wolna Europa i paryska „Kultura” nie były pewne sprawiedliwości tego tak szybkiego i surowego wyroku.

Ciągle pokazują się nowe dokumenty wywlekane i publikowane w telewizyjnej audycji pod tytułem „Rewizja nadzwyczajna”, ale mimo to nie

widać jasnego rozstrzygnięcia tej zagadkowej historii (książka Grzegorza Motyki z 1999 roku pod tytułem „Tak było w Bieszczadach”). W kwietniu 2002 roku w telewizyjnym cyklu „Rewizja nadzwyczajna” pokazano dalsze dokumenty z tej serii. Wtedy historycy znaleźli w Łodzi „drugą żonę” gen. Świerczewskiego o imieniu Władysława, która przed śmiercią męża dowiedziała się od niego, że jest prześladowany przez „kogoś” i może nie wrócić z inspekcji w Sanoku. Tak się też faktycznie stało. Najgorsze jest jednak to, że nadal nie mamy rozwiązanej politycznej sprawy „Akcji Wisła”.

Od sześćdziesięciu lat po II wojnie światowej sprawa stosunków polsko-ukraińskich stale powraca w literaturze, mediach, i parlamentach obu narodów. Niektórzy polscy historycy pisali: „Różnie w historii bywało, najpierw myśmy byli winni, potem trochę oni, potem znowu my, potem oni i tak dalej, i tak dalej – błędne koło”.

Zabrzmiało też kilka odważnych głosów prawdy, jak na przykład wystąpienie w parlamencie posła Andrzeja Małachowskiego czy wypowiedź dla mediów posła Jacka Kuronia, który napisał: „Przez prawie 600 lat to Polacy byli narodem dominującym i dlatego to my polonizowaliśmy ukraińskie elity. Polacy co najmniej dwukrotnie uniemożliwili powstanie państwa ukraińskiego. (Kilka razy do rozbiorów i w 1920 r. – dop. autora) Ukraińcy takiej krzywdy nigdy nam nie uczynili. Polscy osadnicy pojechali na prawosławny Wołyń, a nie Ukraińcy na Mazowsze”.

Akcja „Wisła” w moich oczach

Już po miesiącu, 25 maja 1947 roku, do sąsiednich wiosek – Grabu, Wyszowatki i Długiego – wczesnym rankiem przyjechało polskie wojsko wysiedlać pod bronią tych, co nie wyjechali w 1945 roku na Ukrainę. We wsi Długie było zaledwie sześć takich rodzin, wśród nich moi koledzy i koleżanki ze szkolnych i młodzieńczych lat, a szczególnie z czasu po powrocie z wojska w 1945 roku.

Tego feralnego ranka zajmowałem się czymś koło domu, kiedy usłyszałem za górką kilka strzałów. W mojej sytuacji – ciągle się ukrywałem – było to pewne ostrzeżenie, choć nie wiedziałem jeszcze, przed czym. Strzały poranne mogły być sygnałem, że to po prostu żołnierze straży granicznej jadą tą drogą do miasta po jakieś sprawunki. W chwilę po tych strzałach słychać było jednak wielki lament, krzyk i płacz. Nie namyślając się ani chwili, pobiegłem na górkę, która oddzielała nasz dom

od tamtej wsi – mogło to być zaledwie kilkaset metrów – i wszystko się wyjaśniło. Zobaczyłem ludzi biegających wokół dwóch pierwszych zamieszkałych domów i domyśliłem się, że może to być właśnie to najgorsze – wypędzanie. Wtedy jeszcze szybciej pobiegłem prosto przez rzeczkę do tych domów.

To było nie do opisanía. Wyznaczono dwie godziny na przygotowanie i załadunek całego wielowiekowego dobytku. Garsika ludzi popędzanych przez dużo większy oddział uzbrojonych żołnierzy. Ludzie tracili głowy, lamentowali, nie wiedzieli co robić, co brać, co może być dla nich najważniejsze. Wszędzie dookoła slychać było wielki płacz ludzi, ryk bydła i kwik trzody. Jedna z rodzin próbowała załadować 70-kilową świnie, która w takim zgiełku nie dała się zapędzić na wóz. Nie było innej rady, tylko ją zabić. Gospodarz i sąsiedzi nie potrafili tego zrobić i prosili, żebym ja zarznął świnie. Tylko dlatego, że żał mi było tych ludzi i oburzała mnie bezduszność żołnierzy, po raz pierwszy i ostatni w życiu podjąłem się takiego zadania. Trudno było w tej panice znaleźć jakiś nóż. Ktoś znalazł topór, a ja we własnej kieszeni zwyczajny kłapacz z drewnianą rączką. Po mocnym uderzeniu świni obuchem topora między uszy, udało się przewrócić ją na ziemię i wtedy wsadziłem ostrze kłpacza głęboko pod przednią lewą nogę. Kiedy ze świni zeszło trochę krwi, udało się ją załadować na wóz i pojechać w górę wioski za taborem.

Co było dalej, nie wiem, gdyż żołnierze nie pozwolili mi przebywać dłużej z wysiedleńcami. Z powodu zaskoczenia i braku czasu, w żaden sposób nie mogłem nikomu pomóc. Brakło też czasu na pożegnanie z bliskimi z tej wioski, którzy nie mieli już głowy do niczego, pędzeni jak bydło w nieznaną. Żołnierze spieszyli się bardzo, ciągle popędzali przynębionych wysiedleńców dlatego, że trzeba było jechać jeszcze daleko przez wiele miejscowości – Wyszowatkę, Grab, Krępnę, Żmigród do Jasła – ponad 45 kilometrów. Z Jasła towarowymi wagonami zawieźli ich aż pod granicę radziecką do powiatu braniewskiego. Od początku wysiedleńcy nie wiedzieli, dokąd jadą. Myśleli, że jeżeli wiozą za Warszawę, to dalej będzie Moskwa, a jeszcze dalej Sybir.

Od tego czasu i w naszej wiosce zapanowało wielkie przynębienie, a to, co na własne oczy widziałem w Długiem, powodowało jeszcze większy strach, odbierało nadzieję. Teraz ludzie nie byli pewni dnia, ani godziny. Wiedzieli już, że to nie żarty. Przygotowywali się na najgorsze i to w każdej chwili. Brak jakiegokolwiek wiadomości o tym, gdzie wywieźli poprzednie wioski i gdzie wywozą pozostałych, potęgował na-

stroje fatalistyczne. Miejsce wywózki otoczone było wielką tajemnicą, a domysły mogły tylko dodać jeszcze większego strachu. Prawie wszyscy mieli gotowe skrzynie przygotowane dwa lata temu na wyjazd na Ukrainę i teraz było już pewne, że na pewno się przydadzą.

Ciężkie było życie w następnych dniach, aż do drugiego poniedziałku po wysiedleniu tamtych wiosek, to jest do 10 czerwca 1947 roku. I znów wczesnym rankiem, teraz z Gorlic, przyjechał do naszej wioski spory oddział polskiego wojska. Nie organizowali żadnego zebrania, tylko każdej rodzinie przydzielili po kilku żołnierzy, bo po przesiedleniach na Ukrainę naszych 14 rodzin porozrzucane było po całej wiosce na długości 2 kilometrów. Każda grupa żołnierzy ogłosiła rodzinie, że za dwie godziny wszyscy mają być gotowi do wyjazdu własnym transportem. Dla tych, co go nie mieli, wojsko miało podwozy z innych wiosek. Okazało się, że w swoich zapisach mieli do wysiedlenia tylko 11 rodzin, bo dwie rodziny, Dobrzański i wdowa po Kobaku były rodzinami polskimi. Rodzinę Piotra Siraka z podwójnym obywatelstwem zostawili jeszcze we wsi jako dróżnika.

Trudno sobie wyobrazić, co działo się w tych dwóch godzinach w każdej zagrodzie pod twardym rygorem i presją żołnierzy. Choć ludzie od dwóch lat żyli w wielkim stresie – najpierw czasy agitacji i wyjazdów na Ukrainę, później strach przed bandami, a następnie wysiedlenie sąsiednich wiosek – to uświadomili sobie, że nadszedł już ów czas najgorszy. Musieli pozostawić swoje wielowiekowe posiadłości, domy, pola, lasy i góry. Najgorsze były te pytania, na które nikt nie mógł znaleźć odpowiedzi: za co? za jakie i czyje grzechy? co ich czeka i gdzie będzie to ich nowe życie?

Niby każdy się takiego obrotu spraw spodziewał, ale teraz, w tych dwóch ostatnich godzinach nikt nie wiedział, co robić, od czego należy rozpocząć swoje działanie. Wszyscy byli niespokojni, ludzie, psy, konie, bydło, owce, koty. Strzelanie na postrach koło każdego domu. Ten lament, krzyk i płacz zostały w pamięci wszystkim na długie lata, starszym do końca życia. Towarzyszy im wielki żal i poczucie krzywdy, z powodu tego, co spadło na spokojny i niewinny naród, który od wieków nikomu nigdy nie przeszkadzał, aż raptem w roku 1947 został potraktowany tak niegodziwie.

Wywożeni unosili ze sobą gorzki żal za wszystkim, co było rodzinne – domami, górami, polami, rzekami, zielonymi lasami, zdrowym klimatem oraz stale zmieniającym się krajobrazem każdego tygodnia, każdego miesiąca i każdej pory roku. Byli w wielkim strachu przed nieznanym i to nie

tylko przed tym, jak miało wyglądać ich przyszłe życie. obawiali się także dalszego podziału rodzin, utraty sąsiadów i znajomych. Starszych ludzi nurtowało, czy na nowym miejscu zamieszkania będzie możliwe pielęgnowanie swojej wiary, obrządków i obyczajów.

Pamiętam dobrze, jak moja rodzina w wyznaczonych dwóch godzinach ładowała dorobek wielu pokoleń na dwa wozy. Na wóz drabiniasty – wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy, jedzenie na drogę, odzież, pierzyny i różne przedmioty kuchenne oraz narzędzia gospodarskie. Drugi, mniejszy wóz, przeznaczono dla starej babci i braci – jednorocznego Piotra i czteroletniego Janka. Obaj z ojcem powiązaliśmy swoje wozy łańcuchami i powrozami tak, aby w dalekiej i kamienistej drodze nie rozlazły się i nie połamały pod ciężarem dobytku. Za pierwszym wozem uwiązaliśmy dwie krowy i rocznego cielaka. Wóz drabiniasty ciągnęła starsza klacz, którą furmanił ojciec. Ta sama, za którą ojciec w czasie okupacji oberwał od niemieckiego oficera. Była ona bardzo żyta z naszą rodziną, a co roku wychowywała ładnego źrebaka. Drugi wóz, którym powoziłem ja, ciągnął młody gniady ogierek. Za wozami szli przygnębieni i płaczący matka, stryjek i czterastoletni brat, którzy na zmianę piłowali trzech związanych razem owiec. W tych dwóch godzinach nie było czasu na myślenie, co dzieje się dookoła, gdzie nas wiozą, ani co będzie potrzebne gdzieś w nowym nieznanym miejscu. Przed nami pognali rodzinę Cygana Siwaka oraz młodą rodzinę Ewy i Andrzeja Bajców, którzy niedawno wzięli ślub. Żołnierze coraz bardziej się denerwowali i popędzali nas, aby zgodnie z ich planem dojechać na nocleg do gminy w Gładyszowie. Do tej miejscowości było 15 kilometrów i jechać trzeba było przez wzgórza, doliny i lasy, a wojsku w tych czasach, tym bardziej w nocy, nie wolno było jechać przez lasy. Spieszyli się więc żołnierze i złościli, nie żałując nikomu ostrych słów, a nawet ciosów kolbą karabinową.

Pamiętam, że w naszej zagrodzie, na strychu, zostało dużo różnych maszyn i narzędzi rolniczych: młocarnia, kierat, młynek, sieczkarnia, żarna, pług, brony, wozy, sanie, oraz kompletny warsztat tkacki. W spichlerzu zostały kołowrotki, sprzęt do sianokosów, żniw, wykopków i omłotów, a także sprzęt kowalski i stolarski, gdyż ojciec nasz potrafił zrobić lub naprawić prawie wszystko, co było potrzebne do prac w gospodarstwie. W izbie zostały stół, ławki, kanapy, łóżka, kołyski i sporo naczyń oraz sprzętu kuchennego. Nie zostawiliśmy tylko obrazów świętych i książek cerkiewnych.

Zostały dwa koty i pies uwiązany na sznurku, aby sam mógł uwolnić

się z uwięzi. Zwierząt tych nie wolno było zabierać ze sobą, ale i tak trudno byłoby je zatrzymać z powodu wrzasków i strzałów. Po wysiedleniach sąsiednich wiosek nie chowaliśmy już żadnego ptactwa domowego. Przed wyruszeniem w drogę każdy jeszcze pomodlił się po cichu, zrobił znak krzyża na piersiach i ostro popędzani przez żołnierzy ruszyliśmy w górę wioski. Po drodze mijaliśmy gotowe już do drogi rodziny Przysłupskich, Pyrków, Roździelskich i Barnów. Szpaków, Pawłyszynę i Wańków ładowano na obcy transport. W środku wsi nasze wozy zatrzymały się koło dwóch cerkwi, do których chcieliśmy wstąpić jeszcze ostani raz. Był problem, bo obie były zamknięte, a do tego jedna pusta, gdyż większość mieszkańców przesiedlających się wraz z proboszczem na Ukrainę w 1945 roku zabrała ze sobą wszystkie przedmioty cerkiewne. Wojsko zabroniło zatrzymać się nawet na chwilę.

Już po południu wszystkie jedenaście rodzin znalazło się na wzgórzu za wioską, koło pomnika i kapliczki postawionych i poświęconych w 1934 roku ku pamięci ofiar Talerhofu i męczeńskiej śmierci księdza Maksyma Sandowicza. W tym miejscu trzeba było dać odpocząć koniom po męczącej drodze przez wieś, zwłaszcza na samym końcu wioski na tak zwanym Grybowym Brzegu. Z wierzchołka widać było pustą wieś Długie. Każdy z nas miał okazję ostatni raz spojrzeć na swoją ukochaną rodzinną wieś przesłoniętą drzewami. Spośród nich widać było właściwie tylko krzyż na kopule cerkiewnej, który błyskał promieniami za swoimi wypędzonymi wiernymi.

Żołnierze ostrzegli teraz wszystkich, że w dalszej drodze przez las nie będzie wolno nikomu zatrzymywać się, ani zostawać, ani uciekać do lasu, bo rodzina ciężko pożałuje i zapłaci za taki postępek. Sami żołnierze rozstawili się pomiędzy furmankami i zaczęli strzelać, aby odstraszyć tych, którzy mieliby chęć nawiązać kontakt z „gośćmi z lasu”, którzy w tym lesie nieraz napadali na transporty wojskowe z prowiantem i amunicją dla strażnicy w Grabiu. Na szczęście teraz nie czekał na nas nikt.

Pierwsze trzy kilometry kamienistej drogi ciągnęły się stale pod górę i dały się mocno we znaki zarówno koniom, jak i ludziom, którzy często musieli pchać ciężkie wozy, żeby nie pozostać z tyłu za pędzonym taborem. Ludzie najbardziej męczyli się z nieposłusznym bydłem i owcami, które nie były przyzwyczajone chodzić na uwięzi za wozem. Od granicy pomiędzy Czarnem a Jasionką droga ciągnęła się teraz łagodnie w dół przez wysiedlone wcześniej wsie: Jasionkę i Krzywą pod Banicę. Tu droga była trochę łagodniejsza, więc jej było łagodnych wzniesień i dolin.

Zbliżał się najtrudniejszy odcinek przez las wirchniański, gdzie droga leśna była bardzo stroma i na niektórych odcinkach mocno wyboista z dużymi wyrwami i koleinami. Trzeba było hamować, żeby nie znaleźć się w głębokim rowie. Mimo ostrożności, kilka wozów drewnianych nie wytrzymało tych warunków, przez co wymagały natychmiastowego remontu i częściowego zmniejszenia ładunku. Z konieczności pozostawiono w rowie kilka cięższych rzeczy. Cztery kilometry dalej w Gładyszowie zaplanowano nocleg dla całego taboru. Wieś gminna była już wcześniej wysiedlona, aby zrobić dla innych miejsce na nocleg. Pod wieczór dojechaliśmy na wyznaczone miejsce na łące blisko drogi traktowej: Bardejov – Konieczna – Żdynia – Gładyszów – Gorlice.

Tam odpoczywaliśmy bez rozładunku. Młodzi ludzie musieli przez całą noc pilnować wszystkiego, zwłaszcza zwierząt, bo te ciągle w panice chciały wyrwać się z rąk swoich opiekunów. Na drugi dzień rano trzeba było jechać stromą i krętą drogą przez Magurę i dalej ponad Pętą przez Małastów i Ropicę Ruską, które były już wysiedlone. Później były Sękowa i Gorlice, a następnie stacja towarowa w Zagórzanach. Na terenach polskich trzeba było wzmocnić pilnowanie taboru, bo trafiały się kradzieże wszystkiego, co nie było pilnowane. Tam też tabor po raz pierwszy poznał jeszcze inny wymiar swego losu – dwa lata po wojnie jedni wypędzali biednych ludzi pod karabinami, a inni patrzyli na ludzką krzywdę ze śmiechem i uciechą. Późnym popołudniem bardzo zmęczonych ludzi i bydło przygnali na stację towarową w Zagórzanach. A tam błoto takie, że trudno było z niego nogę wyciągnąć. W takich warunkach trzymano nas do czasu zarejestrowania i podstawienia wagonów towarowych. Na stacji od wojska przejął nas Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR), który spisywał szczegółowo każdą osobę z rodziny, aby wyłapać ewentualnych podejrzanych. Natomiast zabierany dobytek opisywano jedynie ogólnikowo, podobnie pozostawiony w górach majątek, jakby uważano go za sprawę nic nie znaczącą. Jak się później dowiedzieliśmy, przesiedlanie ludności polskiej zza Bugu odbywało się całkiem inaczej. Tamci przesiedleńcy otrzymywali papiery dokumentujące rzeczywistą wartość pozostawionego mienia.

Już od samego początku wysiedlania, na stacjach załadowczych, każdą wieś dzielono na dwie, lub trzy grupy, a ponadto rozdzielano rodziny, sąsiadów i znajomych. Transporty odsyłano w różne – jak się później okazało – odległe miejsca Polski zachodniej i północnej. PUR miał obowiązek wystawiać kartę przesiedleńczą każdej rodzinie osobno i wręczać ją na

stacji załadowczej, w praktyce karty te otrzymywali konwojenci transportu i przekazywali je powiatowym oddziałom PUR w miejscach osadnictwa. Tam oddawano je zainteresowanym, ale raczej tylko tym, którzy się upomnieli, a reszta została już w Powiatowych Radach Narodowych. W kartach tych było napisane „Karta przesiedleńcza”, choć „przesiedlenie” a „wysiedlenie” to nie to samo. Nigdy już tego nie sprostowano.

Po dwóch dniach nasze 11 rodzin podzielono i wysłano transportami:

– numerem R-217 Zagórzany 12 VI – Legnica 15 VI pojechali: Siwak, Bajsa, Szpak, Pawłyszyna, Pyrtko, Roździelski, Przyszupski i Wańko oraz inni wysiedleńcy z Gładyszowa, Bednarki, Wapiennego i Lipnej.

– numerem R-221 Zagórzany 13 VI – Ścinawa 17 VI pojechali: Barna, Przyszupski, Barna/Czan oraz inni wysiedleńcy z wiosek Lipna, Jasionka, Wapienne i Męcina Wielka.

Na stacji podstawiano tylko wagony towarowe – węglarki, kryte i niekryte. Do każdego ładowano jedną, dwie, a nawet trzy rodziny i to razem z całym majątkiem także z inwentarzem. Nasze osiem osób załadowaliśmy do niekrytej węglarki, choć w rodzinie była stara babcia i dwoje małych dzieci. Wagon ten przed deszczem i zimnem musieliśmy sami zabezpieczyć drabinami i deskami z wozów i to tylko na jednej połowie wagonu, gdzie było miejsce dla ludzi, produktów żywnościowych, pieprzyn, odzieży i ważniejszych rzeczy. Na szczęście w drodze nie było zimno i nie padał deszcz. Do każdego składu węglarek doczepiali jeszcze dwie platformy pod załadunek wozów i większych rzeczy. Za Grybowem, kiedy pociąg jechał pod górkę bardzo wolno, na platformy wskakiwali złodzieje i zrzucali na ziemię, co tylko się dało. Nasz transport dojechał nienaruszony, bo ja z ojcem siedzieliśmy na drabinach na wagonie i na czas zauważyliśmy skradających się do pociągu złodziei. Wszystkie transporty konwojowali wojskowi z oficerem – kierownikiem transportu. Większość naszych ludzi nie widziała do tej pory żadnego pociągu, ale widzieć taki pociąg, jakim wieźli nas na zachód, to wielki wstyd i hańba dla kraju, który zdecydował się na wysiedlanie. Nawet najcięższe życie w górach nie było tak przykre i ciężkie, jak brudne i śmierdzące wagony.

Konwojenci transportów nie mieli żadnego współczucia dla wysiedleńców. Nie pozwalali na kontakty z ludnością spoza transportu. Wszystkie transporty zatrzymywały się dosyć często na pustych stacjach towarowych, aby wysiedleńcy mogli ukosić przy torach kolejowych trochę trawy i nabrać wody dla inwentarza i dla rodziny. Żaden z transportów nie mógł omi-

nać sławnej stacji Oświęcim – Jaworzno, gdzie każdy dorosły mężczyzna i „podejrzana kobieta” musieli być pod pozorem obowiązkowego szczepienia poddani też obowiązkowemu przesłuchaniu przez UB. Trafiało się, że zatrzymywano niewinne osoby na kilka godzin, dni, a nawet lat bez sądu i możliwości obrony. Niektórzy zostali tam pod sosnami na zawsze. Przesłuchanie nie ominęło i mnie, dwudziestoletniego mężczyzny. Po szczepieniu u jakiejś pielęgniarki, zabrał mnie żołnierz i zaprowadził do pokoju, gdzie było dwóch cywilnych agentów UB. Jeden siedział za biurkiem, a drugi kręcił się koło okna. Kazali mi zdjąć koszulę i usiąść na krześle koło biurka. Przesłuchanie prowadzili obydwaj na zmianę, rozpoczynając od pytania: „W której sotni UPA służył pan?”, a drugi zaraz na to: „Skąd ma pan znak SS pod lewą pachą?”. Ja, bez żadnego strachu i zdenerwowania, gdyż nie poczuwałem się do stawianych zarzutów, odpowiedziałem: „Służyłem »ochotniczo pod przymusem« w Armii Czerwonej, a nie w żadnej sotni UPA. Nie mam też żadnego znaku SS”. Nie zauważyli więc u mnie strachu i zdenerwowania i dowiedzieli się tylko tego, co już wiedzieli z tajnej informacji, która jechała z każdym z nas z miejsca wysiedlania. Z dalszego przesłuchania wynikało, że interesuje ich, kto był w UPA, kto im z naszych mieszkańców pomagał. I na te pytania miałem tylko jedną odpowiedź: „Część moich znajomych pojechała na Wschód, a reszta jest wysiedlana razem ze mną”. Przesłuchanie ciągnęło się prawie godzinę i nie wniosło niczego nowego do znanych im już informacji, więc wypuścili mnie na wolność. W tym czasie mój transport odjechał i musiałem doganiać go dość daleko pociągiem osobowym. Dopiero wieczorem odnalazłem rodzinę, która była zaniepokojona moją nieobecnością. Nie podejrzewali, że mnie, frontowców, władza mogłaby cokolwiek zarzucać. A o tym, że takich podejrzanych osadza się w obozie w Jaworznie, nikt nic wtedy nie wiedział.

Dalej wzięli nas przez Opole, Wrocław, Legnicę, Lubin, Gwizdanów do Ścinawy. Na stacjach w Legnicy, Lubinie i Gwizdanowie na rampach widać było rozładunki transportów, co świadczyło o tym, że już gdzieś blisko będzie i nasza stacja końcowa. W Ścinawie nad Odrą transport nasz podstawili przed samym południem pod rampę towarową, na którą kazali się rozładowywać. Zdaje się, że tylko w jednej Ścinawie czekały ciężarowe samochody, na które kazali ładować nam część majątku, aby w ten sposób pomóc wysiedleńcom w szybszym dotarciu do przeznaczonego miejsca w gminie chobieńskiej.

Po pięciu dniach podróży pociągiem, nieprzerwanym kołysaniu i szarpaniu wagonami, konie i bydło nie chciały w żaden sposób wychodzić z wa-

gonów na wolność. Jaka to wolność, kiedy znów na siłę wypychają i znów będą zaprzęgać do wozów? Poskładaliśmy obydwa nasze wozy i załadowaliśmy na nie resztę majątku oraz rodzinę. Do wozów przywiązaliśmy znów krowy i owce, pojechaliśmy w stronę Chobieni – 18 km. W jednym z załadowanych samochodów pojechałem ja i ktoś z transportu z innych rodzin. Po południu samochód szybko zawiózł nas na podwórko przed murowany dwupiętrowy siedmiorodzinny dom, jako miejsce tymczasowe wyznaczone przez wójta Chobieni. Ze Ścinawy do Chobieni droga była asfaltowa, teraz do nowego miejsca zamieszkania tabor jechał już tylko po równinie. Tutaj na cywilizowanym zachodzie nasze wozy, konie, uprząż i krowy w jarzmach, bo i takie były w naszym taborze, budziły wielkie zainteresowanie tubylców i osadników, których było dużo w okolicy. Dla tubylców było to w ogóle nieznanne, zaś osadnicy ze Wschodu nie widzieli w tym nic dziwnego. Dobrze znali takie tabory, takimi samymi przyjechali wcześniej na te ziemie. Pod wieczór dojechaliśmy do Chobieni, gdzie na podwórku przed domem wyładowane zostały z samochodu nasze rzeczy.

Samochód odjechał do swojej bazy. Pozostałe rodziny z transportu pojechały do innych wiosek w tej samej gminie.

My wraz z trzema sąsiadami oraz czterema rodzinami z innych wiosek z naszego transportu (osiem rodzin) zastanawialiśmy się od czego zacząć nowe życie na obczyźnie. Najpierw szukano cegły, aby postawić palenisko i zagotować wodę, pierwszy raz po pięciu dniach zjeść coś gotowanego. W transporcie nie dawano żadnych ciepłych posiłków, nawet kawy, czy herbaty. Nikt nie interesował czy wysiedleńcy mają co jeść i pić, pod dostatkiem było jedynie zimniej wody czerpanej z pomp na stacjach towarowych. Ciepłe było tylko mleko od krów dojonych w wagonach. Ognisko potrzebne było też do ogrzania się oraz podsuszenia odzieży i obuwia. Narazie nie próbowano rozładowywać wozów, gdyż nie było wiadomo, czy będzie to już to ostateczne miejsce na obczyźnie. W domu, przed którym zatrzymały się nasze rodziny, mieszkały już trzy rodziny osadników zza Buga. Pierwszą noc spędziliśmy jakoś na wozach i przy ognisku. Niektórzy nie spali wcale, bo trzeba było pilnować inwentarza i dobytku w obawie przed nieznanymi osadnikami. Tak to pilnowaliśmy się wzajemnie, oni bowiem wiedzieli z doniesień prasowych i od gminnych władz, że ci co przyjadą, to są „banderowcy”, którzy wcześniej na Wschodzie mordowali i zabijali polską ludność. Zgodnie z tym osadnicy dość długo się nas obawiali. Bywało, że na noc zamykali się i spali z siekierą koło łóżka. Później niektórzy mieli odwagę się

przynależą. że przez dłuższy czas obserwowali nasze zachowanie, bo nie byli do końca pewni, z kim mają do czynienia.

Po kilku tygodniach dowiedzieliśmy się, że druga część naszych wiejskich sąsiadów, która wyjechała dzień wcześniej z Zagórzan (osiem rodzin) została rozładowana w Legnicy i osiedlona w powiecie legnickim. W miejscu naszego wyładunku, w Chobieni, większość rodzin rozglądała się dookoła, lecz nie próbowała zajmować żadnego domu, mimo że niektóre były wolne. Czekali na wszystkich, a najbardziej na decyzję starszych z rodzin, gdyż krążyły pogłoski, że tutaj długo nie pozostaniemy, że wrócimy do rodzinnych stron.

W tym miejscu wypada wspomnieć jeszcze losy niektórych wysiedleńców i prowadzonych wobec nich szykan, przesłuchiwań, bicia, tortur i aresztowań w miejscu przygotowywanym od 28 IV 1947 roku równocześnie z akcją wysiedleńczą pod kryptonimem „Akcja Wisła”. Był to Centralny Obóz Pracy w Jaworznie oddalony o 20 kilometrów na północ od obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Tak, jak akcja wysiedleńcza była wielką tajemnicą, tak i o obozie w Jaworznie wiedzieli tylko wtajemniczeni funkcjonariusze ówczesnego systemu.

Do obozu tego nie kierowano członków UPA, którzy podlegali sądownictwu wojskowemu. Tam kierowano ich rodziny oraz sympatyków, a także wszystkich podejrzanych lub niewygodnych, tak zwane osoby z wilczym biletem. Stacja Oświęcim w tym czasie spełniała rolę czyszcza dla wszystkich „podejrzanych” wysiedlanych transportami na zachód i północ Polski. Niektórych zabierano jeszcze z domów i wsadzano do więzień powiatowych, gdzie przebywali nie tylko w ciężkich warunkach, ale poddawani byli nieludzkim torturom i przesłuchiwaniami po kilka razy na dobę. Innych przesłuchiwało i torturowało w Oświęcimiu, a później jednych i drugich ledwie żywych odsyłano do obozu w Jaworznie. Przez obóz ten przewinęło się prawie 4000 mężczyzn, kobiet i młodzieży, z których 161 osób zostało tam na zawsze w grobach pod sosnami (z wyroku sądowego w Katowicach z 1995 r.).

Z relacji i wspomnień więźniów obozu w Jaworznie, Michała B., Michała R., Mikołaja W. i innych, wiemy, że:

W więzieniach powiatowych:

- na przesłuchaniach bito różnymi sposobami; przy biciu kneblowanemu zatrzymanemu usta szmatami, aby nie było słycać krzyków i jęków,
- pomieszczenia więzienne to małe, stęchłe cele – piwnice, gdzie spędzano większą ilość podejrzanych,

- brak urządzeń sanitarnych – stawiano jedno wiadro na grupę,
- niektóre cele, do których wsadzano ledwo żywych z przesłuchań i bicia, pozbawione były nawet słomy,
- jedzenie podawano byle jak, najczęściej porcję niesmacznej, rzadkiej zupy, takiej, że lepiej było głodować niż ją jeść,

– nie pozwalano na żadne kontakty z rodziną i bliskimi, nie udzielano żadnych informacji; przekazywane więźniom listy i paczki nie trafiały do adresatów.

W obozie Jaworzno:

– baraki po dawnym obozie hitlerowskim „Auschwitz”, ogrodzone wysokimi murami z drutem elektrycznym i gęsto ustawionymi strażnikami,

– między barakami męskimi i kobiecymi ogrodzenie z drutem elektrycznym,

– w baraku stał tylko jeden piec, który w porę zimową bardzo słabo ogrzewał,

– do baraków wpychano po 160-200 osób; stały w nich trzypiętrowe prycze z rzadkimi jak drabina deskami, na których nie mogła zatrzymać się słoma, chorzy i pobici nie mogli spać na takich pryczach.

– jedzenie było gorsze niż dla świń; zupę z buraków lub brukwi gotowano z żelatyną,

– w baraku była jedna beczka brudnej wody do picia, a druga takiej samej do mycia,

– do toalety trzeba było chodzić na specjalne miejsce między barakami i tylko grupowo pod nadzorem,

– wyjścia z baraków nie było z wyjątkiem roboty i na apele, które trwały nawet po dwie godziny,

– każdy więzień nosił na szyi tabliczkę ze swoim numerem zawieszoną na sznurku,

– za niesłuchanie rozkazów karano najczęściej staniem na słońcu, deszczu, mrozie, bito szpicrutą nahajką, norma dla kobiet – 25 razy, dla mężczyzn kilka razy więcej,

– chorych więźniów leczyli lekarze więźniowie zgodnie z narzuconym rozkazem – zawsze na szkodę chorego,

– bardzo rzadko zmieniano bieliznę, odzież i obuwie, dlatego niektórym wstyd było wychodzić z baraku,

– złe warunki sanitarno-higieniczne doprowadziły do tego, że w barakach grasowały pchły i wszy, które roznosiły różne choroby, najczęściej tyfus,

– wśród więźniów było 27 księży grekokatolickich i 3 prawosławnych, z których robiono sobie obozowe pośmiewisko – więźniowie wozili ich wózkami na śmiecie,

– było tam też kilku żołnierzy Armii Radzieckiej z powodu nieuznawania ich zaświadczeń wojskowych. Byli oni potrójnie poszkodowani: służba w wojsku, więzienie i utrata przywilejów kombatanckich.

– przed zwolnieniem więźniom leczono rany, aby nie było śladów bicia i dowodów pobytu w więzieniu,

– zwalnianym kazano podpisywać „tajną przysięgę”, że nie ujawnią nigdy i nikomu nic ze śledztwa, więzień i obozu, co oznaczało, że jeżeli ujawniona zostanie tajemnica, to „wkrótce spotkamy się znów, ale w innym nastroju”,

– niektórzy zwolnieni więźniowie mieli obowiązek codziennego zgłaszania się na posterunkach milicji oraz zakaz zmiany miejsca zamieszkania; na wyjazd za granicę trzeba było czekać aż do lat dziewięćdziesiątych.

Z tych dwóch ostatnich powodów do dziś nie ujawniono w pełni prawdy o tamtych ciężkich czasach. Dla uspokojenia opinii światowej przeprowadzone były kontrole i spisano raporty o stanie sanitarnym w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie. Jednym z nich był raport Wydziału Zdrowia Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Krakowie. Oto jego fragmenty:

„– niska kultura i sposób życia jest przyczyną braku bielizny, odzieży i obuwia,

– choć więźniowie dostają wyżywienie, które wynosi 2400 kalorii, to nieraz jedzą oni surowe ziemniaki, buraki i marchew i do tego nie myte, gdyż mają je wtedy, kiedy rozładowują wagony.

– stwierdzono, że więźniowie nie myją misek i łyżek po jedzeniu, tylko czyszczą je w brudnym piasku. Przy każdym baraku stoi beczka z wodą przeciwpożarową, niezdatną do picia. Jest ostry zakaz picia jej, ale Ukraińcy, choć mają możliwość picia dowolnej ilości wody zdatnej do picia i użytku, to z wrodzonego leniwstwa korzystają z wody niezdatnej,

– jedną z przyczyn powstawania epidemii tyfusu może być fakt braku papieru toaletowego i bez mycia rąk może powstawać wybuch duru brzuszkiego,

– baraki są trochę przepelnione w których brakuje słomy. Ukraińcy nie mają odzieży, a choć mają to bardzo lichą i nie chcą wychodzić z baraku, żeby umyć się codziennie. W takim stanie wszy jest bardzo mało

(potwierdzone badaniem) ponadto stwierdzono obecność pcheł i gdzieś niegdzie były pluskwy.

Zarządzenie:

Trzeba zaraz wydać więcej mydła, bieliznę, odzież i obuwie. Brak tych rzeczy może być przyczyną wybuchu choroby płuc”.

Z tych relacji każdy czytelnik może sam wyciągnąć wnioski. W moim przekonaniu jedno jest tylko jasne: posiadamy duże i małe urzędy sprawiedliwości, ale dla wysiedlonej, wypędzonej i więzionej ludności z terenów Karpat sprawiedliwości nie było i dalej nie ma, choć minęło już 55 lat.

Życie rodzinne po wysiedleniu

Po nocy spędzonej na podwórku w Chobieni władze gminne kazały dokonać natychmiastowego zameldowania wszystkich członków każdej rodziny. Przy meldowaniu zaproponowali nam możliwość osiedlenia w kilku miejscowościach: na folwarku w Chałupkach – 1 kilometr, w domach w Brodłowicach – 7 kilometrów i w Stodołowicach – 10 kilometrów od Chobieni.

Następnego dnia ojciec, ja i kilku innych gospodarzy z grupy koczującej w Chobieni poszliśmy pieszo do tych miejscowości, aby dokonać wyboru. Najwięcej wolnych, ale wyszabrowanych i zniszczonych domów było w Stodołowicach. Tam cała wieś – około piętnaście gospodarstw – czekała na osiedleńców. Nasi starsi gospodarze po obejrzeniu wszystkich, mocno okradzionych domów i budynków gospodarczych ocenili: „żyć będzie można, tylko ziemia jest piaszczysta, a najgorsze to, że daleko od miasta, gminy, szkoły, sklepu i cerkwi”.

Po powrocie z rekonesansu nasze trzy rodziny zdecydowały, że pozostają tam, gdzie je przywieziono, czyli w Chobieni, gdzie istnieje już cywilizowane życie. Wprowadziliśmy się do domu, w którym w jednym końcu były pokoje, a w drugim stajnia, podobnie jak to było w górach. Rozpoczęliśmy remont nowego gniazda od szklenia okien i wstawiania drzwi w pokojach. Na samym początku trzeba było wyremontować zniszczoną kuchnię z nową blachą, a później pokoje. Po pewnym czasie ojciec w jednym pokoju wymurował górski piec z watrą i okapem do pieczenia chleba oraz suszenia owoców.

Niedaleko, bo w odległości około kilometra, znaleźliśmy nad Odrą dużo wolnych łąk i pastwisk, na których mogliśmy wypasać bydło przywiezione z gór. Kosiliśmy siano na rozlewiskach Odry, było duże, grube, twarde i gorzkie, ale zawsze lepsze od słomy.

Ponieważ na nowe miejsce osiedlenia dojechalśmy w drugiej połowie czerwca, nie próbowano już orać ani siał żadnego zboża, choć tu, na zachodzie, ziemi znalazłoby się jeszcze dość dużo. Jako że utrzymywaliśmy dwa konie, dwie krowy z jałoweczką i trzy owce, postanowili-

śmy zrobić zapas siana na całą zimę. Mocno włączyłem się do pomocy rodzicom, dopóki nie znalazłem sobie pracy na Odrze.

Choć urobiono nam bardzo złą opinię, nie zwracaliśmy na to żadnej uwagi. Każdego dnia po robocie, nieraz bardzo mozolnej, nasi chłopcy, wysiedleńcy z Czarnego, Jasionki, Wapiennego i Męciny Wielkiej, spotykali się koło naszego domu i śpiewali swoje piosenki. Nie był to śpiew z uciechy, lecz z tęsknoty za rodzinnymi górami, lasami, rzekami, górskim krajobrazem i klimatem. Część osadników, którzy w pierwszych dniach naszego pobytu nie spali spokojnie, bojąc się tak zwanych banderowców, po pewnym czasie zaczęła nabierać do nas zaufania. Większość z nich lubiła słuchać wieczorami naszego śpiewu, bo wschodnie pieśni przypominały im ich młode lata i rodzinne strony.

Byli jednak i tacy, co nie mieli ochoty słuchać tych piosenek, bo przypominały im czasy partyzanckie na Wschodzie, skarżyli się więc władzom na nas, że jesteśmy właśnie tymi, za jakich nas uważano. My nie kryliśmy urazy do władz, za to że wysiedlono nas niesprawiedliwie, nie baliśmy się więc niczego, nawet dalszego przesiedlenia. Nie chcieliśmy jednocześnie brać na siebie partyzanckich win – nigdy nie byliśmy w tamtych stronach, ba, nawet o nich nie słyszeliśmy. Krótko mówiąc: gdzie ich Wołyń, a gdzie nasze Karpaty? Większość osadników tego nie rozumiała, nawet nie chciała rozumieć, bo to było wygodniejsze. Nie zastanawiali się nawet nad tym, o czym świadczy nasza „dziwna mowa”, dla większości niezrozumiała właśnie dlatego, że nie była ani ukraińska, ani rosyjska. Dostatecznie przecież świadczyła, że Łemko to nie Ukrainiec.

Już w pierwszych tygodniach pobytu na obczyźnie razem z bratem i innymi kolegami zaczęliśmy zbierać i składać nieużywane rowery, które znajdowaliśmy na strychach domów w Chobieni. Takimi składakami jeździliśmy na razie po najbliższej okolicy, a później i po dalszych wioskach. Ponieważ brakowało dętek, a dziurawych i starych nie było czym łątać, ktoś wpadł na pomysł, żeby w ich miejsce wkładać do opon twarde gumowe rurki, szlauchy, albo gruby kabel. Choć jeździło się na takim rowerze ciężko, było za to bezpieczniej wypuszczać się w dalszą drogę, a i jeździć można było dopóty, dopóki się nie zdarła opona. Kiedyś takimi rowerami udało nam się pojechać do naszych sąsiadów osiedlonych w powiecie legnickim, ponad 50 kilometrów!

W Tyńcu Legnickim osiedlono dwie rodziny Przysłupskich, w Wądroźnie Roździelskich i Pyrtków, w Rogoźniku rodziny z Lipnej – Wa-

sienkę, Puchyra i Paca, w Spalanej Bajse i Szpaka, w Pątnowie Wańków, Bajse i Siwaka. Nauczycielkę Pawłyszynę osiedlono w Grzymalinie, w nowym rolniczym szkolnym zaczęła uczyć dzieci w tamtejszej szkole. Niedaleko Chobieni, w sąsiednich wioskach osiedlono – w Narozycach z Muszynki i Boguszy sześć rodzin, w Czechołowicach z Boguszy pięć rodzin, w Radoszycach z Jasionki pięć rodzin, w Nieszczykach z Męciny Wielkiej i Jasionki sześć rodzin, zaś na folwarku w Chałupkach z Piorunki trzy rodziny.

Na Zachodzie młodzież nasza od pierwszych dni zaczęła się jednoczyć z przyczyny najzupełniej oczywistej – z tęsknoty za rodzinnymi stronami. W niedziele i święta, jak tylko mogła, pieszo i na rowerach, przybywała młodzież w umówione miejsca, choć było to zakazywane i odnotowywane przez miejscowych tajnych agentów. Najpierw spotkania takie odbywały się w Chobieni, gdzie było nas najwięcej, bo aż jedenaście młodych chłopców i dziewcząt z dawnych wiosek: Czarnego, Jasionki, Męciny, Wapiennego, Radocyny i Lipnej. Dużo, bo aż dziewięć młodych osób, było też na folwarku w Chałupkach, a wśród starszych znaleźli się wiejscy muzykanci, którzy teraz nie narzekali na brak zajęcia. Prawie co niedziela organizowano tam spotkania, które zamieniały się w małe zabawy taneczne. Później w Stodołowicach osiedliło się po kilka rodzin z Piorunki, Jasionki i Wołowca, które już w listopadzie 1947 roku utworzyły parafię prawosławną. W niedziele i święta na odprowadzanie tam nabożeństwa schodzili się wierni z okolicznych wiosek, nawet tych odległych o kilkanaście kilometrów.

Wiosną w 1948 roku swoimi składanymi rowerami wybraliśmy się z kolegą Kwoczka do cerkwi w Legnicy, która na stałe otwarta została 15 lutego 1948 roku. W czerwcu 1948 zmarła nasza 81-letnia babcia Tekla, która w ostatnich latach swego życia zobaczyła pierwszy raz kino, kolej, niemieckie miasta i wioski. Pochować ją obiecał proboszcz rzymskokatolicki, ale kiedy dowiedział się od nas, że jesteśmy wyznania prawosławnego, natychmiast odmówił pochówku. Nie było wtedy ani transportu, ani czasu na poszukiwanie swego księdza, więc zmuszony byłem sam odprawić modlitwy żałobne. Tak samo było pół roku później, kiedy zmarł stryjek Łukasz. W 1951, przy okazji pogrzebu brata Janka, ksiądz prawosławny odprawił pełną ceremonię pogrzebową nad wszystkimi naszymi mogiłami.

Podczas wakacji, 2 lipca 1951 roku, mój jedenastoletni brat Janek poszedł z innymi kolegami paść bydło nad Odrą. W gorące popołudnie

próbował wykapać się w Odrze. Nieraz już kąpał się w tej rzece i umiał dość dobrze pływać. Tego jednak dnia, przy wielkiej spiekocie, złapał go na głębokiej wodzie skurecz i wciągnął wir. Dzieci, które widziały zdarzenie, powiadomiły naszą rodzinę. Szybko pobiegłem do strażników rzecznych, którzy w Chobieni mieli swój punkt nadzoru wodnego. Pozwolili wziąć łódkę ze sprzętem ratunkowym.

Kiedy dopłynąłem na miejsce, koledzy Janka pokazali mi, gdzie wydarzył się wypadek. Pół godziny szukałem pomiędzy tamami w zanieczyszczonej i głębokiej na trzy metry wodzie. Wreszcie udało się zaczepić bosakiem „coś” pod wodą. Nie dopuściłem, aby wirująca woda przesunęła to na inne miejsce, zaczepiłem mocniej i wyciągnąłem ciało na łódkę. Przewiozłem je na brzeg, gdzie czekali przygnębieni rodzice, milicja, sąsiedzi i dużo innych ludzi.

W cztery lata po wysiedleniu ta tragedia znów zmieniła życie rodziny, była to już trzecia śmierć na obczyźnie. Na pogrzeb poprosiliśmy proboszcza prawosławnego wraz z chórem z Legnicy. Przyszły dzieci i nauczyciele ze szkoły podstawowej oraz wiele ludzi z Chobieni i okolicy.

Po roku zostałem służbowo przeniesiony z pracy w Chobieni do Legnicy, gdzie dostałem dobre, ładne mieszkanie służbowe – niewielką kawalerkę. Miałem teraz swój własny kącik do życia i dobrą pracę biurową. Prawie każdy weekend spędzałem u rodziców pomagając im w robotach polowych. Gorzej było zimą, kiedy spadł śnieg i przyszły mrozy. Nie było jak przejechać przez Odrę, nie było rozwiniętej jak dziś telefonicznej i komunikacji samochodowej.

W 1956 w kraju zmienił się trochę stosunek władz wobec mniejszości narodowych. W Legnicy powstało Ukraińskie Społeczno-Kulturalne Towarzystwo (USKT), które dawało młodzieży możliwość organizowania zespołów pieśni i tańca, oraz zabaw rozrywkowych. Teraz dość często pomagałem organizować łemkowskie zabawy taneczne w Legnicy, na które schodziła się nasza młodzież z miasta i okolicznych wiosek. Nie było pijaństwa, imprezy były zamknięte dla młodzieży, która nie potrafiła zachować się kulturalnie.

Dziesięć lat po wysiedleniu w 1957 roku dostałem w pracy dość długi urlop, który pragnąłem wykorzystać na zwiedzenie rodzinnych stron. Pojechałem pociągiem do Gorlic, a dalej poszedłem piechotą przez wysiedlone i zniszczone wioski. Po 30 kilometrach doszedłem do rodzinnego Czarnego. Stało jeszcze kilka domów i obie cerkwie. W cerkwi prawosławnej PGR z Jasionki składał suche siano. Naszego domu już nie było,

stały tylko domy Przysłupskiego i Podbereźniaka. W sołectwie żyli Piotr Sirak i wdowa po gajowym Kobaku. Sirak opowiadał, jak rozbierano i wywożono domy oraz spichlerze. Na samym końcu wioski stał jeszcze dom Bajsów, w którym żyła rodzina Chwałyka z Nieznajowej.

Przykro było oglądać zniszczoną wieś i rodzinne strony. Nic nie było już takie, jak za dawnych czasów, kiedy wszystkie wioski tętniły życiem, a pola i lasy rozbrzmiewały śpiewem różnych ptaków. To wszystko, co zobaczyłem, jeszcze nie zraziło mnie do myśli o powrocie w tamte strony. Wyjeżdżając, w Gorlicach natknąłem się na ogłoszenie w gazecie o możliwości zatrudnienia na stanowisku księgowego w jednej z firm w mieście. Zaświtała w głowie nadzieja, że mogę znaleźć pracę niedaleko rodzinnej wsi. Znalazłem ową firmę, pani kadrowa kazała złożyć podanie o przyjęcie do pracy i życiorys. W życiorysie musiałem oczywiście podać miejsce urodzenia – nieistniejącą już wieś Czarne w powiecie gorlickim. Po odebraniu ode mnie dokumentów pani kadrowa kazała chwilę zaczekać na odpowiedź. Choć miałem przecucie, że mogą być zastrzeżenia co do mojego wykształcenia, niepełnego jeszcze, to innych problemów raczej się nie spodziewałem.

Tymczasem stało się najgorsze. Pani kadrowa zawołała mnie i poinformowała: „Jest pan Łemkiem, a takiego zatrudnić nam nie wolno”. Gorszego oczekiwać już nie mogłem. Na Zachodzie takich spraw nikt nie brał pod uwagę, liczyła się tylko dobra i uczciwa praca, a nie narodowość. U nas, w Legnicy, na każdym kroku można było słyszeć mowę polską, rosyjską, ukraińską, niemiecką, żydowską, grecką, łemkowską i nikt na to nie zwracał uwagi. Można więc sobie wyobrazić, jak oburzony i rozżalony wracałem do Legnicy. Zaraz po powrocie na Zachód wspólnie z rodzicami i innymi jedenastoma wysiedleńcami z Czarnego w lipcu 1957 roku napisaliśmy pismo do Powiatowej Rady Narodowej w Gorlicach o pozwolenie na powrót do rodzinnej wioski. Po dwóch miesiącach otrzymaliśmy pierwszą odpowiedź, w której napisano:

„Prezydium Powiatowej Rady Narodowej – Powiatowy Zarząd Rolnictwa w Gorlicach informuje Obywateli, że pozostawione przez Was gospodarstwa (tu wymieniono wszystkie nazwiska) zostały zadysponowane na rzecz osadników. W tych warunkach zwrot gospodarstw w tu-tejszym powiecie nie może nastąpić. Kierownik Powiatowego Zarządu Rolnictwa mgr Gurgul – Gorlice, dnia 22 IX 1957 r.”

Po następnych pięciu miesiącach otrzymaliśmy drugą odpowiedź, jak wyżej z dodatkowym wyjaśnieniem, że: „pozostawione przez Was

gospodarstwa (bez nazwisk) zostały zadysponowane na rzecz Hodowli Zarodowej – Zespół Siary – (zakończenie jak wyżej – druk jednolity) podpis nieczytelny – bez pieczęci – Gorlice, dnia 14 II 1958 r.”

Obie odpowiedzi były nieprawdziwe, bo ani słowo „pozostawione” gospodarstwa, ani stwierdzenie, że „gospodarstwa zadysponowane zostały na rzecz osadników”, nie były zgodne z prawdą. My niczego nie zostawialiśmy dobrowolnie, zatem gospodarstwa nie były „pozostawione”. Do teraz też, to jest do roku 2003, choć są tam jeszcze dwa puste i zniszczone domy, żadnego osadnika, któremu owe gospodarstwa można by „zadysponować”, po prostu nie ma. I to nie tylko w Czarnem, ale i w okolicznych wioskach

W 1958 roku ożeniłem się z Anną Stach, wygnanką ze wsi Florynka koło Grybowa, która po ukończeniu technikum spożywczego, podjęła pracę w legnickiej gastronomii. Mieliśmy troje dzieci – Marię, Dorotę i Jarosława. Wszystkie przeszły pełną edukację od przedszkola, przez szkoły podstawowe, średnie, kończąc na wyższych uczelniach, wszędzie z dobrymi wynikami w nauce.

Od 1963 roku miałem okazję częściej wyjeżdżać w góry na różne imprezy i uroczystości. W lipcu 1963 roku pojechaliśmy dwoma samochodami z ojcem, żoną, bratem i innymi znajomymi na festiwal pieśni karpackiej do Uścia Gorlickiego (Ruskiego). Z Gorlic jechaliśmy najpierw do rodzinnej wioski – przez Pętne, Krzywą i Jasionkę do Czarnego. Po zwiedzeniu w rodzinnej wsi tego, co tam jeszcze zostało, i odwiedzeniu dawnego sąsiada Siraka, pojechaliśmy przez Radocynę i dalej granicą państwową – Konieczna, Żdynia, Gładyszów aż do Uścia. Mieliśmy szczęście, że nie zauważyła nas straż graniczna, która mogła ukarać, a nawet uwięzić za nielegalne, bez zezwolenia i przepustek, poruszanie się w strefie przygranicznej na odcinku 7 km, w dodatku z aparatami fotograficznymi.

Następnego dnia, 22 lipca 1963 roku, do Uścia zjechało się dużo zespołów artystycznych i ludności z całego kraju. Wtedy na rynku uściańskim odsłonięty został pomnik ku czci bohaterów walk o wyzwolenie Polski i Łemkowszczyzny.

W podróży tej miałem okazję obejrzeć i sfotografować po 16 latach domy i cerkwie, które jeszcze stały we wsi. Nad Czarnem stoi jeszcze kamienny pomnik pamięci ofiar Talerhofu i męczennika Maksyma Sandowicza postawiony i poświęcony 8 września 1934 roku.

W latach osiemdziesiątych, a może i wcześniej, władze województwa nowosądeckiego postanowiły przekazać cerkiew grekokatolicką

w Czarnem Okręgowemu Muzeum w Nowym Sączu. Od 1993 roku rozpoczęto rozbiieranie i przewożenie jej do skansenu w Nowym Sączu na ul. Długoszowskiego 83. Osiem lat trwała rekonstrukcja i w czerwcu 2001 roku Okręgowe Muzeum w Nowym Sączu oficjalnie otworzyło cerkiew dla turystów. Stoi teraz na polanie wśród drzew i wśród innych budowli z Łemkowszczyzny.

Co się działo w naszej wsi po wysiedleniu? Ówczesne władze terenowe nie tylko wywoziły i niszczyły wszystko, co zostało po ludności lemkońskiej, ale na swoje potrzeby budowały nowe budynki. Już następnego roku po wysiedleniu ludności na szczycie od strony Lipna, w samym środku naszej wioski, na wprost obu cerkwi w odległości około 400 metrów, zbudowano piękny drewniany domek – leśniczówkę lub strażnicę graniczną (5 km od granicy). Było to najlepsze miejsce obserwacyjne we wsi, skąd widać było całą wieś od sołtystwa w dolnym końcu, aż po pomnik ofiar Talerhofu nad wsią. Z leśniczówki widać było jak na dłoni każdego, kto przechodził przez wieś w jedną lub drugą stronę. Wiem o tym dobrze, bo za młodych lat w tym właśnie miejscu, gdzie stał teraz ten domek, pasąłem bydło i owce, gdyż tamtędy ciągnęła się nasza rola zwana Wany. Wiem także, że najlepiej można było dostać się tu pieszo. Bardzo trudno było wjechać na górę furmanką, najwyżej w pogodny i suchy czas, a zimą – tylko na nartach lub saniach.

Drugą budowlą było zlokalizowane między dawnymi wioskami – Czarnem, Długim i Radocyną – tak zwane schronisko. Na początku było to schronisko dla robotników leśnych – karnej grupy więźniów – którzy w pierwszych latach po wysiedleniu ludności wycinali najpiękniejsze lasy chłopskie, gromadzkie, żydowskie i państwowe. A było ich w promieniu 10 kilometrów bardzo dużo. W tym schronisku robotnicy przebywali dopóty, dopóki całkowicie nie wyrabali dorodnych jodeł, buków i świerków. W latach 1947-1960 w lasach tamtych wycięto miliony metrów sześciennych drewna na potrzeby krajowego przemysłu drzewnego i na eksport. Sosen nie wycinano, bo w górach rosną bardzo sękaty i karłowate.

Po 40 latach schronisko – zmodernizowane i przebudowane – przeznaczono na schronisko dla turystów. Nie ma natomiast na górze owej leśniczówki-strażnicy.

Trochę niżej, 200 metrów za cerkwiami, stał jeszcze dom Józefa i Mikołaja Przysługskich. Jego część mieszkalna pokryta była blachą, a gospodarza gontami. Dom ten utrzymał się dlatego, że władze gminne w Sekowej i powiatowe w Gorlicach zabezpieczyły go i przekazały pierwszym osad-

nikom, góralom. W części mieszkalnej zamieszkiwał bacia i jego juhasi, zaś w części gospodarczej, po przystosowaniu do potrzeb przetwórstwa owczego mleka, wytwarzano sery. Górale przyganiaли swoje owce do wioski wiosną i paśli je do późnej jesieni. Koło domu stała studnia z dobrą i czystą wodą przydatną do wytwarzania serów. Sery te musiały leżakować w odpowiednich pomieszczeniach i dopiero potem były sprzedawane. Kiedyś z turystami kupiliśmy w tym domu trochę takiego sera, tak z ciekawości, dla poznania smaku sera góralskiego wytworzonego w rodzinnej wiosce. Był smaczny, chyba dlatego, że wyprodukowany w sposób podobny, jak wytwarzali sery nasi przodkowie – bez maszyn i elektryczności.

W 1992 roku Zjednoczenie Łemków w Gorlicach, chcąc ratować zabytki lemkońskiej kultury, wystąpiło z wnioskiem do władz powiatowych o przekazanie domu w Czarnem. Część mieszkalna tego domu stoi teraz na polu wiatrowym w Żdyni.

Poniżej stał jeszcze dom Podbereźniaków, którzy w 1945 roku wyjechali na Ukrainę. Później nikt w nim nie mieszkał i do czasu wysiedlenia nie został zniszczony, bo stał na suchym gruncie otoczony drzewami. Dopiero po dziesięciu latach od wysiedlenia w domu tym zamieszkał osadnik nieznanego pochodzenia, który prowadził życie pustelnicze i utrzymywał egzotyczne zwierzęta – lamy, kozy azjatyckie i jakieś ptactwo. W ciężkich warunkach górskich, bez energii elektrycznej nie wytrzymał długo, choć państwo udzielało mu sporej pomocy. Słomiane pokrycie dachu tego domu zamieniono na pokrycie eternitowe, które utrzymało się do 2003 roku.

W pierwszych latach po wysiedleniu w górach nie grasowały watahy wilków i nie było potrzeby budowania dla owiec schronisk lub stajenek. Bacowie i juhasi zaganiaли kierdel na odpoczynek i dojenie za ogrodzenie zrobione z żerdzi. W końcu lat dziewięćdziesiątych i na początku nowego tysiąclecia górale nadal przyganiają owce do naszej wioski, ale teraz muszą budować bacówki i tymczasowe ogrodzenia z juhasówkami z trzech stron, aby było łatwiej pilnować w nocy owce przed wilkami.

W sołtystwie w latach siedemdziesiątych stały jeszcze dwa domy, Piotra Siraka i Michała Kytczaka. Gospodarz Piotr w czasie pierwszej wojny światowej służył w wojsku austriackim, później przebywał w Ameryce, gdzie otrzymał tamtejsze obywatelstwo. Po powrocie do kraju został dróżnikiem na drodze powiatowej od Radocyny do Krzywej. Górską drogą przeplatana rzeczka i potokami z mostami oraz przepustami musiała być stale doglądana, remontowana, szczególnie po ule-

wach i zimowych roztopach. Dróżnik organizował tak zwane szarwarki, to jest obowiązkowe naprawy dróg, a także odpłatne wożenie kamieniami i żwiru rzeczno z tłuczniem oraz stałą naprawę pewnych odcinków drogi.

Piotr żył w wiosce z rodziną – żoną i synem Michałem. Michała zabrali na krótko do wojska radzieckiego, a kiedy wrócił w domu, nie zastał już matki, która zdecydowała się wyjechać z innymi na Ukrainę. Jak widać, bardziej zaufała radzieckiej propagandzie niż swojemu mężowi i synowi. Piotr Sirak został we wsi razem z synem i 13 innymi gospodarzami, aż do wysiedlenia w 1947 roku. W czasie wysiedlania ludności we wsi zostawili dwie rodziny polskie. Piotra i Michała zostawili natomiast dlatego, że Piotr miał obywatelstwo amerykańskie. Nie na długo zostawili, bo w pół roku po zakończeniu akcji „Wisła” wyszukali w dokumentach, albo ktoś doniósł, że Michał nie ma obcego obywatelstwa i wysiedlili go w okolice Pizsa na ziemię mazurskie.

Kiedy zabrakło we wsi mieszkańców, dróżnik Piotr próbował opiekować się obiektami sakralnymi, bo do innych nie miał żadnego prawa. Samotny człowiek żyjący na tej zielonej pustyni między strażą graniczną, partyzantami i szabrownikami nie mógł spać spokojnie. Dobrze, że w sąsiedztwie, w domu Kytczaka, żyła rodzina leśniczego Kobaka, który pewnego dnia w 1946 roku nie wrócił z lasu do domu. Wspólnymi siłami radziły sobie te dwie starsze rodziny jeszcze kilkanaście lat bez żadnej perspektywy na lepsze.

Kiedy w 1957 roku po dziesięciu latach odwiedziłem Siraka, miał sporo do opowiadania. Relacjonował, co działo się we wsi po naszym wysiedleniu. Nas wysiedlano, a gospodarze z polskich wsi bocznymi drogami przyjeżdżali na rabunek pozostawionego mienia. Na początku wywozili sprzęt ruchomy i maszyny, a później rozbierali spichlerze i budynki, na końcu obiekty sakralne. Władze państwowe w tym czasie przystąpiły do wycinania i wywożenia drzewa z lasów.

Piotr Sirak zmarł w latach siedemdziesiątych, a jego sąsiadki wyjechały gdzieś do rodziny w okolice Gorlic. Zmarłemu zawdzięcza się długą opiekę nad obiektami sakralnymi. Cerkiew prawosławna, choć w ruinie, doczekała 1966 roku, prawie 20 lat po wysiedleniu, zaś cerkiew grekokatolicką w latach 1992-2002 przeniesiono do skansenu w Nowym Sączu. Domy po Siraku i rodzinie Kobaków wkrótce rozebrano i wywieziono.

Dalej w dolinie, kilometr w kierunku Nieznajowej, żyła od dawna nad Wisłoką druga rodzina polska – Juliana Dobrzańskiego. Po pierwszej woj-

nie światowej był on naczelnikiem poczty w Czarnem. Kiedy w styczniu 1945 Niemcy opuszczali Karpaty, podminowali i wysadzili w powietrze tartak, młyn i generator energii elektrycznej – wszystkie napędzane siłą wody Wisłoki. W okolicy tylko u Dobrzańskich była energia elektryczna. Dopóki żyli starsi członkowie rodziny, ich życie zmiennie, jak to w górach, ale jakoś się toczyło. Po naszym wysiedleniu jednej feralnej wiosny utonęło kilkoro członków rodziny, a woda zniszczyła część zabudowań i majątku. Reszta Dobrzańskich przeniosła się w swoje dawne rodzinne strony. Z tego wynika też, że gorzko oplakana i wymodlona ziemia w tych prawosławnych wioskach nie służy nikomu, aż po dzień dzisiejszy.

Na krzyżówce dróg pod Czarnem (w trzech kierunkach: Radocyny, Nieznajowej i Gorlic) stały, i stoją nadal, kapliczka oraz dom Wasyla Bajsa. Bajsa w 1945 wyjechał na Ukrainę, ale po kilku miesiącach z Niemiec wrócił jego młodszy brat Andrzej i osiadł w tym domu. Andrzeja Bajse, który ożenił się w 1946 z Ewą Moroch z Wirchni, w 1947 wysiedlili razem z nami na Zachód. Potem dom zajęli Chwałykowie z Nieznajowej, którzy w 1945 wyjechali na Ukrainę, ale po kilku latach, w 1948 wrócili w Karpaty jako repatrianci. Osiedlili się w Czarnem, bo w Nieznajowej już nie było ani jednego domu. Żyli w Czarnem do lat siedemdziesiątych, a po śmierci głowy rodziny, rozeszli się po świecie.

Po czterech latach życia z rodziną w Chobieni i utracie tam trzech bliskich członków rodziny – babci, stryjka i brata – w 1952 w wyniku służbowego przeniesienia do pracy, znalazłem się w Legnicy.

Pierwsze dwa lata mieszkałem razem z przyjacielem, Piotrem Hajtką z Jasionki. Później dostałem z zakładu pracy mieszkanie służbowe – kawalerkę ze wszystkimi wygodami. Po weselu w 1958 mieszkaliśmy z żoną w tym mieszkaniu do urodzenia się pierwszego dziecka. Wnet udało się zamienić mieszkanie na większe i to w tym samym bloku. Kiedy urodziło się drugie dziecko, trzeba było dokonać następnej zamiany mieszkania. I tym razem wyszło to pomyślnie prawie pod każdym względem – blisko było do pracy, szkoły i cerkwi.

W tym czasie organizowały się spółdzielnie mieszkaniowe, które zapewniały budowę bloków dla młodych rodzin. Mój zakład pracy obiecał pomoc finansową, dzięki czemu wpłaciliśmy część wkładu i za pięć lat dostaliśmy nowe, większe mieszkanie, bo urodził się nam jeszcze syn Jarosław. Po dwudziestu latach wykupiliśmy to mieszkanie na własność.

W listopadzie 1971 roku w lesie koło Bajkowa, gdzie mieszkali rodzice mojej żony, zdarzył się śmiertelny wypadek. Drzewo zabiło ojca żony,

Stefana Stacha. Umówił się on z leśniczym na kupno drewna opałowego na zimę. Robotnicy pod nadzorem leśniczego wycinali zbędne sosny. W pewnej chwili zerwał się silny listopadowy wiatr i skierował spadające drzewo w całkiem innym kierunku niż zamierzali drwale, akurat tam, gdzie stał ojciec. Zdrowy, 69-letni człowiek stracił życie zahaczony dużym konarem. Sprawa znalazła się w sądzie, ale życia ojcu to nie wróciło, przysądzono tylko rodzinie jakieś nędzne odszkodowanie. Teść przeżył niejedno. Jako 13-letni chłopiec w 1915 roku z wojskami carskimi po bitwie pod Gorlicami poszedł ze wsi Długie daleko na Ukrainę. Poszedł z nadzieją, że zarobi jakiś grosz, kupi zboże i przywiezie je rodzinie. Zarobił na kilkadziesiąt kilogramów ziarna.

Najtrudniej było dowieźć je do domu, pokonać ponad dwa tysiące kilometrów i to w czasach wojennych. Przygotował sobie dwa mocne worki, nappełnił zbożem, związał razem i przewiesił przez ramię. Z trudem doniósł je do najbliższej stacji kolejowej. Wiózł te worki nocami między wagonami towarowymi, bo do pociągu osobowego nie mógł się dostać, a w dodatku grosz, jaki mu pozostał, trzeba było zostawić na jedzenie. Po roku wrócił do wioski, szczęśliwie dowożąc owe dwa worki zboża. Później, parę lat po wojnie, znalazł żonę we Florynce, z którą wspólnie wychowali czworo dzieci. Przed drugą wojną światową pobudowali nowy dom, stajnię i stodołę, ale w 1947 roku – jak inni – musieli to zostawić. Poznawszy wcześniej świat na Wschodzie, nie zdecydował się na wyjazd w 1945 na daleką Ukrainę.

Po dwóch latach 26 czerwca 1947 roku rozpoczęto wysiedlanie sąsiedniej wsi Brunary, należącej do powiatu gorlickiego. W tej wsi jednej rodzinie zabrakło transportu do przewozu sprzętów domowych. Wtedy żołnierze w pośpiechu przyszli do domu Stefana (Florynka) z rozkazem udzielenia pomocy transportowej. Stefan jakkolwiek nigdy nie odmawiał wykonania czynności, tym razem zbuntował się przed zaprzęgnięciem krowy do wozu którym miał zawieźć wysiedleńcom sprzęt na stację w Gorlicach (35 kilometrów w jedną stronę) w czasie kiedy i jego rodzinie groziło wysiedlenie. Nie było żadnego usprawiedliwienia, lecz rozkaz z użyciem nahajki. Po kilku razach rad nie rad musiał zaprzęgać krowy i jechać do owej rodziny w Brunarach. Rodzina tamta, widząc zaprzęg bydłocy gotowy do dalekiego transportu zrezygnowała z zabierania części sprzętu domowego, aby w ten sposób uwolnić teścia od tej dalekiej i ciężkiej drogi. Już po trzech dniach trzeba było ładować swój majątek i wyjeżdżać w nieznaną.

Ogrodnictwo

W 1973 r. brat żony kupił okazyjnie dość sporą, bo prawie półhektarową działkę rolniczą koło legnickiego lotniska. Miało to być dobre źródło dochodów, a okazało się tylko dobrym miejscem rekreacyjnym – do czasu. Choć do kompletu pobudowaliśmy jeszcze małą szklarnię i kotłownię dla przygotowywania wczesnych sadzonek warzyw: kapusty, ogórków, pomidorów i kalafiorów oraz własną studnię z bojlerem do zraszania całej działki, to jednak z ogrodnictwa tego nie było planowanych dochodów. Nie sprzyjała nam w tych latach pogoda. O tym, jak może być kapryśna, dowiadywaliśmy się każdego roku, zwłaszcza wtedy, kiedy w środku wiosny – 9 maja w nocy śnieg i mróz zwarzyły kapustę w kilkunastu tunelach foliowych.

Z czasem w ogrodnictwie, jak i wszędzie, zaczęło się psuć. Usługi, nasiona i nawozy drożały, a warzywa taniały. W dodatku, jakby na zakończenie działalności ogrodniczej, doświadczyliśmy w 1977 r. wielkiej powodzi, która nawiedziła Legnicę i jej okolice. Zalało nie tylko działkę, ale także garaże w śródmieściu na placu Słowiańskim, a w nich nasz samochód – syrenkę bosto. Wielka woda nie ominęła naszej cerkwi przy ulicy Zofii Kossak, gdzie woda sięgała metra i podmyła całą podłogę. Przy ratowaniu sprzętu cerkiewnego pomagała straż pożarna poruszająca się wewnątrz obiektu na pontonie.

Watry

Najpierw były to spotkania młodzieżowe przy ognisku, stąd pierwotna nazwa „Ognisko”, którą w roku 1983 zmieniono na „Watę”. W tym samym roku i w następnym działacze oraz Zespół Pieśni i Tańca „Lemkowna” z Bielanki koło Gorlic zorganizowali pierwszą i drugą imprezę nazwaną „Watą Lemkowską” w Czarnej koło Uścia Gorlickiego (Ruskiego).

Nasza rodzina na watę w górach zaczęła jeździć od 1985 roku najpierw do Hańczowej, później do Bartnego i w końcu do Żdźni. Wata w Hańczowej była bardzo mokra, ale za to ciepła i wesola. Moim zdaniem najlepsze watry w górach odbywały się w Bartnem. Były – tak pod względem organizacyjnym, jak i programowym – prawdziwie lemkowski. Zarówno moi znajomi, jak i ja sam uważamy, że w Bartnem zakończyły się prawdziwe Lemkowskie Watry w Karpatach.

W 1989 roku ósmą watę przeniesiono na wykupione pole watrowe w Żdźni, od tej pory organizację imprezy przejęło podstępnie Zjedno-

czenie Łemków w Gorlicach. Pojechaliśmy z rodziną na tę watrę, srogo się jednak zawiedliśmy z powodu wielkich zmian na gorsze w zakresie organizacyjnym i programowym. Przyjechało wtedy z Ukrainy prawie 20 autobusów ze swoimi emblematami, a do tego – jak na jarmark – nawieźli ze sobą do sprzedaży różnego towaru, najczęściej wódki. Zamiast pielęgnowania i szerzenia swojej kultury, nastawiono się na demoralizację naszej młodzieży. Scenę zamieniono na miejsce propagandy i reklamy politycznej, co jak sądzę ja i wielu moich znajomych nie pozostaje bez wpływu na naszą młodzież i tak mocno zdezorientowaną i niebezpiecznie rozbitym na kilka obozów.

Później byłem dwa razy na święcie kultury łemkowskiej „Od Rusal do Jana” w Zyndranowej. Uważam, że to naprawdę dobre miejsce na organizowanie takich imprez, szczególnie z uwagi na sąsiedztwo skansenu i muzeum bogatej kultury łemkowskiej. Wielka chwała należy się właścicielowi owego Muzeum łemkowskiej Kultury, panu Teodorowi Goczowi, oraz jego rodzinie.

Następnie swoje zainteresowanie wotrami skierowałem na niedaleki Michałów, gdzie od samego początku, to jest od 1979 roku, aż do dziś kultywowana jest prawdziwa tradycja łemkowska. Na początku, do 1983 roku było to „Ognisko”, a później „Watra na obczyźnie”. Wielkie pole wotrowe w Michałowie przestaje już wystarczać na pomieszczenie amfiteatru, pola namiotowego, parkingu oraz części handlowo-usługowej. Na leśnej polanie w Michałowie już dwadzieścia trzy watry odbyły się przy sprzyjającej pogodzie, bez większego deszczu, który przeszkodziłby wotrowiczom w spokojnym wypoczynku. I choć watry te nie odbywają się w górach, w rodzinnych stronach, lecz w zachodnich lasach, na śląskich piaskach, to cieszą serca i dusze starszych wygnańców z rodzinnych gór. Cieszą nas, a nowe pokolenia uczą dawnych obyczajów i kultury.

Jednym zagrożeniem jest to, że „Watry”, tak w górach jak i w Michałowie, zamieniają się w festiwale międzynarodowe, tracąc urok dawnej swojskiej imprezy.

Religijne rocznice

W całym swoim życiu starałem się być w niedziele i święta na nabożeństwach w cerkwi i udawało mi się to zawsze, poza pewnymi wyjątkami na froncie i gdy nas wysiedlano (dążyłem jednak do nadrobienia tych nieobecności). Później najlepszymi okazjami były dość częste uroczystości parafialne na Zachodzie, a od 1956 roku ponownie w Karpatach. Uroczystości parafialne odbywały się z różnych okazji – otwierania nowych parafii, wizyt biskupów i poświęcenia obiektów sakralnych nowych lub remontowanych, jubileuszy w niektórych parafiach.

Pamiętne były otwarcia nowych parafii na Zachodzie w: Zimnej Wodzie – 1947 r., Stodołowicach – 1947 r., Michałowie 1947 r., Lubinie 1949 r., Rudnej – 1953 r., Głogowie – 1982 r.

Inne uroczystości parafialne z uczestnictwem biskupów to: Wrocław – 1955, 1963, 1983, 1996 i 1997 r., Małczyce – 1955 i 1983 r., Stodołowice – 1958 i 1985 r., Zimna Woda, Lubin, Michałów, Rudna, Legnica w święta parafialne.

Poświęcenia nowych lub odremontowanych cerkwi: Roździele – 1986 r., Michałów – 1989 r., Góra Jawor – 1991 r., Gorlice – 1991 i 1994 r., Gorzów – 1995 r., Krynica – 1996 r.

Kanonizacja o. Maksyma

W przeddzień uroczystości kanonizacyjnych 5 IX 1994 roku na grobie o. Maksyma w rodzinnej wsi Żdynia odprawiono nabożeństwo żałobne z udziałem JE Arcybiskupa Adama, duchowieństwa i wielkiej grupy wiernych. Tego samego dnia po południu w Gorlicach pod ścianą dawnego więzienia, pod którą 6 IX 1914 roku rozstrzelany został przez austriaków ks. Maksym, odprawione zostało nabożeństwo żałobne z udziałem duchowieństwa i dużej grupy wiernych. Po nabożeństwie z miejsca kaźni o. Maksyma do nowo zbudowanej cerkwi pod wezwaniem Świętej Trójcy (w odległości około 2 kilometrów) przeszła w milczeniu ulicami Gorlic procesja kilku tysięcy wiernych. W cerkwi odsłonięto tablicę pamięci męczęńskiej śmierci ks. Maksyma Sandowicza.

6 września 1994 roku w Gorlicach w 80. rocznicę męczeńskiej śmierci księdza Maksyma Sandowicza odbyła się kanonizacja pierwszego męczennika społeczności łemkowskiej. Wszelchmogący Bóg wysłuchał szczyrych i gorących modlitw biskupów, duchowieństwa i wielkiej rzeszy wiernych narodu łemkowskiego w latach 1914–1938–1994. Choć później po drugiej wojnie światowej nastąpiły bardzo ciężkie i straszne czasy, przesiedlenia na wschód w 1945 i przymusowe wysiedlenie na zachód w 1947, to w 80. rocznicę męczeńskiej śmierci księdza Maksyma spełniły się prośby i błagania tysięcy wiernych prawosławia na Łemkowszczyźnie i nie tylko o jego wyniesienie. Tego dnia do Gorlic zjechało mnóstwo wiernych, a w cerkwi świętą liturgię kanonizacyjną celebrował Jego Eminencją Wielce Błogosławiony Metropolita Bazyli z Soborem Biskupów i duchowieństwem.

Martyrologia Świętego Maksyma (6 IX 1994 r.)

Sp. Maksym urodził się 31 I 1886 roku we wsi Żdynia w powiecie gorlickim. Szkołę podstawową ukończył w rodzinnej wsi, średnią w Gorlicach, gimnazjum zaś w Jaśle i Nowym Sączu. Był uczniem cichym, pilnym i wzorowym. Za swoje przekonania rusofilskie był prześladowany, co zakłóciło jego ciągłość nauki. Gimnazjum skończył w 1904 roku. Zaraz po wakacjach wyjechał do Poczajewa, gdzie wstąpił do prawosławnego klasztoru.

Ówczesny biskup wołyński Antoni zabrał Maksyma do klasztoru w Żytomierzu, gdzie z wyróżnieniem skończył seminarium duchowne w 1911 roku. W tym roku ożenił się z Pelagią Hryhoryk, a następnie biskup Antoni wyświęcił o. Maksyma na diakona i na księdza. Po wyświęceniu, ojciec Maksym wrócił do swoich wiernych na Łemkowszczyźnie pełnić obowiązki duszpasterskie. Tu powstawał już wtedy ruch powracania na wiarę przodków – na prawosławie. Pierwsze nieformalnie powróciły wioski Grab, Wyszowatka, Długie. Ówczesne władze austriackie nie pozwalały rozwijać się ruchowi prawosławnemu, szczególnie w Galicji i na Łemkowszczyźnie.

Ojciec Maksym objął parafię w Grabiu i pełnił obowiązki duszpasterskie również w Wyszowatce i Długiem. Ponieważ powroty na prawosławie były niedozwolone, nowe parafie nie były nigdzie rejestrowane. Na proboszczów samozwańczych parafii nakładano wysokie kary pieniężne i aresztu. Karali i aresztowali również aktywnych parafian. W cerkwiach grekokatolickich (bo tylko takie istniały) nie pozwalano odpra-

wiać nabożeństw i dlatego wierni musieli gromadzić się w domach prywatnych. W styczniu 1912 roku przed świętami Bożego Narodzenia donos unickiego księdza spowodował, że w Grabiu zamknięto cerkiew. Ks. Maksym odprawiał nabożeństwa w prywatnym domu i za to, zaraz po świętach, został aresztowany na kilka tygodni. Podczas jego pobytu w więzieniu, wierni byli prześladowani. Nawróconym na prawosławie wioskom zakazano wszelkich kontaktów z innymi wioskami i zaskarżono do sądu w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów Jaśle. W czasie zamieci śnieżnych i srogich mrozów na rozprawy jeździli wszyscy, nie wyłączając karmiących matek i ich dzieci, by odpowiadać za to, że stali w cerkwi z zapalonymi świecami. Żeby zapłacić wysokie kary, które zasądzone, ludzie zmuszeni byli sprzedawać odzież, kozuchy, lub ostatnią krowę.

Przed Wielkanocą zwolniono ks. Maksyma, ale tylko po to, aby go za kilka tygodni znów aresztować. Kiedy władze austriackie przekonały się, że żadne represje nie są skuteczne, w 1912 roku rozpoczęły aresztowania tych, którzy przewodniczyli ruchowi. Ojciec Maksyma aresztowali kiedy wracał w Wielkim Tygodniu ze spowiedzi u biskupa. Jego i innych aktywistów osadzono w oddzielnych celach w więzieniu we Lwowie. Jeden ze studentów, bliski przyjaciel o. Maksyma, W. Koldra, po pół roku został zwolniony za kaucją 10 tysięcy koron. Ojciec Maksym i inni przesiedzieli w więzieniu dwa lata i trzy miesiące. W śledztwie i na procesach o. Maksym twardo przeciwstawiał się zarzutom o zdradę i szpiegowstwo na rzecz Rosji. Wobec braku dowodów winy, sąd uniewinnił wszystkich i zwolnił z więzienia, ale w niedługim czasie znów niektórych aresztowano.

6 VI 1914 roku o. Maksym wrócił do rodziców, żony i syna w Żdyni. Kiedy tylko w lipcu 1914 roku wybuchła pierwsza wojna światowa, wzmożyły się represje, terror i aresztowania. Już 4 sierpnia 1914 roku ponownie aresztowano księdza Maksyma wraz z ojcem i uwięziono ich w Gorlicach. Po tygodniu aresztowano najpierw brata, a potem żonę Pelagię, którą czasowo zatrzymano u wójta w Rzepienniku koło Biecha, by po dziewięciu dniach przenieść do więzienia w Gorlicach. O. Maksym odsiedział w gorlickim więzieniu bez przesłuchania i śledztwa cały miesiąc do 6 września 1914 roku. Tego dnia o godzinie piątej rano dozorca więzienny kazał o. Maksymowi przygotować się do wyjazdu, zaś żonie i ojcu wyjść na więzienny spacer. O godzinie szóstej dozorca wrócił i kazał wyjść o. Maksymowi bez rzeczy osobistych. Na więziennym

placu zebrali się już: rotmistrz Ditrich z Linzu, sędzia Kalczyński, czterech żandarmów i dwóch żołnierzy. Według opowiadania więźnia sąsiedniej celi, A. Telecha, o. Maksymowi związali ręce do tyłu, a oczy zasłonili chusteczką.

Dwaj żołnierze, trzymając go pod pachy, wyprowadzili o. Maksyma na plac więzienny i postawili pod ścianą. Naprzeciw, w odległości 4 m, stało dwóch żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału. Po bokach placu zebrała się grupa widzów. Ojciec Maksym wiedział już, że będzie rostrzelany – wyprostował się i powiedział: „Boże pobłogosław”. Rotmistrz Ditrich i komendant warty wydali komendę. W pierś o. Maksyma padły dwa strzały. Książd nie upadł, lecz oparł się o ścianę i osłabionym głosem wypowiedział jeszcze słowa: „Niech żyje ruski naród i święte prawosławie”. Wtedy podszedł do niego komendant warty, wyjął rewolwer i strzelił w głowę. Ciało wynieśli żołnierze. W sądzie była już przygotowana zwyczajna trumna z desek. Na ścianie budynku zostały dwa krwawe ślady od wystrzałów karabinowych.

Z relacji innego świadka, K. Wańki, który był wśród widzów na placu więziennym, znamy inną, ale podobną wersję: „Przyjechałem do Gorlic, aby w sądzie oddać pieniądze dla mojego aresztowanego ojca. W niedzielę 6 września o godzinie siódmej rano, rzuciło mi się w oczy niezwykle poruszenie na ulicach miasta. Koło sądu i wokół sąsiedniego więzienia zebrał się tłum ludzi, który jakby na coś wyczekiwał. Oprócz mężczyzn były tam kobiety i młodzież, wszyscy w wielkim napięciu. Podśledzałem rozmowę i z wielkim zdziwieniem i strachem dowiedziałem się, że zaraz będą rozstrzeliwać „moskiewskiego popa ze Żdini”. Z bólem serca postanowiłem pozostać na miejscu, aby być świadkiem męczeńskiej śmierci o. Maksyma. Przed budynkiem sądu stała grupa więziennych wartowników i żandarmów.

Po chwili nerwowego wyczekiwania z więzienia wyprowadzono o. Maksyma. Szedł On z godnością na męczeńską śmierć. Odziany był w kapłańską sutannę, z piersi zdjęto Mu krzyż. Postawili Go pod ścianą sądu, a powiatowy naczelnik więzienia odczytał wyrok, z którego zapamiętałem tylko jedno, że wyrok śmierci nie wynika z orzeczenia sądowego, tylko z nakazu władz wojskowych. Po przeczytaniu wyroku jeden z żandarmów podszedł do oskarżonego, aby związać mu ręce, ale o. Maksym poprosił o zaniechanie tego. Wtedy żandarm zasłonił oczy skazanego, a na piersiach kredą zrobił biały znak. W odległości kilku metrów od o. Maksyma stał żandarm – tyrolski strzelec. Na komendę raz, dwa, trzy – padł

strzał. O. Maksym zachnął się i zbierając ostatnie siły, słabym głosem rzekł: »Niech żyje ruski naród i święte prawosławie«. Głowa spadła na pierś, całe ciało powoli przechyliło się na ścianę upadając na ziemię. W więzieniu dał się słyszeć straszny kobiecey płacz. To żona Pelagia, widząc przez okno więzienia śmierć męża, z głośnym płaczem upadła nieprzytomna. Było słychać jeszcze czyjeś szlochanie.

Wszyscy zwrócili uwagę na roztętego, siwego starca w innym więziennym zakratowanym oknie. To był ojciec rozstrzelanego, Tymoteusz Sandowicz, znajdujący się też w więzieniu, był świadkiem męczeńskiej śmierci swego syna. Zebrani strażnicy, żandarmi i niektórzy widzowie podszedli do zastrzelonego o. Maksyma. Mnie nie starczyło sił i odwagi, żeby podejść i popatrzeć. Pragnąłem tylko szybko uciec od tej strasznej sceny. W tej chwili słychać było odgłos nowego strzału. To żandarm jeszcze raz z rewolweru wystrzelił w głowę leżącego na ziemi o. Maksyma. Po rozstrzelaniu o. Maksyma dowiedziałem się od strażnika, że wyrok śmierci wydany był bez orzeczenia sądowego. O godz. 11 w nocy z 5 na 6 września nadszedł z Krakowskiej Wojskowej Komendy rozkaz na rozstrzelanie, który odczytano przed wyrokiem.

O. Maksym prosił o zezwolenie na napisanie listu do żony, która znajdowała się w tym samym więzieniu, w sąsiedniej celi. Pozwolili, ale kiedy poprosił, o osobiste pożegnanie się z żoną i ojcem – odmówili”. W latach 1986-1991 w Gorlicach wybudowano cerkiew, pomnik męczeńskiej śmierci o. Maksyma Sandowicza. Zaś w latach 1992-1995 dom parafialny, w którym później otwarto Muzeum Diecezjalne, a wewnątrz cerkwi wymalowano obrazami świętych. Teraz cerkiew w Gorlicach jest najpiękniejszym prawosławnym obiektem sakralnym na Łemkowszczyźnie. Dzięki inicjatywie, pomocy i błogosłowieństwu Jego Ekscelencji Arcybiskupa Adama powstał w tym miejscu promieniujący ośrodek prawosławia.

Od czasu jego kanonizacji nie tylko raz w roku czci się pamięć świętego Maksyma, ale codziennie we wszystkich cerkwiach metropolii i nie tylko wspomniane jest jego święte imię.

W latach kończących wiek dwudziesty i później odbywały się uroczystości dotyczące 50. rocznicy akcji „Wisła”, wysiedlenia ludności ukraińskiej i łemkowskiej w 1947 roku. Uczestniczyłem w takich uroczystościach we Wrocławiu – 1996 r., Michałowie – 1997 r., Zimnej Wodzie – 1997 r., Legnicy – 1998 r., Przemkowie – 1999 r., Małczycach – 2000 r., Lubinie – 2000 r. i Studzionkach w 2001 r.

Życie z Sowietami

Moje doświadczenia z Sowietami ciągnęły się od 1945 aż po 1992 rok. Już w Rabce, w 1945 roku, i na froncie w Sudetach miałem okazję poznać Sowietów w różnych sytuacjach. Po wyzwoleniu Legnicy i po zakończeniu drugiej wojny światowej w maju 1945 roku w mieście zostało dużo radzieckiego wojska, bo tu w Legnicy jakby specjalnie czekały na nich wymarzone warunki. Na rogatkach miasta i głównych ulicach wylotowych Poznańskiej, Bydgoskiej, Słubickiej, Ścinawskiej, Chojnowskiej, Ułańskiej, Pancernernej, Lotniczej, Złotoryjskiej, Tadeusza Kościuszki, Wojska Polskiego, 1 Maja, (Rataja) Grabskiego, Jaworzyńskiej, Świerczewskiego (Rzeczypospolitej) i innych – stało dużo budynków koszarowych po wojskach niemieckich. A i innych, potrzebnych wojsku obiektów w mieście nie brakowało. Wojska i rodzin wojskowych z każdym rokiem tak przybywało, że po kilku latach musieli otwierać większą szkołę dla swoich dzieci na ul. Jaworzyńskiej – obecnie szkoła nr10.

Sowieci zajęli – jak swoje – prawie trzecią część miasta i ogrodzili, aby żadna tajemnica tam nie weszła, ani stamtąd nie wyszła. Tak powstał słynny wieloobiektowy „Kwadrat”. Często przez całe noce i dni słychać było startujące i lądujące na lotnisku samoloty i helikoptery, które latały nad miastem i na poligony koło Bolesławca, Żagania, Przemkowa, Chocianowa i Raszówki. Mieli też codzienne połączenia z Moskwą, Berlinem Wschodnim, Pragą i innymi miastami. W latach 1950-1992 ludzie mówili, że Legnica to druga Moskwa na Zachodzie. Nic dziwnego – w samym centrum miasta znajdował się sztab Północnej Grupy Wojsk Radzieckich z aresztem (teraz Sąd Okręgowy i stacja benzynowa). Trochę dalej, w Rynku, był teatr dostępny tylko dla obywateli radzieckich. Niedaleko stał Dom Oficera, obecnie siedziba kurii biskupiej i rzymskokatolickiego seminarium duchownego.

W mieście działały ich oddzielne administracje wojskowa i cywilna. Mieli wszystko swoje: kluby, sklepy, restauracje, piekarnię, szwalnię, łaźnię, stolarnię, warsztaty i stacje benzynowe. Osobną mieli elektrownię, żeby im nigdy nie zabrakło energii elektrycznej, tak ważnej w życiu za-

równy wojska jak i cywili. Wspólne były tylko gaz, woda, rzeźnia, mleczarnia i ogrodnictwo, gdzie wszystko było formalnie kupowane i rozliczane na szczeblu państwowym, na zasadzie „wy nam żywność, my wam ropę i bezpieczeństwo”.

Na stacji kolejowej mieli wydzielone tory na potrzeby rozładunku i załadunku towarów oraz sprzętu wojskowego. Był też wydzielony tor dla pociągu osobowego kursującego codziennie z Legnicy do Moskwy i z powrotem, którym mogli jeździć tylko Sowieci. W Polsce wojskowi i ich rodziny otrzymywali normalne wynagrodzenie w walucie polskiej, a ich rodziny w ZSRR dostawały jakieś wynagrodzenia na konta bankowe.

W latach siedemdziesiątych na potrzeby wojska i ich rodzin zbudowano kilka bloków mieszkalnych zwanych „leninradami” na ul. Poznańskiej, Wojska Polskiego, magazyny przy ul. Zofii Kossak oraz garaże na ul. Nowodworskiej.

Piszę o tym tylko dlatego, że było to związane z moim codziennym życiem. Od rana do wieczora, w drodze do pracy i z pracy widać i słycać było na każdym kroku obce towarzystwo. W każdą sobotę i niedzielę wieczorem można było pójść do ich teatru na ciekawe sztuki teatralne, ale tylko pod warunkiem, że umiało się porozumieć przy kasie i. oczywiście, jeżeli rozumiało się treść sztuki. W kilku radzieckich księgarniach można było kupić różne książki i płyty gramofonowe z pięknymi piosenkami rosyjskimi i ukraińskimi.

W parku, obok Teatru Letniego, czynne było muzeum wojska radzieckiego. Stały tam na placu samolot odrzutowy, czołg, działa i działka przeciwlotnicze z czasów drugiej wojny światowej. W muzeum, ale tylko grupowo 1. i 9. maja oraz w rocznice rewolucji październikowej, można było oglądać pamiątki z I i II wojny światowej, które znane mi były z frontu 1945 r. Na końcu ul. Wojska Polskiego i Grabskiego blisko centrum miasta był stadion sportowy zajęty na potrzeby wojska i ich rodzin. Poza działalnością sportową pełnił rolę miejsca spotkań, mityngów, manifestacji, akademii, defilad wojskowych i cywilnych. Niedaleko stadionu był plac zabaw dla dzieci i młodzieżowe kino letnie, gdzie można było wieczorem oglądać zawsze jakiś nowy film radziecki.

Po zachowaniu wojska radzieckiego w mieście (na podstawie zwiększonego ruchu samochodów, samolotów i helikopterów), można było wyczuć sytuację polityczną w kraju i na świecie. Tak było na przykład w czasie wojny w Korei, interwencji na Węgrzech i w Czechosłowacji, kiedy to samolotami i sanitarkami wozili rannych do szpitala w Lasku

Złotoryjskim. Rozruchy w Poznaniu, Warszawie, w czeskiej Pradze i innych miastach oznaczały dla legniczan zwiększoną częstotliwość lotów i przejazdy czołgów, które utrudniały ruch na ulicach miasta i drogach krajowych.

W koszarach na wszystkich rogatkach miasta od wczesnego rana puszczano głośną muzykę, którą słychać było daleko poza murami. Wieczorne śpiewy rekrutów przypominały mi Rabkę w 1945 roku. Szeregowym wojskowym nie wolno było chodzić po mieście w pojedynkę, tylko grupowo i pod komendą starszego rangą. Cywile nie mieli żadnych ograniczeń. Przed świętami państwowymi i niedzielami, a zwłaszcza przed wyjazdami i licznymi przeniesieniami lub ruchami wojsk, wykupywali różne atrakcyjne towary, których nie mieli w swoich sklepach. Z gotówką nie mieli żadnych problemów i to nie tylko dlatego, że dobrze zarabiali, nie unikali bowiem i pokątnego handlu różnymi towarami, zwłaszcza złotem. Co dwa lata zmieniano się wojsko i rodziny wojskowych.

Kiedyś w latach 80. trafiła się okazja wyjazdu do Moskwy tak zwanym pociągiem przyjaźni. Pokazano nam „ważne miejsca” historyczne w Wilnie, Mińsku, dawnym Leningradzie i Moskwie. Widziałem cmentarz w obleżonym przez 900 dni Leningradzie, gdzie pochowano około miliona ludzi, którzy zginęli w obronie miasta a także z głodu i zamarzniętych w czasie dwu zim. W Moskwie pokazano dużo pałaców, ale mnie interesowały obiekty kultu religijnego, które w tamtych czasach pełniły funkcję placówek muzealnych. W zasięgu Kremla nadal nie są one udostępnione wiernym.

Dość często trafiały się przypadki kontaktów wojskowych i ich rodzin z naszą cerkwią prawosławną. Początkowo rzadko, potajemnie z powodu dyscypliny, której byli poddani w obcym mieście, no i przede wszystkim stosunku do religii, który im narzucono. Odnowa następowała jednak coraz częściej i śmielej. Niektóre rodziny chciały potajemnie chrzczyć swoje dzieci, a czasem i dorosłych. W latach osiemdziesiątych, za Gorbaczowa, powoli i stopniowo zwiększała się wolność słowa i wyznania oraz zmieniała się polityka wobec religii. Oficerowie częściej mogli chodzić po cywilnemu, tym odważniej więc wstępowali do cerkwi, gdzie początkowo świecili świeczki i oglądali święte ikony jak w muzeum, słuchali nabożeństwa jak w teatrze i... wychodzili. Najwięcej przychodziło ich w noc święta Wielkanocy. Wtedy nie było wolnego miejsca w cerkwi, a dym ze świeczek unosił się ponad tłumem ludzi. Niektórzy świecili nawet jedzenie w koszykach.

Od 1989 roku w mieście słyszało się już śmiało żądania, żeby wojska radzieckie opuściły Polskę. Od tego czasu widać było wyraźne osłabie-

nie dotychczasowej dominacji wojska radzieckiego w Legnicy. Dawano się zauważyć, że więcej osób wyjeżdża niż przyjeżdża. Coraz częściej rodziny radzieckie zaprzyjaźnione z Polakami otwarcie mówiły, że wkrótce przyjdzie czas pożegnać się na zawsze – z żalem, bo tak jak było im w Polsce, w swoim kraju mogą już nie mieć nigdy. Ale rozkaz to dla nich była zawsze święta rzecz.

Kiedy w 1990 roku w Związku Radzieckim wprowadzono większą swobodę, doszło do tego, że Zespół Pieśni i Tańca z Kinieszmy (300 kilometrów na północny wschód od Moskwy) zaprosił naszą parafię do odwiedzenia ich miasta. Była to tygodniowa wycieczka turystyczno-religijna parafian legnickich do Kinieszmy przez Moskwę, Zagorsk, Suzdał i Iwanowo. Zwiedzano tam piękne zespoły obiektów sakralnych z czasów największego rozkwitu prawosławia w Rosji. W następnym roku odbyła się w naszej parafii rewizyta zespołu zapraszającego. Mieli możliwość zwiedzenia Legnicy i ważniejszych miast Dolnego Śląska. W Legnicy były występy tego pięknego zespołu.

Przed samym wyjazdem wojska i rodzin do Rosji, 9 maja 1992 roku, w prawosławnej parafii w Legnicy miało miejsce nadzwyczajne wydarzenie. Na pewno stało się to z woli i łaski Bożej. Po 75 latach panowania komunizmu, daleko od Moskwy, na wielkim cmentarzu komunalnym w Legnicy, gdzie pochowanych jest 1262 żołnierzy i oficerów radzieckich poległych w drugiej wojnie światowej na ziemi legnickiej, odbyło się wielkanocne nabożeństwo żałobne.

Na tym cmentarzu pochowani są obok siebie bez wyróżnienia ateści, prawosławni, grekokatolicy, muzułmanie, żydzi i inni. Na zaproszenie generałów Dubynina i Łopaty w uroczystości udział wzięli ze strony wspólnoty prawosławnej: ksiądz mitrat dekanatu wrocławskiego – Michał Żuk, ksiądz sekretarz diecezji wrocławsko-szczecińskiej Aleksander Konachowicz, ksiądz proboszcz parafii legnickiej Wasylj Litwiniuk i dwudziestoosobowy chór parafialny.

Wojsko reprezentowało ponad 40 generałów, ponad 60 oficerów różnych stopni, dwie kompanie honorowe, nieliczna grupa osób cywilnych, rodzin wojskowych i polskich.

Ze strony Urzędu Miasta Legnicy udział wzięło trzech przedstawicieli niższego stopnia, których nikt nie przedstawił.

Było to naprawdą niecodzienne i wzruszające wydarzenie. Środkiem szerokiej alejki między grobami niesiony był krzyż prawosławny, a za nim wolnym krokiem szli ksiądz mitrat i chór śpiewający wielkanocną

pieśń „Woskresenija deń proswitymsia ludije” (Zmartwychwstania dzień). Groby po obu stronach alejki kropili święconą wodą dwaj księża, jeden z lewej drugi z prawej strony. Za nimi szli oficerowie i ich rodziny, którzy na grobach poległych kładli kwiaty i stawiali zapalone świece.

Wzruszające było to nabożeństwo żałobne przed jedynym krzyżem cerkiewnym, podczas gdy na grobach poległych nie ma żadnego, są tylko gwiazdy Związku Radzieckiego. Przy pieśni „Da woskresniet Boh” (Niech zmartwychwstanie Bóg) cała grupa generałów i oficerów stojących w szyku defiladowym zdjęła na komendę czapki z głów i trzymała je na lewych dłoniach aż do zakończenia nabożeństwa i odśpiewania pieśni wielkanocnej „Chrystos woskresie iz miertwych” oraz „Wiecznaja pamiat”.

Później były przemówienia generałów najwyższych stopni, Dubynina i Łopaty, oraz dwóch kapłanów. Były podziękowania z obu stron, a na koniec wszystkich księży i chórzystów zaproszono na poczęstunek do koszarowej stołówki.

Kilka dni po tym wydarzeniu wojska rosyjskie i ich rodziny opuściły Legnicę. Jakoś po trzech miesiącach do naszej parafii dotarła przykra wiadomość, że w nieznanych okolicznościach w Moskwie zmarł generał Dubynin. W naszej cerkwi odprawione zostało nabożeństwo żałobne w intencji generała.

Czterdzieści lat z Sowietami w Legnicy dla mnie nie wiązało się z żadnymi korzyściami czy zobowiązaniami. Nie musiałem chodzić do nich ani z przyjaźni, ani w celu załatwienia jakiejś sprawy. Staralem się być jedynie wiernym dawnej Wielkiej Prawosławnej Rusi. Poznawszy, z racji krótkiej drogi frontowej, ich fałszywą propagandę, nie byłem w stanie zachwycać się ich dyktaturą narzuconą narodom słowiańskim.

Podkreślić jednak należy, że życie z Sowietami nie było gorsze od życia bez nich. Mniej było oszukaństwa, pazerności i rozbojów. Żyło się o wiele spokojniej, bezpieczniej i łatwiej niż teraz, gdy wieczorem nie można spokojnie wyjść na ulicę. Obecnie, kiedy ludzie nie mają pracy i pieniędzy, widać coraz więcej bezrobotnych, bezdomnych i ludzi biedniejszych.

Wyjazd wojsk radzieckich w latach dziewięćdziesiątych stwarzał w Legnicy, i nie tylko, okazję wykupu mieszkań poradzieckich. Władze miasta organizowały przetargi na sprzedaż wolnych budynków, w których mogli brać udział osadnicy posiadający papiery za pozostawione mienie zabużańskie.

Kilka razy uczestniczyłem ze znajomym, Stefanem B., w takich przetargach. Miał papiery na prawie cztery miliony złotych. Do przetargu zgłaszało się sporo chętnych, ale licytację najczęściej wygrywały osoby z innych miast: Warszawy, Wrocławia. Przebijali zawsze wysoko – często ceny nieruchomości dochodziły do dziesięciu milionów złotych. W tych przetargach mój samotny 80-letni znajomy z Nowogródka nie miał szans na kupno żadnego mieszkania.

W niektórych rejonach zamieszkiwanych przez społeczność prawosławną wtorek po pierwszej niedzieli po Wielkanocy (Tomasza – Fomy) zwany jest Radonicą. Tego dnia po mszy świętej wierni wraz z proboszczem idą na cmentarz z modlitwą i pieśnią Zmartwychwstania „Chrystos woskrese” żeby odwiedzić groby swoich zmarłych bliskich. W modlitwach wspomina się wtedy nie tylko swoich krewnych, ale i przodków oraz tych, za których nie ma kto się pomodlić. Od czasu wyjazdu wojsk i rodzin radzieckich z Legnicy społeczność prawosławna idzie też z modlitwą Zmartwychwstania i święconą wodą na groby żołnierzy radzieckich – ich naprawdę nie ma kto tu odwiedzić.

Sąd nad zmarłymi

Dziwny to może, ale prawdziwy tytuł. Otóż nie tak dawno, bo dopiero w 1996 roku, 50 lat po wysiedleniu na Zachód, okazało się w Gorlicach, że naszych dwu wiosek (Czarne i Długie) nie objął dekret z 5 IX 1947 roku o przejęciu na własność państwa mienia po osobach przesiedlonych do ZSRR (Dz.U. Nr 59, poz. 318), ani też dekret z 27 VII 1949 r. o przejęciu na własność państwa nieruchomości ziemskich nie pozostających we faktycznym władaniu właścicieli nieruchomości położonych w niektórych powiatach woj. białostockiego, lubelskiego, rzeszowskiego i krakowskiego (Dz.U. nr 46, poz. 336). Stało się tak dlatego, że ówczesne władze (urzędnicy powiatowi) zapomniały wywłaszczyć na rzecz Skarbu Państwa mieszkańców tych wiosek i w 1945, i 1947. Wyszło to na jaw dopiero wtedy, kiedy Nadleśnictwo w Gorlicach i Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Siarach chciały dokonać w sądzie w Gorlicach zapisów w księgach wieczystych na swoją korzyść – stwierdzić nabycie praw własności gruntów rolnych i leśnych w obu tych wioskach na podstawie tak zwanego zasiedzenia, to znaczy użytkowania i opieki przez 50 lat. Kiedy więc się okazało, że wioski, choć wysiedlone, nie należą do Skarbu Państwa, a do dawnych właścicieli żyjących na Ukrainie i na Zachodzie, władze powiatowe w Gorlicach postanowiły oddać sprawę do rozpatrzenia sądowego.

W 1998 roku Nadleśnictwo w Gorlicach i Starostwo Powiatowe w Gorlicach założyły dwie oddzielne sprawy w Sądzie w Gorlicach przeciw właścicielom – moim rodzicom i innym osobom, osobno za „zasiedzenie lasów” i osobno za „zasiedzenie gruntów”. Dawne władze powiatowe, nie wywłaszczając wysiedleńców z tych dwóch wiosek, doprowadziły do tego, że obecne władze powiatowe mają do nich pretensje o to, że nie chcą dobrowolnie oddać im swoich posiadłości.

Po 50 latach ani na Ukrainie, ani na Zachodzie nie żyje już żaden z właścicieli tych posiadłości. Sprawy sądowe mogą zatem toczyć się bardzo długo tylko dlatego, że żaden z nich nie pozostawił swoim spadkobiercom odpowiednich informacji majątkowych. Teraz, po przeszło pół wieku, spad-

kobiercy nie wiedzą więc jak i gdzie szukać odpowiednich dokumentów, jeżeli zapisy w dawnych księgach dotyczą w większości nieznanymi już przodków.

Moi rodzice nie zostawili testamentu, gdyż nie było to konieczne. Został jeden dokument – zapis notarialny z 1925 roku w sądzie w Gorlicach, kiedy dziadek Konrad przed ślubem moich rodziców zapisał cały majątek mojej matce. Aby przyspieszyć sprawę sądową nadleśnictwo i starostwo dały ogłoszenia do prasy („Gazeta Wyborcza” z 5 XII 2000 r. i „Rzeczpospolita” z 27 III 2001 r.), aby właściciele lub spadkobiercy w czasie trzech miesięcy zgłosili swój udział w sprawie lasów i gruntów. Paradoks polega na tym, że kompetentne władze przez 50 lat nie miały czasu na załatwienie spraw związanych z uwłaszczeniem, a prostym obywatelom daje się trzy miesiące na wyjaśnienie zasadniczych spraw: gdzie są dokumenty, na kogo zapisana jest posiadłość, kto ma płacić za wszystko, jeżeli uwzględnić przymusowy tryb wysiedlenia?

Przedtem ludzie bardzo szanowali swoje lasy. Drewno z wycinki pozwalało wprawdzie ratować domowy budżet, ale nie zapomniano o tym, że las musi być zabezpieczeniem bytu dzieci i wnuków. Dorodne jodły, buki i świerki doczekały więc wysiedlenia w 1947. Po wypędzeniu ludności z gór, władze państwowe bezprawnie wycięły i wywiozły wszystko – miliony metrów sześciennych najlepszego materiału, którego starczyło na 50 lat dla przemysłu krajowego i na eksport.

Obie sprawy leżały długo w sądzie w Gorlicach, aż w grudniu 2001 roku sąd oddalił sprawę nadleśnictwa. Apelacja w Sądzie Okręgowym w Nowym Sączu, po następnym roku, w czerwcu 2002 r. również została oddalona. Zaraz potem sprawa w trybie kasacyjnym trafiła do Sądu Najwyższego w Warszawie. Los tej sprawy został rozstrzygnięty w Sądzie Najwyższym w Warszawie 28 kwietnia 2004 r. (w 57 rocznicę rozpoczęcia akcji „Wisła” w 1947 r.), który rozpatrzył kasację złożoną przez Nadleśnictwo Lasów Państwowych w Gorlicach. Wydał postanowienie o treści: „oddala kasację”, uznając tym samym obronę byłych właścicieli za słuszną.

W listopadzie 2002 roku Sąd Rejonowy w Gorlicach wrócił do zawieszonych uprzednio sprawy o „zasiedzenie gruntów”. Nakazał szukać potrzebnych dokumentów własnościowych i spadkowych, na podstawie których władze powiatowe będą mogły oddać grunty prawnym następcom.

Starostwo też chce mieć czystą sprawę po to, aby szybciej sprzedać grunty, bo są kupcy na tanią ziemię łemkowską. Dotychczas były pieniądze za drewno, teraz trzeba sprzedać bezprawnie resztę zagrabionego majątku.

Rozmyślając o tych sądowych perypateiach dochodzę do następujących wniosków:

Starostwo po wypędzeniu ludności dało przyzwolenie nadleśnictwu na wyrąb i wywóz drewna z zagrabionych lasów prywatnych. Po wykorzystaniu tej możliwości, po 20 latach, w 1967 roku, wydział geodezji tego urzędu przeprowadził regulację gruntów we wsi Czarne-Długie. Dokonano całkowitej zmiany klasyfikacji i ewidencji gruntów oraz lasów z założeniem nowych map geodezyjnych, likwidując tym samym dotychczasowe wielowiekowe zapisy. Kiedy w 50 lat po wysiedleniu okazało się, że nieruchomości tych dwóch wiosek nie należą do Skarbu Państwa, starostwo raptownie zmieniło swoją politykę – szuka rozwiązania, nawet ugody z właścicielami i ich spadkobiercami.

Sęk w tym, że po dokonanych zmianach i po tak długim czasie nie jest to takie proste. Na wyrobienie nowych dokumentów własności potrzebny jest czas i duże pieniądze. Nasuwa się więc oczywiste pytanie, czy to właściciele lub ich prawni spadkobiercy wypędzeni przed 55 laty z rodzinnych stron mają obowiązek opłacać wszystkie czynności spowodowane zmianami przeprowadzonymi przez urząd? Dlaczego ograbiony ma dopłacać urzędowi?

W 1989 roku na mocy Rozporządzenia Ministra Sprawiedliwości z 14 VII 1986 r., po 40 latach, kazano zmienić dawne księgi wieczyste. Sąd szybko dokonał tej zmiany wyrzucając dokumenty do archiwum, nie przenosząc zapisów do nowych ksiąg wieczystych. Sąd oddalił sprawę lasów z powództwa nadleśnictwa w I i II instancji, skłonny jest także pozytywnie załatwić sprawy gruntów, wszystko uzależnia jednak od odtworzenia dokumentów. Gdyby chcieć spełnić te warunki – znaleźć dowody własności, przeprowadzić postępowania spadkowe – hektar odzyskanego (wykupionego raczej!) gruntu byłby kilka razy droższy niż hektar dobrej ziemi kupiony na wolnym rynku.

W końcu wyjdzie na to, że żaden spadkobierca nie będzie mógł przedstawić potrzebnych dokumentów i wszystko szybko i lekko przejdzie na własność nadleśnictwa oraz starostwa, bo o to przecież teraz władzom chodzi.

Od 1998 roku dawno nieżyjących rodziców chce się sędownie pozabawić własności, urzędy skarbowe wysyłają do spadkobierców wezwania do natychmiastowego rozliczenia się ze spadku, który od 55 lat w Karpatach bezprawnie użytkują nadleśnictwo i starostwo.

Asymilacja

Na Zachodzie władze państwowe planowały szybką asymilację Łemków rozpoczynając od młodzieży, wobec której stosowano tajną działalność zaufanych agentów. Największym zainteresowaniem objęte zostały młode i ładne dziewczęta, które podejmowały naukę w różnych szkołach. Zastraszane różnymi sposobami, dość szybko wchodziły w związki towarzyskie, które nie prowadziły do niczego dobrego. Tajna, podstępna i zasadzkowa działalność wśród zastraszonej, a czasem i naiwnej młodzieży prowadziła najczęściej do obniżania jej honoru i ambicji.

Od początku przewidywano, że starsze pokolenie dość szybko i samoistnie usunie się na cmentarze, a młode z polskim wykształceniem dużo łatwiej podda się normalnej asymilacji. W niektórych środowiskach postępowała ona rzeczywiście dość szybko. Kiedy na Zachodzie warunki życia ulegały oczywiście poprawie, bardzo często rodzice postanawiali: „jeżeli nam było źle, to choć dzieciom niech będzie lepiej”, nie zwracając uwagi na wyrządzanie wielkiej szkody moralnej i tym samym wyrażając akceptację na szybszą asymilację swoich dzieci.

Osobną, ale bardzo ważną sprawą były i są odmienne kalendarze wyznaniowe. Nasza społeczność żyjąca na obczyźnie w dużym rozproszeniu siłą rzeczy poddawała się rytmowi kalendarza zachodniego, co wyraźnie przyspieszało asymilację.

W latach osiemdziesiątych większa swoboda w organizowaniu łemkowskich imprez, zabaw i wiatr, w górach oraz na obczyźnie, dała możliwość częstszych spotkań młodzieży i starszych. Ale to tylko pozory, ponieważ asymilacja trwa. Większa swoboda społeczno-kulturalna, dająca ujście narodowemu entuzjazmowi mniejszości narodowych, to mało, gdy w dobie wolnego rynku i pozorowanej demokracji całą energię poświęca się szukaniu pracy i środków do życia. Poza tym powrót na zieloną pustynię jest niemożliwy bez pomocy państwa, bo trzeba dziś dobrej polityki gospodarczej (dróg, turystyki, ochrony leśnej i rolnej), by móc żyć tam w należytych warunkach.

Przykre, ale prawdziwe jest to, że w niektórych ośrodkach, gdzie osadnictwo było rozproszone (po dwie, trzy rodziny w wiosce) zgodnie z założeniami ówczesnych władz, dosyć szybko nastąpiła asymilacja, z niektórymi wyjątkami, jednak nie na tyle na ile przewidywali jej założyciele.

Niezależnie od różnych powodów asymilacji, została ona częściowo powstrzymana dzięki powstałym w latach dziewięćdziesiątym organizacjom społeczno-kulturalnym, w których działają zespoły pieśni i tańca, grupy artystyczno teatralne, Stowarzyszenie i Zjednoczenie Łemków oraz ich koła regionalne. Jak dotąd największą rolę w zakresie powstrzymania raptownej asymilacji spełniły ośrodki parafialne, które istnieją w największych centrach osadnictwa na Zachodzie: Wrocławiu, Legnicy, Lubinie, Przemkowie, Rudnej, Studzionkach, Michałowie, Zimnej Wodzie, Malczycach, Lipinach, Zielonej Górze, Torzymiu, Gorzowie, Ługach, Brzozie, nie wyłączając wszystkich parafii karpackich.

Mnie, starszego człowieka, mocno niepokoi ostatnie dwudziestolecie asymilacji. Pamiętam pierwsze watry, które na początku entuzjastycznie wypełniane były gwarą i śpiewem naszych ojców i przodków. Teraz, po 20 latach wypełnione są już więcej mową naszych sąsiadów i to nie tylko na obczyźnie, ale także i w rodzinnych stronach.

Również w tym dwudziestoleciu miałem okazję bywać dosyć często na pogrzebach i stypach, w których uczestniczą w większości osoby starsze. Nie byłoby zatem nic dziwnego, gdyby na takich spotkaniach rozmawiano dalej po „swojemu”. I tak właśnie się rozmawia!!! Ale raczej z konieczności i tylko dlatego, że w tak smutnej chwili, i do tego między swoimi, nie wypada być innym. Na co dzień Łemkowie posługują się częściej już innym językiem. Zdradza ich to, jak plątają im się oba języki, wreszcie tłumaczą się szczerze: „bo mi tak wygodniej”. A to jest już widoczna i nieodwracalna asymilacja.

W tej sytuacji mogę powiedzieć jedno – trzeba pamiętać o zasadzie „szanujmy sami siebie to i nas będą szanować”. Jeżeli będziemy wstydić się swojej przynależności i zapominać o swojej odrębności, o korzeniach, to staniemy się faktycznie taką społecznością, za jaką uważano nas w latach pięćdziesiątych. Prawda jest zaś taka, że nasza Łemkowna była i jest najdroższą i najpiękniejszą krainą na świecie, a my, jej synowie i córki, powinniśmy o tym zawsze pamiętać.

Ukrywanie swojej tożsamości to wielka hańba dla każdej rodziny. Jeżeli nie wierzycie, to spójrzcie na świat, na różne narody, które od

wieków prawie się nie asymilują, a przykładem mogą być Niemcy, Żydzi i Romowie. Żydów przed wiekami było mało, a teraz jest ich coraz więcej, całkiem odwrotnie niż u nas i to w tak krótkim czasie, bo nie minęło jeszcze nawet jedno stulecie, a nas już nie bardzo widać wśród innych.

Wspomnienia z pracy na obczyźnie

Niedługo po osiedleniu się w Chobieni, już we wrześniu 1947 roku, próbowaliśmy z sąsiadem Przysłupskim szukać pracy w cukrowni pod Głogowem. Wybraliśmy się tam piechotą przez Gwizdanów, Bajków, Skrzydłowice i Grębocice do Nosocic pod Głogowem. Nie przyjęli nas do pracy, bo nie było jeszcze tradycji uprawy buraków cukrowych i z tego powodu cukrownia nie była jeszcze czynna. Zatrudniłem się więc przy robotach na Odrze. Trzeba było wyciągać z rzeki wraki zatopionych barek i niewielkich osobowych oraz towarowych statków rzecznych. Pracowało nas tam kilkanaście osób, byli między nami Polacy i fachowcy niemieccy, którzy nie zostawili swoich ziem i uczyli nas jak należy pracować na wielkiej i groźnej rzece.

Robotnicy niemieccy, starsi i młodzi, byli bardzo sumienni, odpowiedzialni i sprawiedliwi, podobni do naszych. Szanowali Łemków i pomagali nam, choć język bardzo nas różnił. Nauczyłem się trochę ich mowy. Spodobała mi się robota na rzece, bo była dobrze płatna, choć nie bardzo bezpieczna. Szybko jednak nauczyłem się dość dobrze pływać łódką po tym rwącym nurcie.

Robota na Odrze, zawsze na wodzie lub nad wodą, i odmienny niż w rodzinnych stronach klimat, powodowały, że miałem początkowo dość dużo problemów zdrowotnych. Po kilku tygodniach życia i pracy na obczyźnie czepił się mnie ostry kokluszowy kaszel. Męczył mnie dość długo i nie było na niego żadnego lekarstwa. Wiosną 1948, po ośmiu miesiącach pobytu na Zachodzie, autochtoni poradzili mi, bym udał się do lekarza niemieckiego w Brzegu Dolnym koło Wrocławia. Pojechałem tam pociągiem z Gwizdanowa. Lekarz, po dokładnym zbadaniu, powiedział, że nic mi nie zagraża, po prostu mój organizm nie dostosował się jeszcze do nowego, nizinnego klimatu. Nic mi nie będzie, jeżeli postaram się uważnie przystosowywać do nowych warunków. Poinformował mnie, że i Niemcy osiedleni w rejonie Odry musieli często wyjeżdżać w inne rejony kraju, aby ratować się od różnych chorób. Zawierzyłem lekarzo-

wi i okazało się, że od tego czasu nie miałem już większych problemów z kaszlem.

W dwa lata zdołaliśmy wydobyć kilka zatopionych barek i statków i odstawić je do baz remontowych w Głogowie i Wrocławiu. Zaraz potem zawiązała się we Wrocławiu nowa firma, która miała prowadzić roboty regulacyjne na odcinku Odry od Wrocławia do Szczecina. Było to pogłębianie koryta rzeki i naprawy tam faszynowo-kamiennych. Firma potrzebowała wykwalifikowanych robotników i majstrów. Mnie wyznaczono na kurs tamiarski, który zorganizowano w Ścinawie. Przez miesiąc uczyli nas, 20 robotników, teoretycznej i praktycznej budowy oraz naprawy tam z wikliny i kamienia. Byłem najlepszy w nauce i robocie, więc później objąłem nadzór nad grupą robotników, pracując jako robotnik i majster równocześnie, na odcinku Odry pomiędzy Ścinawą a Głogowem. W firmie tej pracowałem dwa lata, poznałem w niej dobrych pracowników i dobre towarzystwo wśród Polaków, Niemców i Łemków. Z naszych pracował tam Kołodziejczyk, Kwoczka, Wańcko, Telep, Hatałowicz, Kopcza. Z Polaków Dawidowicz, bracia Wiśniewscy, bracia Grabowiecy, Kołodziej, Skrzypicki, Ogorzelec. Z Niemców pamiętam starszych panów, Getkiego i Szultza, a z młodych – braci Hansa i Otta Fechnerów.

Z powodu dość długiej pracy na wodzie i nad wodą, a szczególnie konieczności noszenia całymi dniami niezdrowego obuwia gumowego, postanowiłem zmienić zajęcie. Szybko znalazłem pracę urzędnika biurowego w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Chobieni, odpowiedzialnego za zaopatrzenie sklepów w Chobieni w towary z hurtowni w Wołowie. Trwało to bardzo krótko, bo zaledwie miesiąc. Pewnego dnia robotnicy ukradli mi z transportu karton papierosów (25 paczek) i z tego powodu postanowiłem zwolnić się, aby nie mieć do czynienia ze złodziejami. Zgłosiłem prezesowi spółdzielni, z jakiej przyczyny muszę odejść z pracy. Prezes obiecał znaleźć tych, co ukradli, ale ja wołałem zapłacić wartość skradzionych papierosów i nie mieć do czynienia z takimi niesolidnymi ludźmi.

Nie chciałem być dozorcą do pilnowania złodziei. Postanowiłem poszukać pracy, w której nie będę miał do czynienia z towarami i pieniędzmi. Wkrótce udało się niespodziewanie znaleźć posadę urzędnika podatkowego w Urzędzie Gminnym w Chobieni. Dostatecznie radziłem sobie z liczeniem podatków. Gminny księgowy, pana F. Akerman, nauczył mnie dobrej i uczciwej roboty księgowego, co bardzo przydało mi się

później w innych biurach. Po roku zapragnąłem zostać księgowym w prawdziwym zakładzie pracy. Przeniósłem się więc do Zespołu Państwowych Gospodarstw Rolnych (PGR) w Chobieni.

W biurze PGR zapoznałem się z prawdziwą pracą księgowego – od podstawowej dokumentacji magazynowej, płacowej i księgowo-finansowej, aż po pracę bilansową. Już po roku zjednoczenie PGR w Legnicy w jakiś sposób wybrało mnie i służbowo przeniosło do Legnicy z awansem na instruktora księgowości na obszarze działania zjednoczenia w ośmiu zachodnich powiatach województwa wrocławskiego. Robota ta bardzo mnie pasjonowała i byłem dumny, że ja, zwykły człowiek z Karpat, w krótkim czasie tak wysoko awansowałem i mogę być nawet instruktorem. Jeździłem dosyć długo po zespołach PGR i uczyłem głównych księgowych prawidłowej, dobrej i uczciwej pracy przy okresowych i rocznych bilansach rozliczeniowych. W międzyczasie, dla podniesienia kwalifikacji, ukończyłem kilka kursów księgowości finansowej. Nie podejmowałem natomiast nauki w szkole średniej, gdyż i bez tego bardzo dobrze dawałem sobie radę w sprawach księgowo-finansowych i ekonomicznych.

Po siedmiu latach pracy terenowej postanowiłem znaleźć zajęcie na miejscu, w Legnicy, tym bardziej że w 1958 roku założyłem własną rodzinę. W sierpniu 1960 objąłem funkcję głównego księgowego w Zakładzie Budownictwa i Mechanizacji Rolnictwa w Legnicy. W latach 1965-1968 uzupełniłem zaocznie wykształcenie średnie, bo nadeszły czasy, kiedy nie liczyło się już wieloletnie doświadczenie, dobra i uczciwa praca, lecz papierek szkolny.

Po otrzymaniu świadectwa dostałem propozycję objęcia funkcji zastępcy dyrektora do spraw ekonomicznych w tym samym zakładzie. Na tym stanowisku pracowałem do 1973 roku, kiedy władze polityczne Legnicy zechciały uczynić ze mnie „ofiarodawcę” na rzecz budownictwa socjalnego, czyli zażądały wydawania nieodpłatnie z magazynu materiałów instalacyjnych do budowy domków jednorodzinnych dla czyichś dobrych znajomych. Wtedy po raz drugi w życiu zastanowiłem się nad zmianą pracy, ale tym razem na niższe stanowisko i to z powrotem do moich dawnych znajomych w PGR. Sprawa moja znalazła się w prokuraturze, ale ponieważ ja nie godziłem się na podpisywanie zleceń na darmowe wydawanie z magazynu materiałów elektrycznych, zostawili mnie w spokoju. Jak się ta historia skończyła dla innych, nie próbowałem nawet się dowiadywać, ale się domyślałem, że do skandalu koleś nie dopuścili.

Od maja 1973 pracowałem w kombinacie PGR w Wądrożu Wielkim na stanowisku kontrolera siedmiu zakładów rolnych oraz budownictwa i mechanizacji, które wchodziły w skład kombinatu. Tam znów znalazłem spokojne zajęcie, bez nacisków i poleceń, choć trzeba było jeździć codziennie po 40 kilometrów. Była to praca podobna do tej, jaką musiałem zostawić w Chobieni, z tym, że tym razem była jednocześnie ratunkiem na moje legnickie problemy.

Po czterech latach spędzonych w tym kombinacie trafiła się okazja na powrót do Legnicy na funkcję głównego księgowego kombinatu PGR w Legnicy. Teraz naprawdę spełniło się moje marzenie bycia głównym księgowym bogatego kombinatu i to w dodatku w mieście, blisko domu i rodziny. Było to najlepsze dziesięciolecie mojej pracy – wśród dobranej i zgranej załogi pracowników umysłowych i fizycznych ośmiu samodzielnych zakładów, w których pracowało około siedemset osób.

Dla tak dużej grupy pracowników trzeba było przygotowywać roczne plany gospodarczej i ekonomicznej działalności rolniczo-hodowlanej i usługowej. Najważniejsze było zabezpieczenie finansowe bieżącej działalności tego wielkiego kombinatu – pięć tysięcy hektarów ziemi, z pełnym zapleczem budynków mieszkalnych i gospodarczych. Hektary te wysokimi plonami zbóż i roślin okopowych zapewniały utrzymanie ponad tysiącu sztuk bydła, a w tym około czterystu krowom mlecznym, oraz wielkiej fermie trzody chlewnej na piętnaście tysięcy sztuk świń. Do obsługi tego wszystkiego potrzebne były – pełna mechanizacja w każdym miejscu pracy, transport, warsztaty naprawcze oraz własna brygada budowlano-remontowa. Co miesiąc trzeba było zamówić w banku pełną walizkę pieniędzy na wypłatę dla pracowników tych ośmiu zakładów pracy. Czasem trzeba było być nawet ochroniarzem tej gotówki. Na szczęście nie zdarzył się napad rabunkowy, co potwierdza, że dawniej było dużo bezpieczniej niż dzisiaj, gdy za niewielki grosz można stracić życie.

Z mojej czterdziestoletniej pracy na państwowej posadzie mam dużo dobrych wspomnień. Na żadnym stanowisku i w żadnym miejscu pracy nie doznałem poważniejszych przykrości, wręcz odwrotnie – wiele osób pomagało mi w mojej karierze. Wydaje się dziwne, że o mojej długoletniej pracy mogę napisać zaledwie kilka stron. Wszystkie te lata uważam za udane i dość ciekawe. Była to praca związana z rolnictwem, ale jeśli porównać z pracą w rolnictwie w górach, to tak jakby porównywać dzień z nocą. W górach była ziemia kamienista i jałowa, a w czasie

zasiewów można było zobaczyć każdego zająca. Na Zachodzie to i sarny nie dojrzysz. W górach robota była ręczna i ciężka, ale przyjemniejsza, bo na rodzinnych ziemiach, zaś na Zachodzie praca była lżejsza, maszynowa i biurowa, ale na dalekiej obczyźnie.

Do przyznanych za udział w walkach z faszyzmem niemieckim medalu Za bojowe zasługi i Medalu zwycięstwa, doszły później inne odznaczenia wojskowe, Order wojny ojczyźnianej, medale 40- i 50-lecia, oraz medal Polacy w Armii Czerwonej – zebrało się więc sześć medali.

Za dobrą i uczciwą pracę w jednostkach państwowych otrzymałem też innych sześć medali i odznaczeń państwowych. Najważniejsze to: Krzyż Kawalerski, Srebrny i Brązowy Orderu Odrodzenia Polski, medal 40-lecia, odznaka Zasłużonego księgowego i odznaka Zasłużonego dla województwa legnickiego.

Za działalność religijną od dziesiątego roku życia po dzień dzisiejszy otrzymałem z Prawosławnej Diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej medal Świętej Marii Magdaleny III stopnia.

Emerytura i piśmiennictwo

W kombinacie PGR w Legnicy zakończyłem w 1987 roku długi, czterdziestoletni okres pracy w jednostkach państwowych. Przejście na zasłużoną emeryturę było dla mnie wielkim świętem, ukoronowaniem długoletniej i nieprzerwanej pracy, w której nie znalazł się ani jeden dzień nieusprawiedliwionej nieobecności. Bardzo chciałem przejść na emeryturę, bo uprzykrzyła mi się już praca i dyscyplina państwowa, jakiej trzeba było przez cały czas przestrzegać, tym bardziej że piastowało się ważne i odpowiedzialne stanowiska.

Pierwsze miesiące na emeryturze wykorzystywałem na odpoczynek, którego od dawna mi brakowało, a najbardziej spokoju dla głowy, która nie musiała teraz myśleć o wszystkim, co działo się w dawnej pracy. Teraz miałem sporo czasu na rozmyślania, ale nie nad tym co minęło, lecz nad tym, co trzeba jeszcze zrobić w swoim życiu i nad tym, czego należy się jeszcze podjąć, aby było pożyteczne nie tylko dla mnie i rodziny, ale i dla naszej wspólnoty. Od młodych lat miałem okazję uczestniczyć w wielu imprezach ludowych naszej społeczności, byłem drużbą, a później starostą prawie na dwudziestu weselach łemkowskich, zbierałem i zapisywałem na nich różne ludowe i weselne piosenki. Zapisywałem tylko słowa, melodie zostawały w pamięci, musiały zresztą, bo nie znałem nut. Do czystego i wyraźnego zapisywania i drukowania pieśni cerkiewnych, ludowych oraz innych wspomnień kupiłem maszynę do pisania i to z literami cyrylicznymi. Służyła mi przez parę pierwszych lat mojego pisania.

Pisanie

Efektom mojego piętnastoletniego pisarstwa są pozycje monograficzne, historyczno-dokumentalne, biograficzne, a także satyryczne, kulturalne i duchowe, opisujące życie, obyczaje, obrzędy i kulturę społeczności łemkowskiej. Rozpocząłem od napisania i wydania zbioru religijnych pieśni cerkiewnych. Wybrane ze starych książek wydałem pod tytułem „Pieśni cerkiewne na wszelkie potrzeby”. Na zbiór

ten złożyło się 55 pieśni cerkiewnych i 25 kolęd – bez nut. Wydane w latach 1991, 1996 i 2000, trafiły do niektórych parafii prawosławnych w dawnym województwie legnickim.

Później było zbieranie, pisanie i wydanie żartów, dowcipów i opowiadań. Robiłem to wspólnie z Janem Dziadykiem z Florynki. Zbieraliśmy je ze starych i nowych wydawnictw z różnych krajów rusińskiej społeczności. Pierwszą część pod tytułem „Żarty i opowiadania. I część” wydano w Legnicy w 1991 roku. Ponieważ pozostało nam jeszcze sporo materiału satyrycznego, postanowiono zebrać jeszcze więcej nowych dowcipów i opowiadań i wydać drugą część „Żarty i opowiadania, część II”. Wyszły w Legnicy w 1995 r.

Następną książką była kronika parafii prawosławnej w Legnicy z lat 1948-1994. Materiały do tej publikacji zbierałem dość długo z różnych źródeł: z wypowiedzi ks. Jarosława Tyczyny z lat 1948-1972, ale głównie pochodziły z opowiadań, dokumentów i fotografii zebranych wśród wiernych tej parafii. Wydano ją w języku polskim w Legnicy (1994) pod tytułem „Kronika Parafii Prawosławnej Zmartwychwstania Pańskiego w Legnicy za okres 1948-1994 r.”

Po czterdziestu dwóch latach od wysiedlenia mieszkańców Karpat, w 1989 roku, powstała nowa ogólnopolska organizacja łemkowska pod nazwą Stowarzyszenie Łemków Zarząd Główny w Legnicy. Po czterech latach działalności w 1994 roku odbył się II kongres stowarzyszenia, na który trzeba było napisać informację o działalności ZGSL w I kadencji. Zawierała ją wydana przeze mnie broszurka pod tytułem „Od Kongresu do Kongresu – Legnica 1989-1994 r.”. Pisałem w niej między innymi o powołaniu Łemkowskiego Teatru Narodowego, którego 40-osobowy zespół wystawił w latach 1989-1994 (pod redakcją i w reżyserii Andrzeja Kopczy) sztuki „Odcięte korzenie” i „Jasieńka w Karpatach”. Pierwszą sztukę wystawiono dwa razy w Legnicy, w Bartnem, Lubinie, Wrocławiu, Przemkowie. Drugą – w Legnicy, Lubinie, Wrocławiu, Przemkowie, Gromadce, Liścu, Stodolowicach i Malczycach. Pierwsze przedstawienie było bardzo wzruszające, gdyż przedstawiało ciężkie życie ludności łemkowskiej od 1914 roku do wysiedlenia w 1947 roku. W drugim zagrałem rolę bacy. Obie sztuki zarejestrowano na kasetach video.

W późniejszych latach wystawiono sztuki będące niejako dalszym ciągiem „Odciętych korzeni”, a mianowicie: „Życie na obczyźnie” i „Ostatnia godzina”. Przed 50. rocznicą akcji „Wisła” w 1996 roku reżyser Andrzej Kopcza napisał scenariusz filmu, którego z braku fundu-

szy nie zrealizowano do dnia rocznicy. Nakręcenie go nastąpiło dopiero w latach 2002-2003.

Na podstawie wiadomości własnych i opowiadań niektórych mieszkańców wsi Izby, postanowiłem wraz z panem Bogdanem Horbałem z Bartnego napisać krótką biografię księdza Dymitra Chylaka, który zasłużył się swojemu narodowi życiem religijnego patrioty. Za wiarę przodków znalazł się w talerhofskim lagrze w latach 1914-1917, a później w 1920 roku w więzieniu polskim za próbę wyodrębnienia Łemkowskiej Republiki we Florynce w 1918. Broszurę napisano i wydano pod tytułem „Dymitr Chylak (1866-1955) Prawosławny kapłan i patriota” (Legnica 1996).

Od młodości zbierane i zapisywane nasze ludowe i weselne piosenki (a zbierałem sporo, ponad 260 piosenek ludowych łemkowskich i innych, oraz ponad 660 przyspiewek weselnych) wydałem pod tytułami: „Jak sobie zaśpiewam – Łemkowskie ludowe piosenki” (Legnica 1995), „Jak sobie zaśpiewam – Piosenki śpiewane na Łemkowszczyźnie” (1995) i „Ludowe przyspiewki weselne z Łemkowszczyzny” (Legnica 1996). W tych ostatnich znalazły się i nuty do pięciu melodii weselnych śpiewanych w różnych wioskach łemkowskich. Przyspiewki te podzielono zgodnie z tradycją: wieczór kawalerski i panieński, do ślubu, po ślubie, oczepiny.

Pewnego zimowego wieczoru pojawiła potrzeba przygotowania chóru parafialnego w Legnicy do występu na spotkaniu ekumenicznym popularyzującym kolędy. Z książek cerkiewnych wybrałem kilkanaście znanych i nieznanymi kolęd z nutami i bez, które wydałem w formie małej broszurki, z której chórzyści korzystają do dnia dzisiejszego. Ma ona tytuł „Kolędy na Boże Narodzenie” (Legnica 1996).

W tym momencie przyszła kolej na napisanie czegoś cenniejszego. Swoją rodzinną wieś opuściłem jako dwudziestoletni mężczyzna, który przeżył i dobrze zapamiętał okupację niemiecką, wojsko radzieckie i wypędzenie przez wojsko polskie, a teraz, jako 70-letni emeryt, postanowiłem napisać monograficzną książkę o rodzinnym Czarnem. W mojej pamięci zostało dużo wspomnień z życia w Karpatach, a do tego rodzice i 90-letni sąsiad, Józef Przysługowski, przekazali mi jeszcze więcej.

Na początku trzeba było zaplanować strukturę książki, a następnie oddzielnymi rozdziałami zamykać poszczególne tematy. W 1995 roku mój syn Jarosław po zakończeniu studiów zostawił mi swój komputer i nauczył mnie na nim pisać. Była to ogromna pomoc w pracy, ale też

satysfakcja – oto ja, starszy człowiek, mogę napisać na komputerze książkę w swoim języku. Z tego pisania, korygowania i składania wyszła dość treściwa, pożyteczna, najważniejsza i najdroższa memu sercu książka. Ktoś napisał o niej, że jest „napisana własnym życiem”. Choć czytałem ją parę razy, to nie znalazłem niczego, co chciałbym zmienić albo poprawić. Nosi tytuł: „Kawałek ciernistej historii wioski Czarne na Łemkowszczyźnie 1870-1970” (Legnica 1996). Książka ta została zalecona jako literatura pomocnicza dla łemkowskich szkół średnich.

Zaraz po wydaniu monografii wioski Czarne niespodziewanie, dzięki JE Arcybiskupowi Adamowi z Sanoka, trafiła w moje ręce kronika (litypys) Jerzego Pawłyszyna, proboszcza parafii Czarne, Długie, Lipnej i jednocześnie pierwszego dziekana Łemkowszczyzny w latach 1934-1940, napisana w języku rosyjskim i odnaleziona po 60 latach. Archiwalną kronikę przetłumaczyłem na język ukraiński z dopisami i komentarzami, a wydano ją pod tytułem: „Kronika życia religijno-gospodarczego parafii Czarne w latach 1870-1970” (Legnica 1997).

Pisanie na komputerze – 1996 r.

W sanatorium w Łądku Zdroju, kiedy nie było co robić całymi dniami, ułożyłem krótką sztukę, komedię. Przedstawia ona życie dwóch rodzin w czasie bezrobocia na Zachodzie i w Krynicy. Broszurę wydano pod tytułem „Od przeznaczenia swego nie uciekniesz” (Legnica 1997).

W Legnickim Polu żył mieszkaniec wsi Izby, Kyrył Brejan, dla którego wojna rozpoczęła się od udziału w wojsku polskim w wojnie obronnej 1939 roku, a skończyła dopiero w roku 1948. Przejechał około 20 tysięcy kilometrów przez Ukrainę, Związek Radziecki, Irak, Iran, Syrię, Egipt, Włochy i Anglię. Przebywał wśród różnych narodów, spotkał się z różną kulturą. Przez osiem lat tułaczki nie zapomniał swego pochodzenia. Nie wrócił jednak w Karpaty, bo tam już nikogo nie było. Związał się z Michaliną, z którą miał dwoje dzieci. Po jej nagłej śmierci połączył się ponownie – po trzydziestoletniej rozłące – ze ślubną żoną, Olgą z Bielicznej. Swoimi słowami opisał wspomnienia z wojennej, ośmioletniej tułaczki. Później w literackiej polszczyźnie zapisał je jego przyjaciel, Langner. Po śmierci autora w 1991 roku wspomnienia te krążyły po rodzinie, nawet w USA. W 1997 dowiedziałem się o nich i zgłosiłem się do żony autora. Uwierzyła, że postaram się wydać wspomnienia jej męża w formie książki, i to w języku łemkowskim, zgodnie z jego wolą. Dopisałem do nich obszerny wstęp i zakończenie – opowieść o dalszym życiu autora po 1948 roku. Tak napi-

saną książkę wydano w dwóch językach, łemkowskim i polskim, pod jednym tytułem „Moja długa II wojna światowa 1939-1948” (Legnica 1998).

Pani Olga przeżyła szczęśliwie przy dzieciach męża jeszcze dwanaście lat i zmarła w 2003 roku. Teraz spoczywają we wspólnym grobowcu na cmentarzu w Legnickim Polu.

Napisałem także – drugą istotną w moim życiu – monografię wiosek Izby i Bieliczna. Zachęcili mnie do tego ich byli mieszkańcy, którzy żyją teraz w dawnym województwie legnickim. W 1947 roku z tych dwóch wiosek wysiedlono na Zachód 101 rodzin, a obecnie jest ich już 140 rodzin, najwięcej w Legnicy.

Znalazło się kilku prawdziwych patriotów wiejskich, którzy zadbali, żeby książka została napisana zgodnie z dawnym i obecnym stanem. Gromadzenie materiałów do tej monografii trwało prawie dwa lata. Włączył się w nie współautor, Andrzej Kwoka, wywodzący się z rodziny izbiańskiej. Musiałem także pojechać na miejsce, do wioski, aby naocznie zapoznać się z położeniem, krajobrazem i obecnym jej stanem. Wróciłem z nowymi faktami, które pozwoliły mi na uzupełnienie książki i upewniły, że można ją wydać bez żadnych zastrzeżeń. Monografię wydano pod tytułem: „Izby i Bieliczna dawniej i teraz” (Legnica 2000).

W nowym tysiącleciu postanowiłem wydać wspomnienia o życiu, obyczajach i kulturze Łemków przed wysiedleniem w 1947 roku i życiu w latach późniejszych na obczyźnie wraz z rysunkami i fotografiami. Jest to niniejsza książka pod tytułem „Z pamiętnika wysiedleńca” (Legnica 2004).

Zamierzam jeszcze pomóc w napisaniu monografii wioski Bogusza położonej w zachodniej Łemkowszczyźnie, jej byłej mieszkance, Marii Kobani z Oleśnicy.

Pod koniec 1996 na zebraniu diecezjalnym w Cieplicach zostałem wybrany na redaktora „Kroniki Parafialnej Diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej w latach 1946-1998” (ks. M. Żuk został przewodniczącym komisji redakcyjnej). Do kroniki tej zebrano 39 ankiet parafialnych, w oparciu o nie napisano wstępne założenia. Ostatnią wersję z ponad 110 historycznymi fotografiami złożono we Wrocławiu w 1998 roku, gdzie miały być dokonane dodatkowe korekty przed drukiem w Białymstoku. Książka została wydana z okazji 20-lecia ingresu JE Jeremiasza arcybiskupa diecezji wrocławsko-szczecińskiej we wrześniu 2003 roku.

Z okazji łemkowskich watr na obczyźnie w Michałowie w latach: 1995, 1996, 1997, 1998, 1999 pisałem „Watriane Wieści”.

Wreszcie postanowiłem napisać niniejsze wspomnienia o życiu, obyczajach i kulturze Łemków przed rokiem 1947 z rysunkami i fotografiami. Wydanie to jest pomyślane przede wszystkim z myślą o rodzinie, przyjaciółach, znajomych i historii.

Zakończenie

Czytający moje wspomnienia widzi wyraźnie, że w życiu moim było kilka nieoczekiwanych zwrotów – niespodziewanie znalazłem się na froncie drugiej wojny światowej w Sudetach, niespodziewanie pod karabinami zostałem wypędzony z rodzinnych stron na Zachód. w pierwszych latach na obczyźnie w Odrze utopił się mój brat, a później w lesie drzewo zabiło ojca żony.

Najważniejsze jest jednak to, że zostały spełnione moje trzy życiowe marzenia. Pierwszym moim spełnionym marzeniem była dobra i uczciwa praca w państwowych przedsiębiorstwach i jednocześnie zawiązanie własnej rodziny. Przez całe swoje życie pragnąłem rodzinnego spokoju, jakiego nie zaznałem w latach dzieciństwa. Życie rodzinne uważam za udane, a cała w tym zasługa żony, która z rozsądkiem łagodziła wszystkie rodzinne problemy i trudności, a w szczególności radziła sobie z moim uporem, który nie zawsze potrafiłem zauważyć.

Drugie spełnione marzenie, to służenie w miarę możliwości Bogu i naszej społeczności w cerkiewnym czytaniu i śpiewaniu. Ponieważ znałem zasady kanonów cerkiewnych, od 1947 roku starałem się (z pewnymi wyjątkami – front, wysiedlenie) w niedziele i święta pomagać w nabożeństwach cerkiewnych. Na Zachodzie pomagałem w nabożeństwach ówczesnym proboszczom w Studzionkach w latach 1947-1957 gdzie dojeżdżali o. Biegun, o. Kuczyński, o. Sławiński, o. Chylak, o. Lewiarz; w Rudnej w latach 1957-1987, gdzie proboszczami byli o. Lewiarz, o. Fedasz, o. Kondratiuk; w Legnicy doraźnie od 1952 roku i na stałe od 1987 roku, a proboszczami byli tu o. Tyczyno, o. Romańczuk, o. Litwiniuk, o. Bójko i o. Worhacz.

Wszędzie, gdzie była potrzeba i miałem możliwość czytania i śpiewania w cerkwiach na nabożeństwach, chrzcinach, ślubach i pogrzebach, starałem się robić to najlepiej, jak tylko mogłem – czysto, głośno i wyraźnie dla zrozumienia wszystkich i na chwałę Bogu. W tym miejscu należy wyjaśnić, że wiara prawosławna wyznawana przez społeczność łemkowską jest wiarą przyjętą z cyrylo-metodiańskiej nauki wschod-

niego chrześcijaństwa. Czytane teksty Pisma Świętego i śpiew cerkiewny wyróżniają się wymową i melodyką wywodzącymi się z tradycji Kijewo-Galicyjskiej Rusi. Nie mają one nic wspólnego z poddaństwem i zależnością od Moskwy, jak uważają niektórzy. Moskiewski patriarchat powstał na bazie Rusi Kijowskiej o 300 lat później i nie jest trzecią stolicą chrześcijaństwa, choć się za taką uważa.

Z czasów tuż po wysiedleniu warto wspomnieć jeszcze jedno wydarzenie. Latem 1949 roku ks. Jan Lewiarz z parafii Zimna Woda, jeden z pionierów organizowania życia religijnego na Ziemiach Zachodnich, ogłosił, że pewnej niedzieli nastąpi otwarcie nowej parafii prawosławnej w Lubinie. Wiadomość rozeszła się błyskawicznie wśród naszej społeczności nie tylko pobliskich, ale i dalszych miejscowości. Tej niedzieli kilku młodych kawalerów z Chobieni oddalonej o 25 kilometrów wybrało się na rowerach do Lubina.

Tam w środku zniszczonego miasta koło małego parku stał pusty, wielki kościół ewangelicki (obecnie kościół rzymskokatolicki), w którym zebrał się spory tłum wysiedleńców z kilkunastu lemkowski wiosek. Wcześniej wierni wraz z księdzem uprzątnęli w jednej z bocznych kaplic gruz. Uczestniczyłem w tym, tak ważnym dla Lubina nabożeństwie i razem z panami W. Chomikiem i J. Kretem oraz tłumem wiernych z kilkunastu wiosek lemko-wszczyzny i Chełmszczyzny. Tego dnia wielki kościół ewangelicki wypełniony był po brzegi wiernymi obrządku wschodniego – prawosławnymi i grekokatolikami, gdyż w tamtych czasach grekokatolicy nie mieli pozwolenia na odprawianie nabożeństw w swoim obrządku.

Na pewno w świątyni tej po raz pierwszy w jej historii zabrzmiał charakterystyczny, melodyjny śpiew obrządku wschodniego. Na razie to jednocześnie się wiernych z Bogiem różnie wychodziło, bo choć słowa były jedne to melodie często się różniły. Dopiero po kilku latach każda dorosła osoba przypominała sobie dawne cerkiewne „Hospody pomyłuj”, „Podaj Hospody” lub „Mołytwamy Bohorodyce, Spase spasy nas!”. Ta ówczesna niezgodność melodyczna śpiewu była jednak bez znaczenia, gdyż nie było wtedy ważne, jaki jest ten śpiew, ale to, że jest – wszak miało go nie być w ogóle. Kulminacyjnym punktem nabożeństwa było uduchowione, płomienne kazanie ks. Jana. Symbolicznego znaczenia doszukiwać się można w tym, że temu nadzwyczajnemu nabożeństwu towarzyszył dziki gołąb, mieszkaniec pustego kościoła, który swoim spokojem utwierdzał wiernych w słuszności ich wiary.

Pasjonowałem się wieloma rzeczami. W wolnych chwilach kleiłem z papieru i deseczek miniaturowe cerkiewki karpackie z trzema baniami.

Zrobiłem ich cztery, ale ponieważ były z materiałów nietrwałych, nie zachowały się długo. Później robiłem większe cerkiewki stylu greckiego w formie krzyża równoramiennego z centralną banią pośrodku i czterema mniejszymi po bokach. Banie wraz z krzyżami trójramiennymi oklejane były papierem poślaczanym i malowane złotkiem. Cerkiewki te służyły jako tabernaculum (kiwoty) na ołtarzu w cerkwi do przechowywania Świętych Darów dla osób chorych. Na czterech stronach tego tabernaculum były ikonki Zbawiciela, Matki Bożej, św. Mikołaja i świętego pod jakiego wezwaniem poświęcona była cerkiew parafialna. Takie tabernacula stały na ołtarzach w trzech cerkwiach, w Legnicy, Michałowie i Malczycach (niektóre wymieniono na szklane).

Robiłem także ozdobne oprawy Świętych Ewangelii (mszałów) czytanych w czasie liturgii świętej. Introligatorską oprawę z cienkich desek i aksamitnego płótna wykonywał specjalista, inny rzemieślnik robił ozdoby z miedzianych materiałów dla ikon Zmartwychwstania i czterech św. Ewangelistów Mateusza, Marka, Jana i Łukasza, oraz podstawki i narożniki. Na aksamitno-drewnianą oprawę mocowałem miedziane ozdoby, podstawki i narożniki. Takie ozdobne oprawy (duże i małe) wykonałem na ołtarze w cerkwiach w Legnicy (dwie duże i dwie małe), Zielonej Gorze (duża i mała), Studzionkach (duża i mała), Rudnej (duża i mała), Michałowie i Malczycach (po jednej małej).

Trzecie moje spełnione marzenie to pisanie, które rozpocząłem w czasie mojej emerytury. Nazbierało się tego, biorąc pod uwagę dość krótki czas – zaledwie piętnaście lat. Wymyślenie, napisanie i wydanie książek i broszur (wymienionych w poprzednim rozdziale) pochłonęło sporo czasu, pieniędzy, cierpliwości i serca. Trzeba pamiętać, że wszystkie moje książki i broszury mają tylko jeden cel – zachować i przekazać naszą rodzimą historię, obyczaje i kulturę nowym pokoleniom, które może choć w małym stopniu zechcą uszanować, poznać i zachować je w pamięci. Do przeczytania lub prześpiewania pełnego tekstu tych książek i broszur trzeba poświęcić kilka miesięcy, z tym, że mam nadzieję, nie będzie to stracony czas.

W życiu moim nie spełniłem się tylko w niektórych dziedzinach, którymi choć w części powinna zainteresować się głowy rodziny. Nigdy nie można było ode mnie oczekiwać pomocy w sprawach kulinarnych, nie pomagałem w tym ani matce, ani później żonie. Kuchnia nigdy nie była dla mnie ciekawym miejscem, choć zjeść i wypić się lubiało. Nigdy też się nie nauczyłem grania na żadnym instrumencie. Nie nauczyłem się zapisu nutowego, choć teraz bardzo by się to przydało. Przydałoby się

zapisać bowiem stare łemkowskie melodie, które były mi bardzo bliskie przez całe życie.

Z całego swego życia wiem jedno, i to jest dla mnie najważniejsze, że choć pełniłem różne niskie, wysokie i bardzo ważne funkcje urzędowe i społeczne, nigdy nie starałem się wywyższać i nie dbałem o popularność. Zawsze starałem się być człowiekiem skromnym i spokojnym. Nie zazdrościłem nikomu niczego. W każdym miejscu zatrudnienia uczyłem wszystkich dobrej, porządnej i uczciwej pracy. Miałem i nadal mam dużo przyjaciół i zwolenników wśród Polaków i swoich Rodaków.

Szanowałem i szanuję swoich przełożonych i podwładnych, z którymi miałem możliwość pracować, sąsiadów i rodaków, wśród których żyję i mieszkam. Mam uznanie od tych, co mnie znali. Choć pełniłem niewdzięczną rolę kontrolera państwowego majątku, nigdy nie skrzywdziłem nikogo, co wpłynęło na to, że nie miałem i nie mam żadnych wrogów. Zawsze kierowałem się jedną, stałą zasadą oceny podwładnych: „Jakim byłbym pracownikiem na miejscu kontrolowanego – podwładnego?”. To chyba zawsze pozwalało mi uniknąć niesprawiedliwej oceny pracownika.

Choć nie doświadczyłem, jak inni moi krajanie, jawnych prześladowań, bicia, poniewierki oraz więzienia lub łagrów, to pozostał we mnie cichy żal i uraza do ówczesnych władz polskich za wyrządzoną nam wielką krzywdę, za niesprawiedliwe wypędzenie z rodzinnych stron, a do władz obecnych za brak pozwolenia na powrót w rodzinne strony i brak odpowiedniego zadośćuczynienia za tę haniebną krzywdę.

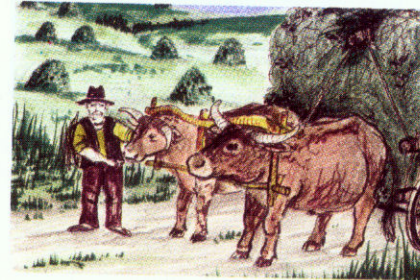
Byłem i nadal jestem wiernym członkiem naszej wspólnoty, dla której od lat szkolnych po dzień dzisiejszy pracowałem na polu społecznym i religijnym. Myślę, że moja rodzina, koledzy, sąsiedzi i znajomi, ocenią moją działalność odpowiednio: co było dobre – pochwalą, co było złe – wybaczą.

Na koniec tego tomu Czytelnikowi, zwłaszcza nie-Łemkowi, należy się odpowiedź na zasadnicze pytanie: „Jeżeli tak tęsknisz, dlaczego nie jedziesz w te swoje góry?”. Odpowiadam: „Dusza i serce jest stale w górach, ale stare ciało musi pozostać już z rodzicami, sąsiadami i znajomymi na obczyźnie. Tam jest teraz tylko zielona pustynia, tu pozostał niezapomniany żal”. Żeby spełniły się czyjeś marzenia na powrót w rodzinne strony, potrzebne jest spełnienie kilku ważnych warunków: najpierw budowa dróg, następnie chęć, wytrwałość, młodość, zdrowie oraz trzy razy pieniądze, czyli godziwe odszkodowanie.

Autor

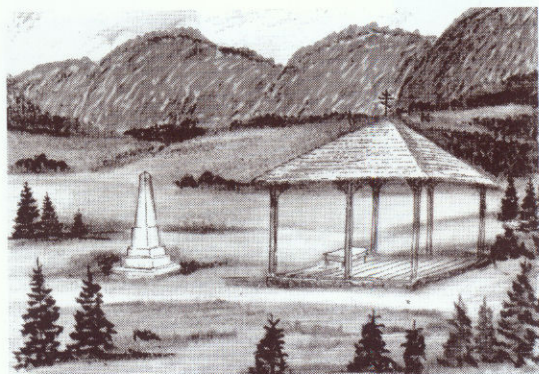
Spis treści

Wstęp	5
1. Z życia moich przodków	9
2. Rodzinne gniazdo	13
3. Dzieciństwo i lata młodości	15
Wiosna	17
Lato	23
Jesień	25
Zima	30
Karnawał (miasny)	36
Jarmarki	39
Odpusty	40
4. Lata 1938-1939	44
5. Okupacja niemiecka	47
Szmugiel	53
6. Nadzieja na wolność	60
7. Wojsko i po wojsku	67
8. Akcja „Wisła” – wypędzenie	79
Akcja „Wisła” w moich oczach	81
9. Życie rodzinne po wysiedleniu	94
Ogrodnictwo	105
Watry	105
10. Religijne rocznice	107
Kanonizacja o. Maksyma	107
Martyrologia Świętego Maksyma	108
11. Życie z Sowietami	112
12. Sąd nad zmarłymi	118
13. Asymilacja	121
14. Wspomnienia z pracy na obczyźnie	124
15. Emerytura i piśmiennictwo	129
Pisanie	129
Pisanie na komputerze – 1996 r.	132
16. Zakończenie	135
17. Ilustracje i rysunki pamiątkowe	141



Wiosna naszych przodków w rysunkach

Chrzestne w ludowych strojach – 1926 r.



Kaplica i pomnik Talerhofu, Czarne 1934 r.

Rodzina przy sianie – 1938 r.



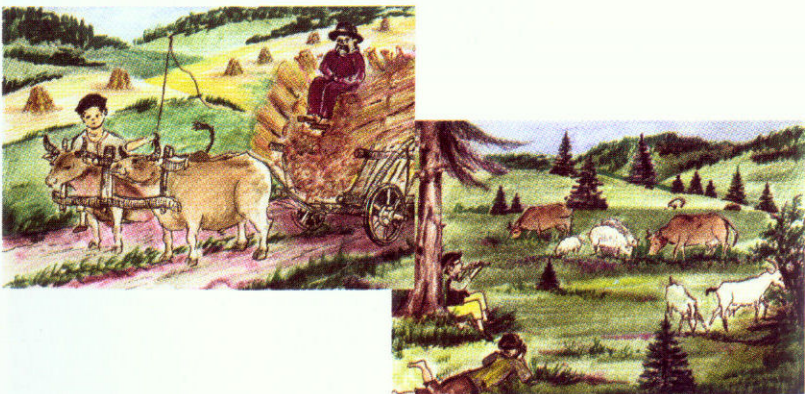
Tato ze swoją klaczą – 1942 r.



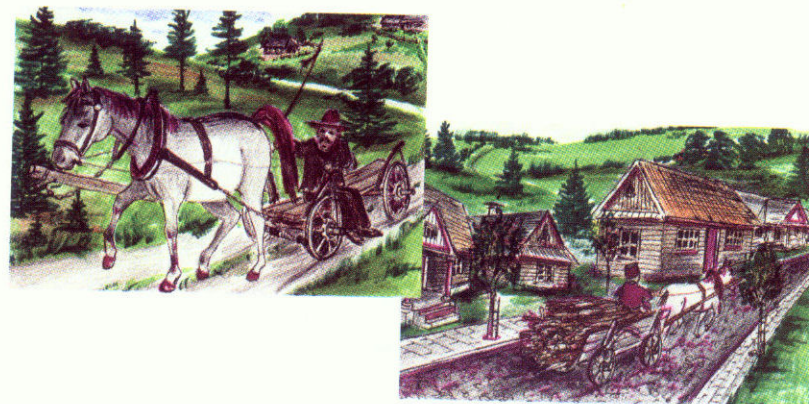
Kawalerka koło domu A. Wańko – 1945 r.



Wiejska kawalerka – 1945 r.



Lato naszych przodków w rysunkach



Jesień naszych przodków w rysunkach



Ostatnia Wielkanoc (Welykden) – 1947 r.



Akcja „Wisła”. Rodzina w drodze do stacji – 1947 r.



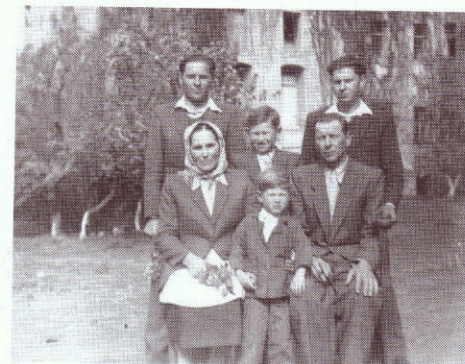
Brukowanie tamy, ja i T. Kwoczka – 1949 r.



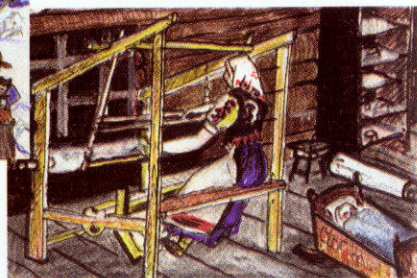
Przy robotach na Odrze, Chobienia 1948-1950 r.



Niedziela nad Odrą – mały statek rzeczny ciągnie towary do Wrocławia, Chobienia 1949 r.



Tato, mama i my – czterej bracia – 1950 r.



Zima naszych przodków w rysunkach



Niedziela w legnickim parku – 1956 r.



Nasze wesele, Bajków 9 II 1958 r.



Młode rodziny w legnickim parku – 1958 r.

Niedziela nad Kacza-
wą, Legnica 1961 r.



Urlop w górach z ro-
dziną – 1963 r.

Cerkiew prawosław-
na w ruinie, Czarne
1963 r.



Moja rodzina koło
mieszkania (trzy sze-
rokokie okna na parte-
rze), Legnica 1971 r.

Nasze troje dzieci, Legnica 1971 r.

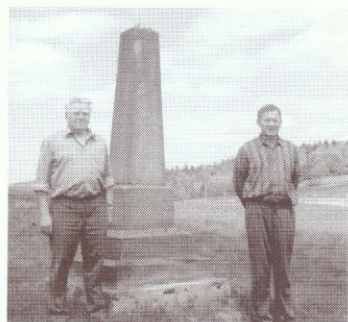


Cerkiew greokatolicka, Czarne
1992 r.





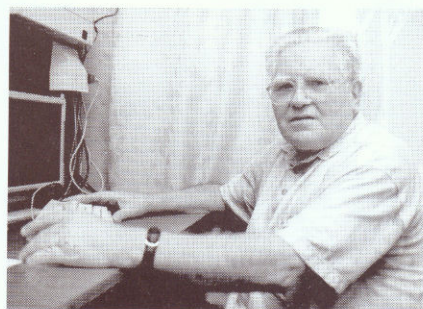
Cerkiew w nowosądeckim skansenie –
2001 r.



Przy pomniku ofiar Talerhofu po 66
latach, Czarne 2000 r.



Bacówka na naszym polu Czar-
ne, 2002 r



Autor przy komputerze, Legnica
2004 r.